



Z. Zeydler Zborowski



Brat

**MIKO-
KASJA**

Ali-Baba

**Zygmunt
Zeydler-Zborowski**

BRAT MIKOŁAJA

ROZDZIAŁ I

Obydwie wycieraczki pracowały bez chwili przerwy, ale mimo to widoczność stawała się coraz gorsza. Strugi wody spływały po szybach, przesłaniając ciemniejący krajobraz rozmazaną mgłą. Światło reflektorów odbijało się od mokrej szosy.

Joanna oparła głowę o ramię siedzącego przy kierownicy mężczyzny.

—Lubię deszcz — powiedziała.

Milczał. Słowa, które cisnęły mu się na wargi, nie były zbyt uprzejme. Wolał nic nie mówić. Czasami tak mu działała na nerwy, że z trudem się opanowywał. Życie nauczyło go cierpliwości i niepoddawania się chwilowym nastrojom.

Widocznie intuicyjnie wyczuła jego niechęć, bo podniosła głowę i odsunęła się.

—Dokąd jedziemy? Do mnie czy do ciebie? — spytał.

Utkwiła wzrok w jego ostro zarysowanym profilu.

—A może wolisz spędzić ten wieczór w samotności?

Niecierpliwie poruszył ramionami.

—Przecież ustaliliśmy, że...

—Tak, ale jeżeli nie masz humoru i ochoty...

Zwiększył szybkość.

—Mam ochotę — mruknął.

—To dlaczego jesteś taki jakiś dziwny?

—Bo nie cierpię deszczu. Nienawidzę prowadzić wozu w taką cholerną pogodę.

—Może ja poprowadzę?

—Nie. Cóż by był ze mnie za szofer, gdybym pozwolił siadać pani hrabinie za kierownicą.

—Przestań. Nie lubię takich żarłków.

—Przecież to prawda. Twój wóz.

—Uspokój się, bo w tej chwili wyrzucę cię na szosę i na piechotę będziesz wracał do Warszawy.

Zwolnił i otworzył drzwiczki

—Mam wysiąść?

Energicznie chwyciła go za rękę.

—Oszalałeś? Co ty wyprawiasz? Przestań się wygłupiać. Co cię ugryzło? Co się z tobą dzieje, Kola?

—Nic, nic... — spojrzał na nią i spróbował się uśmiechnąć.

— Nie zwracaj na mnie uwagi. I mężczyźni także miewają swoje humory.

—Właśnie zauważyłam.

Jechali w milczeniu. On wpatrywał się w zalaną deszczem szosę, ona przymknęła oczy, udając, że drzemie. Była smutna. Od pewnego czasu Mikołaj stał się jakiś dziwny, rozdrażniony, łatwo wpadał w gniew. Czują zupełnie wyraźnie, że coś się między nimi zmieniło, ale nie mogła zrozumieć, co się właściwie stało, o co chodzi? Początkowo sądziła, że może jakaś kobieta...? Ale nie. Nic nie wskazywało na to, żeby zainteresował się kimś innym. Po dawnemu był pełnym temperamentu kochankiem. Wiedziała, że jej pożąda, czuła to. Więc co? Co mu jest? Parę razy próbowała się dowiedzieć, pytała go. Zbywał ją byle czym, obracał wszystko w żart, mówił, że jest może trochę przepracowany, że ma jakieś tam kłopoty, niezbyt ważne. Zresztą zaraz zaczynał rozmowę o czym innym, wyraźnie uciekał od tego tematu.

—Więc dokąd jedziemy?

—Dokąd chcesz. Ale powiedz zupełnie szczerze, może wolisz być sam?

—Nie męcz mnie. Proszę cię. Wiesz przecież doskonale, że chcę być z tobą.

—To pojedźmy do mnie. Teresa jeszcze nie wróciła z Kazimierza. Cały „apartament” mamy do naszej dyspozycji. Zresztą u ciebie na pewno nie ma nic do jedzenia, a ja jestem piekielnie głodna.

—Mam śledzie marynowane — powiedział ponuro.

Roześmiała się.

—Widzę, że śledzie marynowane napełniają cię bezgranicznym smutkiem. A więc zdecydowane, jedziemy do mnie. Tak mi się coś zdaje, że u mnie znajdziemy nieco bogatszy asortyment artykułów spożywczych.

Okrążyli Rondo Waszyngtona i wjechali we Francuską. Po-

tem ocieniona drzewami ulica Walecznych. Mikołaj zwolnił i nacisnął hamulec.

Dwa pokoje z kuchnią. Po śmierci ojca Joanna miała zamiar zmienić mieszkanie, ale okazało się to przedsięwzięciem tak skomplikowanym i kosztownym, że obie z Teresą postanowiły zostać na starych śmieciach. Chciały sprowadzić matkę do Warszawy, pani Stawiska nie miała jednak ochoty wyjeżdżać z Częstochowy. „Przyzwyczyłam się tu — mówiła. — Od czasu do czasu odwiedzę was i wy przyjedziecie do mnie na Boże Narodzenie czy na Wielkanoc. Gdzie mi tam zaczynać nowe życie na stare lata. Zresztą Warszawa mnie męczy. Tak na parę dni to można wytrzymać, ale na stałe.... Do emerytury już tu zostanę, a potem zobaczymy”.

Joanna energicznie zakrzętnęła się koło kolacji. Niebawem smakowity zapach smażonej wątróbki rozszedł się po mieszkaniu.

—Nastaw jakąś płytę — powiedziała, nakrywając do stołu.
— Przyda nam się trochę muzyki. Napijesz się czegoś?

—Nie wiem, co mi proponujesz.

—Śliwowica, jarzębiak, soplica, myśliwska.

—O, widzę, że solidnie zaopatrzyłaś swój barek. — Podszedł do adapteru i zaczął przeglądać płyty. — Co chcesz, żebym nastawił? Czajkowskiego, Brahmsa, Chopina, a może jazz?

—A ty na jaką muzykę masz ochotę?

—Na żadną.

—To zostaw te płyty — powiedziała obojętnie. Wyszła do kuchni i po chwili wróciła, niosąc na tacy pieczywo, masło, sardynki, smażoną wątróbkę i kawałek sernika. Z baru wyjęła butelki i dwa kieliszki. — Czy można zaprosić cię na ucztę?

Poruszył się wolno, niechętnie.

—Właściwie nie jestem głodny.

—A ja mam niesamowity apetyt. — Napełniła kieliszki śliwowicą.

— Twoje zdrowie, Kola. I, na miłość boską, rozchmurz się trochę, bo masz taką minę, jakbyś wrócił z własnego pogrzebu.

—Przepraszam cię — mruknął. — Rzeczywiście jestem dzisiaj wyjątkowo nie w sosie.

—Czy może dlatego, że wspomniałam, że chciałabym 7 tobą

pojechać do mamy?

—Ale skądże... Nic podobnego

—Więc dlaczego właściwie jesteś taki przegrany?

Wzruszył ramionami.

— Sam nie wiem. Tak jakoś...

Znowu naląła do kieliszków śliwovicę.

—Słuchaj, Kola, pomówmy ze sobą szczerze. Przecież nie musisz się ze mną żenić, nie musisz przedstawiać się mojej matce. Dobrze jest, jak jest. Ja nie mam najmniejszego zamiaru namawiać cię do czegokolwiek. Oboje jesteśmy wolnymi ludźmi. Robimy to, co chcemy, na co mamy ochotę. Nie uznaję żadnego przymusu. Nie masz w stosunku do mnie absolutnie żadnych zobowiązań. Zapamiętaj to sobie raz na zawsze. To ty zacząłeś mówić o naszym małżeństwie, nie ja. — Nałożyła mu na talerz dwa kawałki wątróbki. — No, zjedźże coś, bo się upijesz. — Posmarowała masłem sporą pajdę chleba i położyła na jego serwetce. — Jedz. Proszę cię.

Wypił, zjadł, ale nie odzyskał dobrego humoru. Ciągle jeszcze był markotny i zamyślony.

—Widzisz, Joasiu — powiedział wolno, jakby z pewnym wysiłkiem — to wszystko nie są takie proste sprawy. Mogę cię zapewnić, że mój stosunek do ciebie jest zawsze taki sam, że nic się nie zmieniło.

—A gdyby się nawet zmieniło, to co? — uśmiechnęła się odważnie. — Czyż można mieć do kogoś pretensję o to, że przestał kochać? To są rzeczy od nas niezależne.

—Ależ ja cię kocham. Chyba wiesz... chyba czujesz...

—Bywają chwile, że zaczynam mieć co do tego wątpliwości.

—Jesteś niesprawiedliwa. Nie możesz zrozumieć, że... że mam swoje zmartwienia, kłopoty...

—Gdybyś mnie uważał za kogoś naprawdę bliskiego, zwierzyłbyś mi się ze swoich kłopotów. Przecież od dłuższego czasu widzę, że chodzisz jak struty. Nie jesteś chyba takim idiotą, żeby stracić humor z tego powodu, że ja mam samochód, a ty nie masz.

— Dajże spokój.

No więc właśnie. Wiesz zresztą, że mogłam kupić tę Skodę tyl-

ko dlatego, że sprzedałam place, które nam ojciec zostawił.

Uśmiechnął się.

— Ależ nie, Joasiu... Na miłość boską... Nie musisz się tłumaczyć. Ja nie pracuję w Wydziale Finansowym. Nie chodzi o żaden samochód. Czy uważasz mnie za takiego durnia?

— Raczej nie. Ale z wami, mężczyznami, nigdy nic nie wiadomo. Zraniona męska ambicja może doprowadzić do kompletnych nonsensów. Napijesz się jeszcze?

— Nalej. Dobra ta śliwowica.

— Ale pod warunkiem, że coś zjesz.

— No dobrze, już dobrze. Strasznie mnie męczysz. Nie bój się. Nie upiję się przecież trzema takimi naparstkami.

Po kolacji Mikołaj przeniósł się na fotel, Joanna usiadła na tapczanie i 'nastawiła płytę z walcami.

— Podobno rytm na trzy czwarte znakomicie wpływa na system nerwowy — powiedziała wesoło.

Próbowali rozmawiać z pozorną beztróską o tym i o owym, ale oboje nie mogli się pozbyć pewnego skrępowania. Męcząca atmosfera nieszczerości zaciążyła nad nimi, stawała się coraz trudniejsza do zniesienia. Wreszcie Joanna wróciła do poprzedniego tematu.

— Usiądź tu koło mnie

Bez zapału spełnił jej prośbę.

— Ładne są te walce — powiedział, siłąc się na swobodny ton. — Może masz ochotę zatańczyć?

Potrząsnęła głową.

— Nie, nie mam ochoty zatańczyć. Siedź spokojnie i popatrz mi w oczy.

— Chcesz mnie zahipnotyzować? - spytał żartobliwie.

— Chcę, żebyś mi wreszcie powiedział, o co chodzi?

— To nie dotyczy ciebie.

— Mylisz się. Wszystko, co dotyczy ciebie, dotyczy i mnie. Przynajmniej ja tak rozumiem współzycie dwojga ludzi. Nie mogę spokojnie patrzeć, jak ciebie coś dręczy. Chyba to nic dziwnego.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował.

— Jesteś bardzo kochana. Ale widzisz... To są takie moje

rodzinne sprawy... Nie chciałbym ci tym wszystkim zawracać głowy. Zresztą to dla mnie ogromnie przykre, więc...

Przytuliła się do niego.

— Powiedz, Kola. Proszę cię. Powiedz, co cię gnębi. Będzie ci lżej... Zobaczysz... Wspólnie się naradzimy. Może coś pomogę... doradzę. Powiedz. Ja tak dłużej nie mogę.

Odwrócił głowę.

— Chodzi o mojego brata.

— Nie wiedziałam, że masz brata. Nic mi nie mówiłeś.

— Nie chciałem ci mówić. Wolałem, żebyś nie wiedziała.

Maurycy kompromituje całą naszą rodzinę.

— Pije?

Zaśmiał się drwiąco.

— Żeby tylko pił, to byłoby pół biedy. Z alkoholizmu można się wyleczyć. Chodzi o dużo gorsze rzeczy.

Wzięła go za rękę.

— Przerażasz mnie.

— Nie chciałem z tobą o tym mówić! — wybuchnął Mikołaj.

— Nie chciałem, żebyś wiedziała! Zmusiłaś mnie! Maurycy to bandzior! Zwykły bandzior, nożownik! Siedział w więzieniu. Cztery lata

— Wypuścili go?

— Tak. Darowali mu sześć miesięcy za dobre sprawowanie.

— Może się przez ten czas zmienił — próbowała pocieszyć go Joanna. — Cztery lata to bardzo dużo. W więzieniu mógł pewne sprawy przemyśleć, zastanowić się. Takie rzeczy przecież się zdarzają, że po wyjściu z więzienia...

Mikołaj machnął niecierpliwie ręką.

— Diabła tam!... Różne rzeczy się zdarzają, ale nie z Maurycym. Nic ani nikt nie jest w stanie go zmienić. Taki charakter. Już od małego dziecka był z niego kawał drania, męczył zwierzęta, bił kolegów... Nie było na niego rady. Ani prośba, ani groźba, ani żadna perswazja, nic nie pomagało, absolutnie nic. Wyrzucali go ze wszystkich szkół.

— Ma jakiś zawód?

— Ma bardzo dużo różnych zawodów. Próbował wszystkiego. Właściwie jest szoferem, mechanikiem samocho-

dowym. Przez pewien czas kradł samochody, rozbierał na części i... W końcu go nakryli. Najprzód dostał dwa lata, potem, jako recydywista, cztery i pół. Niedawno wyszedł. Rozumiesz teraz, że mając takiego brata, nie mogę myśleć o małżeństwie z tobą, nie mogę cię w to wszystko wplątywać.

Dotknęła jego dłoni.

— Nie martw się, kochany, nie przejmuj się tak strasznie. Oczywiście, że to bardzo przykra i bolesna sprawa, ale w końcu nie możesz odpowiadać za czyny swojego brata.

Żachnął się.

— To się tylko tak mówi. Czy wiesz, że przez niego już cztery razy musiałem zmieniać pracę? Automatycznie staję się człowiekiem niepewnym, podejrzanym. A ile razy wzywali mnie na milicję, ile razy przesłuchiwali! Nikt mi nic nie mógł zarzucić, ale to nie są przyjemne rzeczy. Przeprowadzano nawet w moim mieszkaniu rewizję. Szukali fałszywych dolarów. A ile rachunków za niego płaciłem, ile weksli. Podrabiał mój podpis. Podawał mój adres. Mikołaj... Maurycy — mała różnica. Myślałem już nawet o tym, żeby uciec za granicę. Przez cztery lata miałem spokój. Teraz znowu się zacznie. Sam już nie wiem, co robić?

— Spróbuj porozmawiać w komendzie milicji. Porozum się z jakimś adwokatem. Może coś ci poradzą, pomogą. Musi przecież być jakieś wyjście z tej sytuacji.

— Tak. Musi przecież być jakieś wyjście z tej sytuacji — powtórzył Mikołaj i zamyślił się ponuro. Po chwili wstał i zaczął nerwowymi krokami przemierzać pokój. Zatrzymał się przy stole, ostrożnie, drżącą nieco ręką nalał wódkę do kieliszka. — Twoje zdrowie, Joasiu. Przestańmy wreszcie mówić o przykrych sprawach. I tak nic się na to nie poradzi. Nastaw jakąś wesołą muzyczkę.

Nacisnęła klawisz odbiornika. Był akurat koncert życzeń

— Muszę ci kiedyś posłać życzenia przez radio — powiedział Mikołaj.

Uśmiechnęła się

— I bez tego wiem, że mi dobrze życzysz. Przestań biegać po pokoju i chodź tutaj do mnie. Nie znoszę, kiedy jesteś taki

zdenerwowany. Siadaj.

Usiadł posłusznie na tapczanie i wziął ją za rękę.

—Przepraszam cię, Joasiu. Zachowuję się strasznie głupio.

—Niemądry. Przecież doskonale rozumiem twoje zdenerwowanie. Czy widziałeś się z bratem?

—Nie. Telefonował do mnie, ale nie chciałem się z nim spotkać.

— Może źle robisz? Czy nie powinieneś z nim pomówić?

— Daj spokój. To beznadziejne. Żebyś wiedziała, ile razy już rozmawiałem. To nic nie daje, absolutnie nic. Kiedyś myślałem... miałem nadzieję, że się zmieni, że wreszcie zrozumie... Nie, nie... po prostu nie mam siły z nim rozmawiać.

— Ja bym jednak na twoim miejscu spróbowała. Cztery lata więzienia to dużo czasu. Zobacz się z nim, Kola. Może jednak...

Spojrzał na nią uważnie.

— Tak sądzisz?

—Oczywiście. Moim zdaniem — powinieneś. To nawet twój obowiązek. Czasami, takie spotkanie dwóch braci po tylu latach może mieć decydujące znaczenie. Przecież...

Objął ją i pocałował.

—Jesteś bardzo kochana. Ale ty go nie znasz. W rozmowie z nim trudno o argumenty. Nic do niego nie dociera, absolutnie nic. Uznaje wyłącznie prawo silniejszego, prawo pięści. Tylko pieniądze posiadają dla niego jakąś wartość. Żadnych hamulców natury moralnej, żadnej etyki. Nie mam pojęcia, skąd się taki typ wziął w naszej rodzinie. Wstydzę się tego uczucia, ale bywają chwile, kiedy wprost marzę o tym, żeby go w ogóle nie było...

— Nie mów tak. Nie wolno ci tak myśleć.

Zmarszczył brwi Jego szczupła, pociągła twarz nabrała wyrazu ponurej zawziętości.

— Tak — powiedział cicho. — Wiem o tym. Nie powinienem tak myśleć, nie powinienem pragnąć jego śmierci, ale czasem... — Przeciągnął dłonią po czole, oczach i policzkach. — Zmęczony jestem, bardzo zmęczony. Chyba już pójdę. — Podniósł się, jakby chciał się pożegnać.

Mocno ujęła go za rękę.

—Zaczekaj. Nie chcę, żebyś odchodził w takim nastroju. Posiedź jeszcze chwilę.

Uśmiechnął się.

— Boisz się, żebym nie zrobił jakiegoś głupstwa?

—Nie. Nie o to chodzi, ale nie lubię się z tobą rozstawać, kiedy wiem, że cię coś dręczy.

—Ta sprawa nie przestanie mnie dręczyć. Taki już mój parzywy los.

—Słuchaj, Kola, a może chciałbyś, żebym ja porozmawiała z twoim bratem, może...?

Zachnął się.

— Oszalałaś? Co za pomysł?

—Widzisz... czasami rozmowa z kimś zupełnie nieznanym daje o wiele lepsze rezultaty aniżeli wszystkie perswazje ludzi bliskich, rodziny. Może moje słowa łatwiej do niego trafią, może uda mi się przekonać go, chociażby w minimalnym stopniu.

Mikołaj roześmiał się.

—Oj, Joasiu, ty nic nie pojmujesz. Zupełnie nie zdajesz sobie sprawy, jakim człowiekiem jest Maurycy. Rozumujesz kategoriami, które w żaden sposób nie dają się do niego zastosować. Nie znasz ludzi tego pokroju...

—Z różnymi ludźmi miałam już do czynienia. Nie zapominaj, że jestem dziennikarką.

Machnął ręką.

—Daj spokój. Co wy, dziennikarze, wiecie w ogóle o życiu? Każdy z tych waszych reportaży, wywiadów jest z góry zaplanowany, przygotowany, wyreżyserowany.

—O, bardzo cię przepraszam — poczuła się urażona w swej zawodowej ambicji. — Wiele rzeczy robi się na żywo, bez żadnego przygotowania i bez żadnej reżyserii.

—Mniejsza z tym — skrzywił się niechętnie. — W każdym razie absolutnie się na to nie zgadzam, żebyś nawiązywała kontakt z Maurycym. Wybacz, to są nasze rodzinne sprawy i nikt nie powinien się do nich mieszać.

— Jak chcesz. Sądziłam, że mogę ci jakoś pomóc.

—Niestety, nikt mi pomóc nie może — pokiwał -głową. — Istnieją w życiu takie sytuacje, że człowiek jest zdany wyłącznie na własne siły. Sam muszę sobie poradzić z tym problemem i sam spróbuję go rozwiązać. Muszę go rozwiązać — dodał podnosząc głos.

Spojrzała na niego niespokojnie.

— Co chcesz zrobić?

— Nie wiem. Trzeba to wszystko dobrze przemyśleć. Niepodobna przecież żyć w ciągłym zagrożeniu.

—A jeżeli on się zmienił? Zastanów się. Sprawdź. Może już jest innym człowiekiem?

Uśmiechnął się smutnie.

—Nie mam co do tego żadnych złudzeń, absolutnie żadnych. W każdym razie dziękuję ci, Joasiu, za chęć pomżenia mi. Nie gniewaj się, że zespułem ci wieczór. Dobranoc.

ROZDZIAŁ II

Przezwise „Waleriana” tak do niego od wielu lat przyłgnęło, że nikt go już inaczej i nie nazywał. Na dźwięk tego słowa każdy od razu wiedział, że chodzi o starszego sierżanta Pawelca. Dwie były przyczyny takiego stanu rzeczy: po pierwsze na chrzcie świętym otrzymał imię Walerian, a po drugie niezwykle kojąco działał nie tylko na swoich przełożonych i kolegów, ale nawet... na przestępców. Zawsze uśmiechnięty, zawsze w dobrym humorze, posiadał niezwykle talent rozładowywania najbardziej napiętej atmosfery jakimś niespodziewanym, trafnym żartem. Pozornie żadnej sprawy nie traktował zbyt serio, co często dezorientowało i wprowadzało w błąd przesłuchiwanego delikwenta. Nieraz zdarzało się, że kuty na cztery nogi bandzior poddawał się temu na wpół żartobliwemu nastrojowi i mimo woli powiedział coś, z czym nigdy by się nie zdradził wobec bardzo poważnego i „zasadniczego” oficera śledczego.

Co jakiś czas zmieniał się zwierzchnik Waleriany i wtedy nowy szef wyrażał swoje niezadowolenie, twierdząc, że sierżant Pawelec zbyt lekko traktuje swoje obowiązki i że takie podej-

ście do spraw kryminalnych jest niedopuszczalne. Na to Waleriana odpowiadał z kamienną powagą: „Nasze ustawodawstwo zabrania łać w mordę podejrzanego, ale nigdzie nie jest napisane, że nie wolno go rozśmieszać. Zresztą każdy ma swoją metodę, a jeżeli moja metoda daje dobre rezultaty, cóż w tym złego, że jakiś dobry kawał opowiem mordercy?” Niebawem nowy szef godził się ze starym, wypróbowanym systemem sierżanta Pawelca i wszystko zostawało po dawnemu.

Waleriana pochodził z robotniczej rodziny. Urodził się na Targówku i tam spędził całe dzieciństwo. Ojciec, ślusarz — mechanik, nie szczędził trudu, aby na porządnego człowieka wychować jedynaka, opierając swą pedagogiczną działalność głównie na szerokim, mocnym pasie. Chłopak nie zdradzał zbyt dużego entuzjazmu dla szkolnej wiedzy, natomiast bardzo dużo czytał, przeważnie jednak powieści przygodowe, sensacyjne i kryminalne.

W wieku lat dwunastu, pod wpływem przygód Arsena Łupin, postanowił zrobić karierę gentlemana włamywacza. Na szczęście na postanowieniu się skończyło. Potem miał zamiar wstąpić do seminarium duchownego, żeby jak ksiądz Brown rozwiązywać skomplikowane zagadki kryminalne. Wreszcie zafascynowała go bez reszty postać Sherlocka Holmesa. Na pytanie, co będzie robił w życiu, odpowiadał bez wahania: „Zostanę detektywem”. Ojciec splotował w dłonie i sięgał po pas, ale to nie na wiele się zdało. Mały Walerian nie chciał nawet słyszeć o innym zawodzie. Detektyw i koniec.

Przyszła wojna. Trzeba było iść na front, walczyć z Niemcami i przeżyć klęskę. W tych czasach trudno było utrzymać poczucie humoru. Kraj walił się w gruzy, tysiące ludzi ginęło z ręki wroga, koledzy, towarzysze broni, szli do obozów. Walerian nie myślał dobrowolnie oddawać się do niewoli. Uciekł z konwoju razem z dwoma chłopakami z Czerniakowa. Nie wrócił jednak do Warszawy. Poszedł do lasu, do partyzantki. Jakos przeżył. Nie było to łatwe, dziwnym jednak zrzędzeniem losu niemieckie kule omijały go przez te wszystkie lata. Niejeden raz przeprowadzał ze swym oddziałem bardzo śmiało i ryzykowne

akcje. Był odważny, ale nie lubił efekciarskiej, niepotrzebnej brawury i ogromnie dbał zarówno o swą własną skórę, jak i o skórę swych kolegów. Potrafił z najtrudniejszej nawet sytuacji wyprowadzić oddział ze stosunkowo minimalnymi stratami. Coraz chętniej też powierzano mu dowództwo.

Skończyła się wojna, ale walka trwała nadal. Sierżant Pawelec walczył z bandami w okolicach Białegostoku, na Lubelszczyźnie, w Bieszczadach. Dwa razy był ranny. Wielokrotnie cudem uszedł śmierci. Wreszcie wrócił do Warszawy, spalonej, beznadziejnie zniszczonej, z- trudem podnoszącej się z ruin.

Po tylu latach mógł nareszcie pójść śladami swego młodzieńczego ideału Sherlocka Holmesa. Co prawda praca w milicji niezupełnie pokrywała się z przygodami bohatera Conan Doyle'a, ale było w niej jednak coś z marzeń o karierze sławnego detektywa: śledzenie, tropienie, zabezpieczanie śladów, przesłuchiwanie. Pawelec stosunkowo prędko dał się poznać jako bardzo inteligentny, sprytny i pomysłowy pracownik służby śledczej.

Mimo to jednak jakoś dalej nie awansował. Może i nie umiał chodzić koło swoich interesów, a co ważniejsze brak mu było wykształcenia. Nie skończył żadnej szkoły. Kiedyś proponowano mu nawet, żeby zapisał się na jakieś kursy, ale nigdy nie znalazł na to czasu, zawsze było £OŚ pilniejszego do roboty. Pozostał sierżantem. Należał do grona tych doświadczonych praktyków, którzy często-gęsto „zaginają” świeżo upieczonych oficerów z dyplomami uniwersyteckimi. Nierzadko młody porucznik czy nawet kapitan dyskretnie zasięgał rady starego wygi.

Teraz Walerian Pawelec dawno już minął pięćdziesiątkę i milowymi krokami zbliżał się ku emeryturze. Ani przez chwilę nie myślał jednak o tak zwanym „stanie spoczynku” Był jeszcze pełen sił, energii i radości życia, a cieszyć się życiem umiał, jak mało kto.

Tylko z żeniactwem jakoś mu nie wychodziło. Trzy razy zaręczał się i trzy razy rozstawał się z narzeczoną. W końcu machnął ręką na małżeństwo i postanowił zostać starym kawalerem twierdząc, że człowiek żonaty zbyt często narażony jest na utra-

tę dobrego humoru, a może nawet popaść w melancholię. „Gdzie ja znajdę kobietę, która by tak lubiła śmiać się jak ja?” mawiał.

Zafundował sobie psa, bardzo rasowego kundla, którego nazwał Hipek i który podobno rozumiał nie tylko po polsku, ale nawet po angielsku, niemiecku i francusku. Nieraz Pawelec opowiadał cuda o tym niezwykle zmyslnym zwierzęciu porucznikowi Makowieckiemu, z którym urzędował w jednym pokoju. Młody człowiek cierpliwie słuchał przydługich historii o „fenomenalnym” kundlu, ale czasami tracił cierpliwość i próbował zmienić temat rozmowy:

— Wiesz co, Waleriana? — mówił. — Oddaj swojego psa do cyrku albo do filmu. Będą mieli z niego pociechę.

— A żebyś wiedział! — zaperzał się Pawelec. — Hipek ma więcej rozumu aniżeli niejeden dzisiejszy aktor. Ale do filmu go nie dam, bo mógłby mi się zdemoralizować.

Właśnie rozgorzała dyskusja na temat „Życia rodzinnego”, granego w kilku stołecznych kinach, kiedy zadzwonił telefon.

Pawelec podniósł słuchawkę.

— Szef zaprasza cię na pogawędkę — powiedział.

Makowiecki wstał i obciągnął na sobie mundur. Był wysoki, szczupły, jeszcze bardzo młody. Niedawno skończył prawo i dopiero drugi rok pracował w komendzie. Interesowała go zarówno kryminalistyka i jej zastosowanie w praktyce, jak i kryminologia wraz z problemami psychologicznymi i socjologicznymi. Z tego też zakresu miał zamiar pisać pracę doktorską.

Pułkownik Jagodziński polubił zdolnego, pełnego zapału chłopaka. Wiedział, że można na nim polegać, że każdą pracę wykona szybko i solidnie.

— Siadajcie, kolego. Co tam u was słyhać?

— Wszystko w porządku, panie pułkowniku. Pracuje się.

— Nie macie jakichś trudności, kłopotów?

— Na razie nie. Jakoś leci

— To bardzo się cieszę — powiedział Jagodziński, poprawiając się na krześle i wyciągając z kieszeni paczkę „sportów”. — Mam do was pewną sprawę.

Młody człowiek wyprostował się służbiście.

— Słucham?

— Widzicie... Jeden z moich przyjaciół prosił mnie, żebym pomógł jego dalekiemu kuzynowi. Jakieś tam skomplikowane sprawy rodzinne. Nie wiem nawet dobrze, o co chodzi. Zupełnie nie mam czasu rozmawiać z tym facetem i dlatego chciałem was prosić, żebyście wy z nim pogadali i dowiedzieli się szczegółów. Potem w paru słowach zreferujecie mi i będę miał to z głowy.

— Ależ oczywiście, panie pułkowniku. Bardzo chętnie. Mogę nawet napisać raport...

— Nie, nie trzeba. Dziękuję wam.

— Gdzie jest ten interesant? — spytał porucznik.

— Czeka w poczekalni. Zabierzcie go do siebie i przeproście, że nie mogę go osobiście przyjąć, ale niespodziewanie wypadła mi ważna konferencja, na którą muszę zaraz jechać.

— A jak on się nazywa?

— Zaraz, zaraz, chwileczkę — pułkownik zaczął prze rzucić nerwowo swoje notatki. — Aha, już mam. Nazywa się Mikołaj Konorski.

Po chwili Makowiecki zatrzymał się przed wysokim szczupłym mężczyzną, który, paląc papierosa, przechadzał się długimi, miarowymi krokami.

— Przepraszam. Czy pan Konorski?

— Tak. Jestem umówiony z pułkownikiem Jagodzińskim.

— Pan pułkownik kazał pana bardzo przeprosić, ale niespodziewanie wezwano go na konferencję do ministerstwa, więc mnie polecił przeprowadzić z panem rozmowę i ewentualnie udzielić pomocy.

— Ach, tak... No... nie wiem. .

— Mogę pana zapewnić — powiedział pośpiesznie Makowiecki — że zrobię wszystko, żeby panu pomóc. W razie potrzeby przekonsultuję oczywiście pańską sprawę z pułkownikiem, ale sądzę, że będzie to możliwe dopiero jutro rano. Jeżeli zatem zależy panu na czasie...

— No dobrze — zdecydował się Konorski. — Gdzie możemy spokojnie porozmawiać?

— Proszę pana do mojego pokoju.

Pawelec podniósł wzrok znad akt, które pracownicy studiował.

— Czy mam się ulotnić? — spytał.

Porucznik zatrzymał go ruchem ręki.

— Nie, nie, siedź spokojnie. Nie będziesz nam przeszkadzał. Chyba, że pan Konorski chciałby ze mną porozmawiać w cztery oczy...

Interesant zrobił niewyraźną minę.

— Bo ja wiem... Właściwie to są sprawy dość drażliwe, ale przecież panowie i tak...

Pawelec już nie próbował się „ulatniać”. W sposób bardzo dyskretny włączył magnetofon i wrócił do swojej roboty, udając, że zupełnie nie interesuje się „klientem” młodszego kolegi.

— Proszę, niech pan siada — powiedział Makowiecki, wskazując krzesło i wyjmując z szuflady biurka kilka kartek czystego papieru. — W czy m możemy panu pomóc?

— Właściwie.. zaczął niepewnie Mikołaj Konorski. — właściwie me jestem pewien, czy panowie... czy panowie mogą mi dopomóc w tej sytuacji, ale doprawdy nie wiem już, co mam robić... do kogo się zwrócić. Przepraszam pana, czy mogę zapalić?

— Oczywiście. Proszę.

— A może i pan...?

Makowiecki potrząsnął głową.

— Dziękuję. Ja nie palę. — Czekał cierpliwie, aż jego rozmówca zapali papierosa. Zauważył, że ręce mu drżą.

Facet musi być mocno przegrany — pomyślał.

Nie spieszył się z zadawaniem pytań. W milczeniu przyglądał się szczuplej, pociągłej twarzy, na której w tej chwili mało wało się zmieszanie, połączone z nerwowym podnieceniem.

Mikołaj zaciągnął się dymem i powiedział wreszcie:

— Widzi pan, panie poruczniku... to są moje bardzo osobiste, rodzinne sprawy... Sam nie wiem...

— Dołożymy wszelkich starań, żeby pana dopomóc — zapewnił go Makowiecki. — Poza tym może pan całkowicie polegać na naszej dyskrecji. Myślę, że najlepiej będzie, jeżeli pan

zupełnie szczerze i z pełnym zaufaniem powie nam, o co chodzi.

Mikołaj odetchnął głęboko.

— Dobrze — zdecydował się. — Powiem.

Historia o wyrodnym bracie zainteresowała obu milicjantów. Makowiecki słuchał uważnie, notując coś od czasu do czasu na kawałku papieru, Pawelec zaś przestał udawać, że pracuje, i utkwiał badawczy wzrok w twarzy mówiącego

Mikołaj skończył swą opowieść, wyjął z kieszeni spodni chustkę i otarł wilgotne od potu czoło. Zapanowała chwila kłopotliwego milczenia. Makowiecki spojrzał na Pawelca, a Pawelec spojrzał na Makowieckiego i nieznacznie wzruszył ramionami. Młody człowiek obracał w palcach długopis, przyglądając się interesantowi z niezwykłą uwagą. Wreszcie chrząknął i spytał:

— Jak dawno pański brat wyszedł z więzienia?

— Parę miesięcy temu. Chyba w końcu czerwca.

— Czy miał pan już jakieś przykrości z powodu brata?

— Jeszcze nie, ale w każdej chwili...

— A może już żadnych przykrości nie będzie, może pobyt w więzieniu oddziałal na pańskiego brata? Ludzie przecież się zmieniają...

Mikołaj potrząsnął głową.

— Nie, panie poruczniku — powiedział ze smutkiem.

— - Mój brat już nieraz siedział w więzieniu. I z reguły znów po jakimś czasie tam trafiał. Trudno uwierzyć, żeby się nagle tak radykalnie zmienił. Taki już się urodził. Niestety.

— Hm... — Makowiecki potarł dłonią czoło. — Doprawdy nie bardzo wiem, w jaki sposób moglibyśmy panu pomóc?

— Przepraszam, że zapytam — wtrącił się do rozmowy Pawelec. — Czy pański brat nie jest, że się tak wyrażę, oliwa?

— Nie, nie — zaprzeczył z ożywieniem Mikołaj. — Mój brat prawie w ogóle nie używa alkoholu, w każdym razie bardzo rzadko i w małych ilościach.

— Szkoda — zmartwił się sierżant. — Bo można by go ewentualnie wysłać na kurację odwykową i miałby pan choć przez pewien czas spokój, ale jeżeli nie pije, to nie wchodzi w

rachubę...

— Niech mi pan powie, panie poruczniku, co ja mam robić? — spytał Mikołaj. — Nie mogę przecież tak żyć w nieustannym zagrożeniu. Wykończę się nerwowo. Nie jestem pewny dnia ani godziny. Nigdy nie wiem... Poradźcie mi, panowie, co ja mam robić?

Makowiecki wykonał jakiś nieokreślony ruch ręką.

— Bo ja wiem. . Cóż... Właściwie... Milicja może interweniować wyłącznie w wypadku naruszenia norm prawnych, przepisów... Muszę się panu przyznać, że w danym wypadku nie wyobrażam sobie jakiejś akcji profilaktycznej z naszej strony. Proszę mi powiedzieć, czego się pan konkretnie obawia?

— Czego się obawiam? — Mikołaj uśmiechnął się smutnie. — Och, panie poruczniku... Po takich różnych doświadczeniach... W każdej chwili mogę być wplątany w jakąś aferę kryminalną. Tak zresztą już nieraz bywało. W końcu się oczywiście jakoś wytłumaczę, ale ile to kosztuje czasu, zdrowia, nerwów.

— A może przeniósłby się pan do innego miasta? — zaproponował Makowiecki.

Mikołaj wzruszył ramionami.

— No i co to da? Myślałem już o tym, ale... Co za różnica, że ja będę mieszkał w Krakowie, a Maurycy w Warszawie? Przecież bez trudu dowie się mojego adresu. On po prostu podaje się za mnie. Rozumie pan? Bo nawet pierwsze litery imienia mamy takie same. Zresztą zanim się wyjaśni, że Mikołaj to nie Maurycy... Musiałbym chyba wyjechać na stałe na przykład do Ameryki Południowej i w ogóle zniknąć. Rozpacz, zupełna rozpacz. Właściwie to ja wiedziałem, że panowie nic mi nie mogą pomóc, ale człowiek chce się ratować, szuka jakiegoś oparcia Pan mnie rozumie, panie poruczniku?

Makowiecki pokiwał głową.

— Tak, oczywiście, rozumiem pana bardzo dobrze. No cóż... sytuacja jest dość wyjątkowa i niezmiernie trudna. Pomówię jeszcze na ten temat z pułkownikiem, ale wydaje mi się, że wszystko, co możemy w tej chwili dla pana zrobić, to chyba tylko tyle, że zawiadomimy nasze komendy i nasze posterunki,

żeby byli przygotowani na to, że ewentualnie pański brat może się podawać za pana i żeby w razie jakiejś kryminalnej historii...

— Ja miałbym inną propozycję — odezwał się Pawelec.

Obaj z zainteresowaniem spojrzeli na sierżanta. Zrobił efektowną pauzę i po chwili mówił dalej:

— Ja bym panu radził, panie Konorski, żeby pan po prostu zmienił nazwisko.

— Żebym zmienił nazwisko?

— Jasne. Najprostsze wyjście z sytuacji. Zmieni pan nazwisko, wyjedzie pan do Poznania czy Bydgoszczy i spokojna głowa. Brat pana tak łatwo nie znajdzie, a gdyby nawet znalazł... Mikołaj, dajmy na to, Majewski nie będzie miał nic wspólnego z Maurycym Konorskim.

— Ależ ja nie chcę pozbywać się swego nazwiska! — oburzył się Mikołaj.

Sierżant wzruszył ramionami.

— Jak pan uważa. Ja osobiście wolałbym dziesięć razy zmienić nazwisko niż bez przerwy być wzywany do prokuratora i poszukiwanym przez milicję.

— Czy pan wie, że z moim nazwiskiem związane są tradycje historyczne? Czyż można tak wszystko w jednej chwili przekreślić, zerwać z tradycją?

— Tradycja tradycją, a w pudle za braciszka siedzieć niemiło — powiedział poważnie Pawelec. — Zresztą ja pana nie namawiam. Każdy robi, jak uważa za stosowne.

Mikołaj spojrział na Makowieckiego.

— A pan co o tym myśli, panie poruczniku?

— Bo ja wiem... — Młody człowiek skrzywił się niewyraźnie.

— No cóż... Wydaje mi się, że kolega ma dużo racji. Zmiana nazwiska niewątpliwie ułatwiłaby panu życie. Z drugiej strony rozumie, że człowiek przyzwyczaja się do swojego i dosyć trudno tak nagle zdecydować się na inne. Musiałby pan to sobie przemyśleć.

— Czy taka zmiana nazwiska to bardzo skomplikowana sprawa? — spytał Mikołaj.

— Myślę, że nie. Jeżeli pan to odpowiednio umotywuje...

—Najlepiej niech się pan przejdzie do Rady Narodowej — powiedział Pawelec. — Oni tam pana poinformują, jak to się załatwia.

— I otrzymałbym nowy dowód osobisty?

— Oczywiście.

—Muszę się nad tym zastanowić — Mikołaj miał bardzo zgnębioną minę. — Być może, że trzeba będzie skorzystać z pańskiej rady. Serdecznie panom dziękuję za życzliwość. Nie zabieram czasu. Przepraszam i do widzenia.

Kiedy drzwi się zamknęły za smutnym interesantem, Pawelec podrapał się w głowę i mruknął:

— Cholera. Całe życie żałowałem, że nie mam brata, a teraz widzę, że to nie zawsze takie wygodne.

—Co ty o tym w ogóle myślisz? — spytał Makowiecki.

— A cóż tu jest do myślenia? Facet ma nielichy klops. Nie da się zaprzeczyć.

—Radziłeś mu, żeby zmienił nazwisko. A ty byś zmienił?

— Jasne — uśmiechnął się sierżant. — Radziwiłł, Potocki albo Lubomirski może by lepiej brzmiało aniżeli Pawelec... chociaż... bo ja wiem, Pawelec dosyć mi się podoba. No cóż... przyzwyczaiłem się.

— A widzisz. On także przyzwyczaił się do Konorskiego. Nie tak łatwo odwyknąć od własnego nazwiska.

— Fakt — zgodził się Pawelec i wrócił do przerwanej pracy.

ROZDZIAŁ III

W ciągu paru najbliższych dni Joanna ani razu nie spotkała się z narzeczonym. Nie była pewna, czy jego zły humor spowodowany był wyłącznie pojawieniem się marnotrawnego brata. Wprawdzie opowiadanie Mikołaja brzmiało bardzo przekonująco, ale... Bała się, czy to nie był jedynie pretekst. Nie zniosłaby jakiegokolwiek wątpliwości. Nigdy nie rozumiała kobiet, które narzucają się mężczyźnie. Pogardzała nimi. Myśl, że mogłaby stać się jedną z nich, napawała ją obrzydzeniem. Postanowiła na jakiś czas przerwać spotkania, przekonać się, jak to wszystko właściwie naprawdę wygląda. Od owego niezbyt

udanego deszczowego wieczoru nie dawała znaku życia, nie zadzwoniła. Czekala.

Tak się złożyło, że właśnie w tym czasie miała dużo pracy w telewizji, wyjechała w teren na reportaż, a potem całe dni przesiadywała w studio. Oczekiwanie zatem nie było zbyt uciążliwe, dni szybko mijały.

Mikołaj pierwszy się odezwał. Któregoś dnia z samego rana zatelefonował. Pytał, jak się czuje, czy nie ma grypy, dlaczego nie dzwoni... a może się gniewa?

Odpowiedziała, że jest zupełnie zdrowa, że się nie gniewa, że zważyło jej się w telewizji masę roboty i dlatego nie ma czasu ani na telefonowanie, ani na spotkanie.

— Słuchaj, Joasiu... — głos Mikołaja zabrzmiał miękko, serdecznie. — A może ty masz do mnie żal, może się gniewasz za tamten wieczór?

— Oszalałeś? Co ci w ogóle przychodzi do głowy?

— Bo tak mi było wtedy bardzo przykro. Nie wyobrażasz sobie nawet... Nie mogłem sobie darować, że...

— Dajże spokój — przerwała mu niecierpliwie. — Nie mam do ciebie żadnego żalu, Kola, i nigdy nie miałam. Jak tylko uporam się trochę z robotą, zadzwonię do ciebie. A teraz cześć, bo bardzo się śpieszę.

Podśpiewując wesoło poszła do łazienki. Od razu poprawił jej się humor.

Zadzwonił — myślała z zadowoleniem — więc jednak mu zależy. Niech sobie trochę poczeka! Taka rozłąka doskonale mu zrobi. Niech sobie nie wyobraża, że tak mi znowu na nim szalenie zależy. Zatelefonuję za dwa dni. Spotkam się z nim gdzieś na kawie. Będę wesoła, żartobliwa, ale tak trochę na dystans. Nie zaproszę go do siebie ani nie pójdę do niego. O nie! Na to musi jeszcze zaczekać.

Rozmyślenia na temat Mikołaja zabrały jej sporo czasu. Potem nastąpił szereg drobnych niepowodzeń: wykpiąło mleko, puściło oczko, zapodziała się gdzieś szminka, motor nie chciał zapalić. W rezultacie spóźniła się do redakcji.

Edzio, kolega telewizyjny, miał tak ponurą minę, jak by przyjechała do niego w odwiedzinę cała rodzina z prowincji.

Pewnie ma znowu kaca — pomyślała Joanna i spytała wesoło:

— Co słyhać?

— Telefonowała do ciebie jakaś babka — powiedział grobowym głosem Edzio. — Zapisałem nazwisko. Położyłem na twoim biurku.

— Dziękuję ci, Edeczku. Jesteś bardzo miły. — Joanna powiesiła płaszcz i chwyciła kartkę, na której nabazgrane było parę słów. Charakter pisma zdradzał głęboką depresję psychiczną autora notatki.

— Ależ to Karolina! Strasznie dawno jej nie widziałam. Muszę do niej zaraz zadzwonić.

— Kolegium o jedenastej — przypomniał Edzio — Czy mogłabyś mi pożyczyć dwadzieścia złotych?

— A bo co?

— Strasznie mnie suszy. Chciałbym wyskoczyć na piwo.

Otworzyła torebkę.

— Proszę. Zamiast piwa radzę ci kefirek — powiedziała opiekuńczym tonem, uśmiechnęła się i podniosła słuchawkę.

*

Karolina mieszkała w Radości, w małym jednorodzinny domku, który pozostał jej jako wspomnienie po nieudany małżeństwie. Nie mogła sobie ułożyć spokojnego, uregulowanego życia, o jakim zawsze marzyła. Dwa razy wychodziła za mąż i dwa razy przekonywała się bardzo prędko, iż popełniła fatalną omyłkę,

A przecież była kobietą, z którą mężczyzna powinien być bardzo szczęśliwy. Posiadała wszystkie cechy dobrej żony i matki. Postawna, dorodna, świetnie zbudowana, miała klasyczne rysy, a długie, sięgające do kolan ciemne włosy podkreślały jej nienowoczesną urodę. Robiła wrażenie bohaterki wyjętej z kart dziewiętnastowiecznej powieści. Natura obdarzyła ją pogodnym usposobieniem. Była zgodna, lubiła dom, gospodarstwo domowe i dzieci. Ponadto miała w ręku fach, który czynił

ją zupełnie niezależną materialnie. Czegóż więcej mógł więc żądać mężczyzna szukający kandydatki na żonę? A jednak..

Joanna zatrzymała wóz i przez chwilę przyglądała się przyjaciółce, która w roboczym kombinezonie pociągała zieloną farbą żelazne sztachety. Tak była zaabsorbowana tym zajęciem, że nie zwróciła uwagi na warkot motoru.

— Lina!

Odwróciła się gwałtownie. Czarne oczy błysnęły radością.

— Joanna! Kochana! Tak się cieszę... Nie masz pojęcia, jak na ciebie czekałam. Już zaczęłam się obawiać, że nie przyjeździesz.

— Zatrzymali mnie trochę dłużej w telewizji — powiedziała Joanna. — W żaden sposób nie mogłam się wyrwać. Ale powiedz, co się właściwie stało? Tak ze mną tajemniczo rozmawiałeś. Nie zrozumiałam, o co chodzi.

— Nie mogłam przez telefon... Chodź, chodź, pogadamy. Wszystko ci opowiem.

Karolina zabrała wiadro z farbą, pędzel i ujęła przyjaciółkę pod rękę.

Wąską ścieżką, pokrytą zeschniętymi liśćmi, ruszyły ku domowi. Trzy betonowe schodki, malusieńki ganeczek, obrośnięty dzikim winem. Weszły do środka. Było tu ciepło i pachniało jabłkami.

Karolina obróciła ku przyjaciółce rozjaśnioną twarz.

— Przyjeżdża — powiedziała wyraźnie wzruszona — Wyobraź sobie, że przyjeżdża!

Joanna na wszelki wypadek wyczuła ją serdecznie. Dopiero potem spytała:

— Kto przyjeżdża?

— Joachim! Otrzymałam depeszę. przyjeżdża w sobotę. Odwiozłam Pawła do mamy i zabrałam się do porządków. Chcę, żeby mu się u nas spodobało. Nie masz pojęcia, jaka jestem szczęśliwa. Ja będę miała męża, a Paweł ojca!

Joanna tak była oszołomiona tą niespodziewaną wiadomością, że w pierwszej chwili zupełnie zaniemówiła. Dopiero po pewnym czasie odzyskała zdolność trzeźwego rozumowania.

— Jesteś zupełnie pewna, że przyjeżdża?

— No zobacz, zobacz — Karolina chwyciła leżącą na bocznym stoliku depeşe. — Czytaj. Przecież tu jest zupełnie wyraźnie napisane.

Joanna uważnie przestudiowała tekst telegramu.

— No, rzeczywiście. Chyba nie można mieć żadnych wątpliwości. Pisze także o ślubie.

— Widzisz... widzisz... — promieniała Karolina. — Tak się cieszę, Joasiu, tak bardzo się cieszę. Chodzi mi przecież o dziecko, o Pawła. Wreszcie będzie miał ojca, nie będzie się czuł upośledzony. To bardzo ważne. Pragnęłam mieć dziecko. Ty przecież najlepiej wiesz, jak bardzo pragnęłam mieć dziecko. W moim wieku to już nie takie proste. Cieszyłam się. Byłam szczęśliwa. Ale potem, jak się zaczęłam zastanawiać nad tym wszystkim... W dzisiejszych czasach niby to nie żaden wstyd nieślubne dziecko, ale... Mnie to zresztą nic nie obchodzi, tylko Paweł... Wiesz, jakie są dzieci... Pójdzie do szkoły, koledzy zaczną się wypytywać o tatusia. Powstałyby przeróżne problemy, może i kompleksy... Teraz wszystko się unormuje. Paweł nawet nie będzie wiedział, że..

— Ogromnie się cieszę — powiedziała szczerze Joanna. — Naprawdę. Teraz już mogę ci się przyznać, że miałam wyrzuty sumienia.

— Wyrzuty sumienia? Ty? — zdziwiła się Karolina. — Ale dlaczego?

— No... jak by nie było, ja cię poznałam z Joachimem.

Karolina roześmiała się.

—No wiesz... To dobre. Mało ludzi poznaję? Nie musiałam przecież z nim romansować. Chciałam... Podobał mi się.

—Ciekawa jestem, jak on teraz wygląda — powiedziała Joanna. — To chyba już trzy lata...

—Prawie. Mniej więcej w połowie grudnia będzie trzy lata. A Joachim wygląda świetnie. Nawet jakby trochę zeszczuplał.

— Skąd wiesz?

— Niedawno przysłał mi swoją fotografię.

— Nic mi nie mówiłaś, że pisał.

—Nie chciałam zapeszyć — uśmiechnęła się Karolina. — Pisał. Dopytywał się o Pawła. Pisał, że przyjedzie i że się pobie-

rzemy. Ale ja nie bardzo wierzyłam. Dlatego wołałam ci nic nie mówić. Bałam się, że ślub nie dojdzie do skutku, że on tylko tak...

— Przy pływa statkiem?

— Nie. Przylatuje samolotem.

— Wyjedziesz po niego na lotnisko?

— No chyba!

Karolina zaprowadziła przyjaciółkę do swojego pokoju.

— Ulokuj się wygodnie na tapczanie, a ja zaraz zrobię herbatę.

— Daj spokój! Nie zwracaj sobie głowy herbatą. Siadaj. Pogadamy.

— Ależ to moment. Sama chętnie się napiję. Trochę zmarzłam przy tych sztachetach.

Karolina wyszła do kuchni, a Joanna usadowiła się na kolorowych poduszkach i zaczęła przeglądać stary numer „Ty i Ja”. Po pierwszym radosnym podnieceniu, pojawił się niepokój..A co z Robertem? Jak on to przyjmie? Czy obejdzie się bez scen? To nie takie proste. Mogą być kłopoty, poważne przykrości. Nie wolno dopuścić do tego, żeby oni się spotkali. Robert to nieobliczalny wariat. Wszystkiego można się po nim spodziewać.

— Uczta gotowa — powiedziała Karolina, stawiając na stole herbatę i kryształowy talerz z ciastem „własnej j roboty”. — A nie zjadłabyś czegoś solidniejszego? Może jesteś głodna?

— Dajże spokój — zaprotestowała Joanna. — Przecie? przyjechałam do ciebie po obiedzie. Nie mogę nawet myśleć o jedzeniu. Najwyżej kawałeczek tego ciasta, której wygląda wspólnie.

— Joachim przepada za moim sernikiem — zamyśliła się Karolina. — Chyba jutro upiekę. Myślę, że zdążę.

Przy drugim kawałku ciasta Joanna powiedziała:

— Wiesz... muszę ci się przyznać, że jestem jednak trochę niespokojna.

— Dlaczego?

— Myślę o Robercie.

— Że niby co?

— No... żebyś nie miała jakichś przykrości z jego powodu.

Karolina sięgnęła po następną porcję placka.

— A jakież ja mogę mieć przykrości z powodu tego smarkacza?

— Wiesz przecież, że jest w tobie nieprzytomnie zakochany.

— No to co z tego? Nigdy nic mnie z nim poważniejszego nie łączyło i nigdy nie robiłam mu żadnych nadziei.

— Ale za to on miał nadzieję, że w końcu...

— Daj spokój. Chłopak ma dwadzieścia osiem lat. To jeszcze nie mężczyzna, w każdym razie nie dla mnie.

— Tacy najgorsi. Zupełny brak doświadczenia życiowego, brak rozsądku. A Robert jest wyjątkowo postrzelony. Trudno przewidzieć, co zrobi, kiedy się dowie, że wychodzisz za męża.

Karolina wzruszyła ramionami.

— A niech sobie robi, co chce. Co mnie to obchodzi.

— Nie boisz się jakiejś rozróby?

— Nie przesadzaj.

— Byłoby lepiej, żeby Joachim z nim się nie spotkał. Mogłoby dojść do ostrego spięcia

Karolina uważniej spojrzała na Joannę.

— Tak sądzisz?

— Znając Roberta...

— Ależ on nie ma żadnych podstaw, żeby się awanturować. Tłumaczę ci przecież, że nigdy nic mnie z nim nie łączyło. Zwyczajny znajomy, jakich wielu.

- Zakochany w tobie...

— To nie moja wina. Ja go nie kokietowałam.

— Bywał tu u ciebie.

— Parę razy

— A może kilkanaście razy albo kilkadziesiąt?...

— Choćby nawet — zaperzyła się Karolina. — No to co z tego? Jak już przyszedł, to przecież nie mogłam go wyrzucić.

— Chodziłaś z nim do kina, do kawiarni.

— Czasami. To były zupełnie sporadyczne wypadki.

— Ale byli.

— Posłuchaj mnie, Joasiu — Karolina zaczynała zdradzać zniecierpliwienie. — To, że od czasu do czasu pójdę ze znajomym do kina czy kawiarni, to jeszcze nie znaczy, że ten ktoś może sobie do mnie rościć jakieś prawa. Ostatecznie nie żyjemy w średniowieczu.

— W średniowieczu nie było kina — zauważyła rzeczowo Joanna.

Wybuchnęły śmiechem. Karolina uściskała przyjaciółkę.

— Joasiu, jesteś nieoceniona. Potrafisz rozładować każdą, nawet najbardziej napiętą, atmosferę.

Nie życzę ci napiętych atmosfer. A mówiąc poważnie, boję się trochę, żeby ten wariat nie narobił ci przykrości.

— Bo jeśli Joachim...

— Przecież ci powiedziałam — przerwała Karolina że z tym chłopakiem nic mnie absolutnie nie łączy. Nawet się ani razu nie pocałowaliśmy.

Joanna położyła jej rękę na ramieniu.

— Daj spokój, Lina, my się nawzajem nie potrzebujemy czarować. Jeżeli Robert odwiedzał cię tutaj, w Radości, jeżeli chodziliście razem do kina, do kawiarni, na spacer, to nie w mówisz we mnie, że ci się nie podobał. Nie musiałaś się z nim widywać. Pod jakimkolwiek pretekstem mogłaś z tym skończyć. Ale nie chciałaś skończyć, ponieważ chłopak podobał ci się. Trochę wodziłaś go za nos. Bawiło cię to. No,¹ przyznaj się.

— Napijesz się winiaku? — spytała Karolina i, nie czekając na odpowiedź, wyjęła z barku butelkę i dwa kieliszki. — Powiedzmy, że kiedyś trochę mi się podobał — powiedziała cichym, spokojnym głosem. — Jest pełen życia, rozmachu, wigoru, temperamentu. Poza tym artysta. To wszystko działa na kobiety. Nie zaprzeczysz, że ty także byłaś w swoim czasie zainteresowana nim.

— To prawda — przyznała Joanna. — Ale bardzo prędko mi przeszło Nie lubię takich postrzelonych facetów. Z nim nigdy nic nie wiadomo. Ciągłe zmiany nastrojów, humory, dąsy albo znowu jakieś szalone pomysły fantastyczne projekty.

—Mikołaj jest człowiekiem o wiele bardziej statecznym —

powiedziała Karolina. — Nie da się zaprzeczyć. — Spozstrzegła niewyraźną minę Joanny. — Coś nie gra? — spytała zdziwiona.

— Muszę ci się przyznać, że ostatnio Mikołaj...

— Co się stało? Pokłóciliście się?

—Nie, nie pokłóciliśmy się, ale jest jakiś dziwny, niespokojny, rozdrażniony.

— I nie wiesz, o co mu właściwie chodzi? Muszą być jakieś przyczyny tego rozdrażnienia.

—Prawdę mówiąc, nie bardzo wiem. Niby Kola wspominał, że ma kłopoty z bratem... Bo wiesz, okazało się, że brat Mikołaja siedział — za bandytyzm, wyobraź sobie — i niedawno wyszedł z więzienia, ale...

— Ten cały braciszek to zdaje się niezły numer — przerwała jej Karolina. — Czy wiesz, że on tu był u mnie?

Joanna aż podskoczyła na tapczanie

— Co ty powiesz? Maurycy Konorski był u ciebie?

— Wyobraź sobie.

— I nic mi nie powiedziałaś?

—A po cóż miałam mówić? Żebyś się i ty zdenerwowała? Zresztą bardzo dawno nie widziałyśmy się. Nie było okazji.

—Czego chciał?

—Pytał, czy nie mam jakichś wiadomości od Joachima.

— A ty? Co mu powiedziałaś?

—Że nie - mam. Ani myślę wtajemniczać go w moją korespondencję z Joachimem.

— Bardzo dobrze zrobiłaś. A jak on wygląda?

— To ty go nigdy nie widziałaś?

—Nie. Bardzo jestem ciekawa, jak wygląda. Dużo o nim słyszałam.

Karolina uśmiechnęła się.

—Jak by ci go scharakteryzować? No cóż... kawał chłopca, wyższy od Mikołaja, szerszy w barach. Głos ma, niski, trochę schrypnięty, taki, wiesz, przepity, przepalony. Nosi brodę, wąsy. Nie da się zaprzeczyć, że wygląda na lepszego bandziora. Porusza się szybko, sprężysto. Robi wrażenie mężczyzny silnego i wysportowanego.

— A inteligencja?

— Czy ja wiem?... Krótko z nim rozmawiałam. Wydają mi się jednak, że to facet bystry, a przede wszystkim, bardzo sprytny.

— Zachowywał się przyzwoicie?

— Zupełnie poprawnie. Nie mam pojęcia, skąd dowiedział się o Pawle. Pytał o małego, twierdząc, że to przecież rodzina. Chciał koniecznie zobaczyć „kuzynka”. Całe szczęście, że poprzedniego dnia odwiozłam Pawła do mamy. Chyba przestraszyłyby się takiego ogromnego brodacza.

— To ciekawe — powiedziała Joanna i zamyśliła się. — I Skąd ten Maurycy mógł wiedzieć, że ty i Joachim... Przecież wtedy siedział w więzieniu.

— Och, moja droga — Karolina napełniła kieliszki winiakiem. — Warszawa to bardzo małe i bardzo plotkarskie miasto. Wszyscy się znają, a jeżeli nawet się nie znają, to wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich. Niezwykle trudno utrzymać coś w tajemnicy.

— To prawda — przytaknęła Joanna, która nie chciała dać poznać po sobie, że wiadomość o wizycie Maurycego przeraziła ją. Odruchowo sięgnęła po kieliszek. — Czy chcesz, żeby Joachim zamieszkał u ciebie? — spytała po chwili.

— Oczywiście. Widzisz przecież, że przygotowuję dom na jego przyjęcie. Dlaczegoż miałby się tułać po hotelach? Tutaj miejsca jest dosyć. Będzie miał świeże powietrze, a dojechać do Warszawy to żaden problem.

— Może w hotelu czułby się swobodniejszy? — próbowała argumentować Joanna. — Wiesz, jacy są starsi panowie. Mają swoje przyzwyczajenia, dziwactwa. Niech sobie pomieszka jakiś czas w hotelu, a dopiero potem...

Karolina wzruszyła ramionami.

— Dziwna jesteś. Przecież mamy się pobrać. Po to przyjeżdża. Musimy jak najprędzej zgrać nasze przyzwyczajenia i dziwactwa. Od razu zabiorę go do domu i będziemy próbować razem żyć. Uważam, że tak będzie najlepiej. Bez żadnych przejściowych etapów.

— Może i masz rację.

Umilkły. Każda zajęła się własnymi myślami. Karolina zastanawiała się nad tym, w jaki sposób upiększyć mieszkanie na

przyjęcie przysłego męża, Joannę zaś ogarniał coraz większy niepokój. Należała do tych, niezwykle rzadko spotykanych kobiet, którym nieznane jest uczucie zawiści. Szczerze pragnęła szczęścia Karoliny i dlatego właśnie bała się Zarówno miłość Roberta, jak i niespodziewane odwiedziny Maurycego napawały ją bliżej nieokreśloną obawą. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że nad nie spełnionym jeszcze szczęściem Karoliny zawisły groźne chmury, z których ona nie zdawała sobie sprawy.

Karolina pierwsza przerwała milczenie.

— Wiesz, co mnie najbardziej martwi? To, że Joachim na pewno będzie chciał nas zabrać do Australii.

— Nie rozumiem — Joanna spojrzała zdziwiona na przyjaciółkę. — Na to chyba jesteś przygotowana. Tę oczywiście, że Joachim zabierze was do Australii. Ma tam przecież swoje majątki, fabryki, biura. Nie sądzisz, że rzuci to wszystko i zamieszka z tobą w Radości!

Karolina pokiwała głową.

— Tak. wiem... naturalnie. Ale widzisz... To nie takie proste, taki wyjazd na stałe... zerwanie z krajem. To s|| tak mówi, ale .. Bardzo młodzi ludzie może łatwiej przystosowują się do nowych warunków, do nowej ojczyzny ale w moim wieku ..

— No, no, nie rób z siebie zgrzybiałej staruszki — roześmiała się Joanna. ---Tak mówisz, jakbyś co najmniej dobiegała setki. Mówiąc poważnie, to oczywiście jest problem. Doskonale cię rozumiem. Myślę jednak, że trzeba się zdecydować na wyjazd. Nie może przecież żona mieszkać w Radości, a mąż w Australii. Musisz to zrobić choćby dla dobra dziecka.

Karolina zaszepiła się.

— Paweł będzie Australijczykiem, Polska stanie się dla niego mitem.

— Nie przesadzaj — zachnęła się Joanna. — Przecież Joachim jest Polakiem. Będziecie rozmawiać w domu po polsku. Sprowadzisz polskie książki. Zresztą dużo rzeczy możesz zabrać. Na pewne znajdziesz w Australii Polaków. Jak tylko będziecie oboje chcieli, to Paweł się nie wynarodowi.

— To się tak tylko mówi — westchnęła Karolina. Iluż jest takich Polaków za granicą, których dzieci nie znają nawet pol-

skiego języka, wstydzą, się mówić po polsku.

— To wyłącznie wina rodziców. A zresztą co się będziesz martwić na zapas. Grunt, że Joachim przyjeżdża, pobierzecie się, Paweł będzie miał ojca, ty dobrego, kochającego męża.

— A co z moją pracą?

Joanna roześmiała się.

— No wiesz... Myślę, że jako żona milionera nie będziesz musiała pracować.

— Ależ ja chcę pracować — zaperzyła się Karolina. — Nie myślę rezygnować z mojego zawodu. Cóż ty sobie wyobrażasz, że mnie wystarczy rola żony milionera?

Joanna wzruszyła ramionami.

—Przyznam ci się szczerze, że ja bardzo chętnie przez jakiś czas ograniczyłabym się do roli żony milionera. To nie musi być takie bardzo przykre. Ale jeżeli się upierasz... Myślę, że jakaś nostryfikacja dyplomu... A może w Australii nie trzeba nostryfikować naszego dyplomu? Nie wiem. Nie znam się na tym. W każdym razie przyda się tam dobry lekarz. Bądź spokojna. Porozmawiasz z Joachimem, on ci poradzi. Na pewno jest zorientowany w tych sprawach. Nie stwarzaj sobie niepotrzebnie dodatkowych problemów. Dobrze jest, jak jest. Ciesz się! Radzę ci tylko, żebyś taktowanie porozmawiała z Robertem przed przyjazdem Joachima. Niech przywyknie do tej myśli, że wychodzisz za męża.

— Masz rację — powiedziała Karolina. — Zobaczę się z nim i postaram się wszystko mu wytłumaczyć. Mam nadzieję, że zrozumie. Żałuję teraz, że w ogóle nawiązałam tę znajomość, ale...

— Już nasze babcie wiedziały, że pozowanie rzeźbiarzowi czy malarzowi to ryzykowna historia — uśmiechnęła się Joanna. — Radzę ci przeprowadzić tę rozmowę na neutralnym gruncie, a nie u niego w pracowni.

— Ja do pracowni już od dawna nie chodzę...

— Więc jednak nie od dziś orientujesz się w sytuacji.

— No wiesz... Chyba każda kobieta lubi być adorowaną, podziwianą. Nie liczyłam na Joachima. Znajomość z Robertem traktowałam jako nieobowiązujący, przelotny flirt. Nie miałam

przecież zamiaru wiązać się z chłopakiem, który jest o dwanaście lat młodszy ode mnie. Nonsens. Po prostu czasami czułam się samotna, potrzebowałam towarzystwa...

— Rozumiem. Ale z chwilą kiedy zauważyłaś, że jest w tobie zakochany...

— Tak, to był poważny błąd z mojej strony — przyznała Karolina — Myślałam, żeby z nim zerwać, ale odkładałam to z dnia na dzień. Nie mogłam się zdecydować. Trochę mi było żal. Przyzwyczyłam się.

— Jestem pewna, że sobie jakoś poradzisz — powiedziała z uśmiechem Joanna. — Przy twojej energii... — Wstała i obciągnęła sukienkę. — No... kochanie, muszę wracać do Warszawy. Mam jeszcze trochę roboty. Dziękuję za wyśmienitą herbatę! Zadzwoń do mnie! Chciałabym się zobaczyć z Joachimem.

— A może wyjedziesz ze mną po niego na lotnisko?

— Może. Jeszcze się skomunikujemy. *Ciaó!*

Joanna w nie najlepszym humorze wracała do Warszawy. Tak była zaabsorbowana swymi niespokojnymi myślami, że o mało nie przejechała psa, a za następnym zakrętem byłaby wpadła na motocyklistę. W ostatnim ułamku sekundy gwałtownie skręciła w lewo. Krew uderzyła jej do głowy. Zwolniła.

Karolina wszystko sobie jakoś ułoży, a ja tymczasem zabiję się albo pójdę do więzienia — pomyślała.

W domu czekała ją niespodzianka. Na dźwięk otwieranych drzwi, Teresa wybiegła do przedpokoju i pochyliła się do ucha siostry.

— Przyszedł — szepnęła tajemniczo.

— Kto?

— No ten... Mikołaj. Czeka u ciebie. Już z pół godziny.

— Czego chce? — spytała równie cicho Joanna.

— Nie wiem. Nie mówił mi.

Zdjęła płaszcz i poszła do swojego pokoju.

Mikołaj wstał z fotela.

— Bardzo cię przepraszam, że tak wpadłem bez zapowiedzenia, ale...

— Czy coś się stało? — spytała obojętnie.

—Tak. To znaczy... Właściwie nic się nie stało. Otrzymałem niespodziewaną wiadomość. Wyobraź sobie, że przyjeżdża wuj Joachim.

— I to cię tak podekscytowało?

—No wiesz... — Mikołaj popatrzył na nią niepewnie. — Dla ciebie to może nie ma większego znaczenia, ale dla mnie...

— Pojedziesz na lotnisko, powitasz wujaszka i...

— Skąd wiesz, że wuj Joachim przylatuje samolotem?

Joanna, zła na siebie, że tak głupio się wygadała, szybko jednak odzyskała pewność siebie.

— Po prostu domyśliłam się, że wuj nie przyjedzie z Australii ani na strusiu, ani na kangurze, tylko przyleci samolotem. Podobno to najszybszy i najwygodniejszy środek lokomocji.

Mikołaj nie zauważył nawet kpiny w jej głosie. Spojrzał na Joannę z roztargnieniem.

—Tak, tak, oczywiście. Widzisz, Joasiu... przyszedłem do ciebie, bo właściwie... Po prostu nie mam nikogo bliskiego, z kim mógłbym się poradzić. To wszystko nie jest takie proste i dlatego... Ale widzę, że jesteś niezadowolona, że przyszedłem. Przepraszam cię. Zaraz idę...

—Wiesz, że nie jestem specjalną zwolenniczką niespodzianek. Ustaliliśmy, że zawsze zadzwonisz, jak będziesz chciał się ze mną zobaczyć.

—Dzwoniłem, ale nikt nie odbierał, Myślałem, że może macie uszkodzony aparat. Wsiadłem w taksówkę i przyjechałem. Jeżeli ci przeszkadzam, to bardzo przepraszam i do widzenia.

—Zaczekaj — wzięła go za rękę. — Skoro już jesteś, to siadaj i powiedz szczerze, co cię właściwie dręczy? Przecież widzę, jak jesteś podniecony. Czyżby rzeczywiście przyjazd wuja tak na ciebie wpłynął?

Mikołaj usiadł i zapalił papierosa.

—Zrozum, Joasiu... — powiedział, chowając zapalki do kieszeni. — To wszystko cholernie działa mi na nerwy. Chodzi oczywiście o Maurycego...

— Radziłam ci, żebyś się porozumiał z milicją.

— Byłem u nich.

— No i co?

— Powiedzieli mi, że najlepiej zmienić nazwisko i wyjechać z Warszawy. Ale w tej chwili nie o to chodzi. Boję się, że dojdzie do piekielnej awantury pomiędzy wujem a Maurycem.

— Dlaczego ma dojść do awantury?

— Nie znasz jeszcze dobrze wuja Joachima. To choleryk, impetyk, pasjonat. A Maurycy jest taki sam. Wuj był zawsze przeciwny małżeństwu naszej matki z naszym ojcem. Uważał, że matka popełniła mezalians. Jak się dowiedział, że Maurycy siedział w więzieniu... jako zwykły kryminalista... dostał ataku furii, o mało szlag go nie trafił. Uważa, że złe skłonności Maurycy odziedziczył po ojcu, a Maurycy od małego chłopca ubóstwiał ojca. Nie wiem, co będzie, jak oni się spotkają. Wuj na pewno zechce przeprowadzić zasadniczą rozmowę z Maurycem.

— A może uda ci się przekonać wuja, żeby dał sobie spokój i w ogóle nie rozmawiał z twoim bratem? — powiedziała Joanna.

Mikołaj machnął ręką.

— To beznadziejne. Jestem pewien, że wuj będzie chciał odbyć naradę rodzinną, wezwie mnie, Maurycego, może jeszcze kogoś z dalszej rodziny...

— Więc co zamierzasz?

— Właśnie nie mam pojęcia. Przyszedłem do ciebie, chociaż wiem, że to nie ma sensu. Cóż ty mi możesz pomóc? Niepotrzebnie zawracam ci głowę moimi sprawami.

Joanna dotknęła jego ramienia.

— Nie mów tak, Kola. Sprawiasz mi przykrość. Przecież wiesz, że wszystko, co ciebie dotyczy, bardzo mnie żywo obchodzi. Cieszę się, że przychodzisz do mnie ze swoimi kłopotami, ale, jeżeli mam być szczerą, rzeczywiście nie bardzo wiem, co ci tu poradzić. Myślę, że byłoby najlepiej, żebyś porozmawiał z Maurycem. Na czas pobytu wuja powinien wyjechać z Warszawy. To chyba najprostsze.

— Tak. To byłoby najprostsze — powtórzył w zamyśleniu Mikołaj. — Masz rację. No cóż... Spróbuję z nim pomówić. Wątpię jednak, czy to coś da. Jest bardzo uparty, a poza tym od

małego dziecka nosi w sobie ducha przekory. Zawsze tak było. Wystarczyło powiedzieć, że coś jest białe, żeby Maurycy natychmiast zaczął dowodzić, że właśnie to coś jest kruczozarne. Jak tylko poproszę go, żeby wyjechał na jakiś czas, pewnie się uprze i zostanie. Zresztą nie wiadomo, na jak długo wuj przyjeżdża. Może będzie chciał się ożenić z Karoliną?

— To niewykluczone. — Joanna nie chciała za dużo mówić na temat Karoliny i Joachima, tym bardziej że Karolina nie zdradziła się niczym w rozmowie z Maurycem.

— No właśnie — podchwycił Mikołaj. — Jeżeli wuj będzie chciał urządzić tutaj weselisko, to i dłużej posiedzi. Nie mogę przecież wymagać od Maurycego, żeby wyjechał na czas nieokreślony. Musiałbym mu sfinansować pobyt w jakimś kurorcie, a na to mnie nie stać.

— Pożyczę ci trochę forsy — powiedziała Joanna.

Mikołaj roześmiał się.

— Dajże spokój! Bardzo ci dziękuję za dobre chęci, ale nie skorzystam. Przede wszystkim potrzebna by była spora suma, a poza tym nie lubię zaciągać długów. Tobie także się nie przelewa. Nie możesz pożyczać, nie mając pewności, że dłużnik jest osobą wypłacalną.

— Nie zarabiam tak źle, jak ci się zdaje. To prawda, że utrzymanie wozu sporo kosztuje, ale przy mojej pracy własny środek lokomocji jest niezbędny. W każdym razie jakoś sobie radzę i jeżeli ci potrzeba.

— Nie, nie — zaprotestował Mikołaj. — Dziękuję ci serdecznie, ale nie skorzystam. Nie mówmy już na ten temat.

— Jak chcesz.

Mikołaj wstał, podszedł do Joanny i objął ją ramieniem.

— Joasiu...

Odwróciła głowę.

— Co?

— Dawno cię nie widziałem. Stęskniłem się.

— Miałam dużo pracy.

— Czy tylko twoja praca była powodem, żeśmy się nie widywali?

- Nie wiem. Może nie tylko.
- Gniewasz się na mnie?
- Nie, tylko nie lubię się nikomu narzucać.
- Jesteś strasznie niemądra Przecież wiesz, że cię Kocham.

ROZDZIAŁ IV

Edzio nie miał kaca.

Joanna z pewnym niepokojem przyglądała się schludnie odzianemu, ogolonemu i porządnie ostrzyżonemu koledze. Niełatwo było ją zaskoczyć, ale w danym wypadku...

— Co ci jest, Edziu?

Podniósł na nią wesołe, błyszczące oczy.

— A co ma mi być?

— Nie... nic... — Trochę się zmieszala. — Zdawało mi się, że jesteś jakiś nieswój. Dobrze się czujesz?

— Znakomicie. Dawno tak się świetnie nie czułem — Poprawił sobie krawat, kołnierzyk i dodał z uśmiechem: — Mam wrażenie, że jesteś cokolwiek zdziwiona.

— Nie mogę zaprzeczyć, że...

— Czyżby onieśmieliła cię moja wytworność i elegancja?

— Prawdę mówiąc, dawno nie widziałam cię w krawacie.

— Dusi mnie — jęknął cicho Edzio, dotykając szyi. — Nie przywykły. Kiedyż wreszcie zerwiemy raz na zawsze z tymi drobnomieszczańskimi przesadami?

— Musisz nosić krawat?

— Muszę. Moja narzeczona życzy sobie tego.

— Ty masz narzeczoną? — zdziwiła się Joanna. — Naprawdę zaręczyłeś się?

— Gorzej — odparł markotnie Edzio. — Żenię się.

— Żenisz się? Edziu! Kiedy?

— Dzisiaj.

— Bój się Boga!

— No właśnie. I wszystko przez to, że jestem niewierzący.

— Nie rozumiem.

— To przecież proste. Gdybym był wierzący, Pan Bóg by mnie ustrzegł. A tak...

Joanna parsknęła śmiechem.

— I pomyśleć... Taki przeciwnik małżeństwa!

— Wpadłem — jęknął żałośnie Edzio. — Ale błagam cię, Joasiu, nie mów nikomu. Musiałbym postawić wódkę, a nie mam forsy. Dowiedzą się później, po fakcie. Jakoś to będzie... No cóż... Każdemu może się noga powinąć. Wychodzisz już?

Spojrzała na zegarek.

— Tak, oczywiście! Najwyższy czas! I tak się spóźniłam.

— Możesz mnie podrzucić do miasta?

— Jasne.

W samochodzie nie rozmawiali. O tej porze na warszawskich jezdniach dąży ruch. Joanna musiała skupić uwagę na kierownicy. Edzio usiłował opanować zdenerwowanie. Wysiadł przed muzeum.

Joanna nacisnęła pedał. Zła była na siebie, że się spóźni. Wiedziała przecież, że będą na nią czekać, że Mikołajowi będzie przykro, że Karolina — ten wzór punktualności — będzie co chwilę spoglądała na zegarek, a Joachim na pewno już sobie podkpiwa z kobiet.

Przekroczyła dozwoloną szybkość, modląc się w duchu, żeby nie zatrzymał jej milicjant. Na szczęście nigdzie w pobliżu nie widać było ani mundurów, ani milicyjnych wozów. Kiedy wydostała się na szosę, odetchnęła z ulgą i mocniej zacisnęła palce na kierownicy. Wskazówka zegara, wskazującego szybkość, minęła setkę.

Radość. Tu trzeba było zwolnić. Joanna dobrze знаła drogę do domu Karoliny. Tyle razy przecież tu przyjeżdżała. Trochę się spóźni, ale trudno. Jakoś się wytłumaczy. Za to będzie czarująca...

Uśmiechnęła się do swych myśli. Ach, gdyby nie ta lojalność względem przyjaciółki, może właśnie ona omotałaby wtedy australijskiego milionera? Kto wie?

Jeszcze jeden zakręt i nagle... Ogarnęło ją przerażenie. Zahamowała gwałtownie, ale w pierwszym momencie nie mogła się poruszyć. Była jak sparaliżowana. Szeroko otwartymi oczami patrzyła przed siebie, nie wierząc... nie chcąc uwierzyć w to, co widziała.

Przed domem Karoliny stały dwa wozy milicyjne i ambulans.

*

Wszystko to działo się jakby poza świadomością. Joanna nie pamiętała momentu przejścia z samochodu do domu. Szok był bardzo silny. Dopiero po pewnym czasie odzyskała zdolność normalnego reagowania.

Znajdowała się w pokoju Karoliny, w którym tek niedawno piły herbatę. Przed nią siedział młody człowiek w milicyjnym mundurze.

— Czy pani znała - Joachima Zelberta?

Skinęła głową.

— Kiedy go pani poznała?

— Mniej więcej trzy lata temu.

— W jakich okolicznościach to się stało?

— W tej chwili już dokładnie nie pamiętam. Poznaliśmy się chyba w kawiarni. To był wuj mojego narzeczonego.

— Jak nazywa się pani narzeczonego?

— Mikołaj Konorski.

— A pani nazwisko?

— Joanna Stawiska.

— Czy pani zna brata swojego narzeczonego, Maurycego Konorskiego?

— Nie. Słyszałam tylko o nim od Mikołaja.

— I orientuje się pani, że pan Mikołaj Konorski ma pewne kłopoty ze swoim bratem?

— Tak. Opowiadał mi.

— I nigdy pani nie widziała Maurycego Konorskiego?

— Nie.

— Czy narzeczonego pokazywał pani fotografię swojego brata?

— Nie.

— Czy pani przyjechała tu przypadkowo, czy też...?

— Umówiłam się z moją przyjaciółką — odpowiedziała Joanna. Odzyskała wreszcie panowanie nad sobą.

— To znaczy z panią Karoliną Morawską?

— Tak.

— Od dawna przyjaźni się pani z panią Morawską?

— Od wielu lat.

— Czy to prawda, że pani Morawska miała poślubić pana Zelberta?

—

— Jeżeli można prosić, to niech mi pani poda telefon domowy i redakcyjny.

Joanna wyjęła notes, wyrwała kartkę i zapasała na niej oba numery.

— Proszę. W telewizji bywam około dziesiątej. Gdyby mnie pan nie zastał, proszę zostawić wiadomość.

— Dziękuję. Być może, że jeszcze będę potrzebował od pani jakichś wyjaśnień.

— Rozumiem. Proszę dzwonić. Czy pan będzie prowadził śledztwo w tej sprawie?

— Nie wiem. To zależy od moich zwierzchników. Przyjechałem tu dlatego, że akurat ja miałem dyżur w komendzie. Potem zobaczymy.

Joanna pomyślała, że młodemu oficerowi nie powierzą chyba takiej poważnej sprawy, ale oczywiście powstrzymała się od komentarzy na ten temat.

— Czy mogłabym się zobaczyć z moją przyjaciółką, z panią Morawską? — spytała.

— Tak. Proszę.

Karolina była bardzo blada, ale spokojna. Próbowwała nawet uśmiechnąć się do Joanny.

— *Ciao* — powiedziała z pewnym wysiłkiem. — Wybacz, że nie poczęstuję cię herbatą. Tak jakoś... — urwana gwałtownie, jakby ją ktoś nagle chwycił za gardło.

Joanna objęła ją i pocałowała.

— Trzymaj się, Lina.

Przez dłuższą chwilę siedziały w milczeniu. Joanna wiedziała, że cokolwiek powie, zabrzmi to zdawkowo, głupio i niepotrzebnie. Miała ochotę krzyknąć, wrzeszczeć, protestować. Nie mogła pogodzić się z tym, co się stało. To było coś tak bezsensownie okrutnego, że wydawało się zupełnie nierealnym, nieprawdziwym, zmyślonym. Przecież zaledwie przed paroma dniami...

Nie, nie... To niemożliwe, to nie mogło się stać. Miała przed oczami scenę powitania na lotnisku. Joachim, wesoły, uśmiechnięty, opalony, poruszający się mimo swych pięćdziesięciu paru lat jak młodzieniec, tryskający zdrowiem, pełen radości życia. Czyż to możliwe? Boże! Czyż to możliwe?!

— Czy wiesz, że Mikołaj skręcił sobie nogę? — spytała Karolina. Głos jej brzmiał spokojnie, nawet zbyt spokojnie.

Joanna jakby się zbudziła ze snu.

— Mikołaj? Noga? Co się stało? W jaki sposób?

— Wyskakiwał z kolejki, źle stąpnął i zwicznął stopę. Ktoś go tutaj podwiózł samochodem.

— Gdzie on jest?

— Na dole, w małym pokoju. Ulokowali go tam na kanapce. Zejdź do niego.

Joanna podniosła się, ale nie odchodziła. Stała niezdecydowana, speszona, pełna wątpliwości.

— Idź, idź — uśmiechnęła się smutnie Karolina. — Ja tu na ciebie zaczekam. Mam dużo czasu, mam bardzo dużo czasu. Idź do Mikołaja.

Joanna wolno, ociągając się, schodziła ze schodów. Bała się zobaczyć trupa. Nie wiedziała, gdzie to wszystko się stało, gdzie leży?

Zwłoki już zostały zabrane. Milicjanci kończyli swoje czynności. Minęła fotografa, który starannie pakował aparat i kasety, i skierowała się do małego pokoiku, służącego Karolinie jako gabinet do pracy.

Na biedermeierowskiej kanapce, pokrytej złotawym brokatem, siedział Mikołaj. Był blady. Prawą stopę miał mocno obandażowaną w kostce elastycznym bandażem.

— Co z tą nogą, Kola? — spytała Joanna.

— Zwichnąłem. Jakież to ma teraz znaczenie...

— Ale w jaki sposób?

— Zwyczajnie. Przy wysiadaniu z kolejki tak fatalnie stąpnąłem, że... Pech... przeznaczenie... czy jak to nazwać? Przecież dlatego właśnie się spóźniłem. Czekałem, aż ktoś mnie podwiezie, bo sam nie mogłem zrobić kroku. Wreszcie znalazł się jakiś facet z Syrenką, który mnie podrzucił. Ale tu już było po wszystkim...

— Kola... — Joanna zniżyła głos do szeptu. — Ty myślisz...

Mikołaj przesunął dłonią po twarzy, jakby tym ruchem chciał odpędzić od siebie dręczący go koszmar.

— Widziano go tu — powiedział po prostu. — Milicja już zorganizowała pościg. Czy zdoła uciec? Zresztą...

— Więc jednak to Maurycy... Straszne! Szczerze ci współczuję. — Joanna położyła mu dłoń na ramieniu.

Mikołajowi zadrgały usta w jakimś żalonym grymasie.

— Bałem się, cały czas się bałem, nie sądziłem jednak, że posunie się aż do tego...

— Odwiozę cię do domu — powiedziała Joanna. — Po- ten wrócę tutaj. Nie mogę Karoliny zostawić samej. Dojdiesz jakoś do wozu?

— Spróbuję. Na jednej nodze. Oprę się o ciebie.

*

— Trzeba przyznać, że to zupełnie nieprawdopodobny zbieg okoliczności — stwierdził Jagodziński.

Makowiecki przytaknął skinieniem głowy.

No właśnie, towarzyszu pułkowniku. Zbaraniałem, jak mi powiedzieli, że to wuj tego Konorskiego, który był u nas w komendzie.

— Hm... — Jagodziński wstał i przeszedł się po pokoju. Młody człowiek także się podniósł, ale pułkownik powstrzymał go ruchem ręki. — Siedźcie... siedźcie. Ja lubię sobie pospacerować, ale wy nie musicie. — Po chwili wrócił za biurko, wyjął z szuflady papierosy i zapalił. — No cóż... Chyba wam powierzę tę sprawę. Dacie sobie radę?

Makowiecki wyprostował się na krześle.

— Oczywiście, towarzyszu pułkowniku. Sprawa jest w zasadzie prosta. Teraz chodzi tylko o schwytanie Maurycego Konorskiego.

Jagodziński przechylił głowę do tyłu i wydmuchnął w górę parę kółek tytoniowego dymu.

— Coś wam muszę powiedzieć, kolego. W naszej pracy przyjmijcie sobie za zasadę, że sprawa pozornie proste może w toku śledztwa okazać się bardzo skomplikowana i odwrotnie — sprawa wyglądająca na skomplikowaną, okazuje się śmiesznie prostą. Nigdy nie dajcie się zmylić pozorom.

— Chyba nie ulega wątpliwości, że ten Maurycy Komorski zamordował swego bogatego wuja — powiedział z przekonaniem Makowiecki.

— Wszystko na to wskazuje — przytaknął Jagodziński — ale trzeba to gruntownie zbadać. A jeżeli ktoś wiedział o rodzinnym spotkaniu w Radości i postanowił wykorzystać okazję, żeby zlikwidować tego Australijczyka i rzucić podejrzenie na Konorskiego? A jeżeli to jakiś zbieg okoliczności? Zastanówcie się tylko, jakie bywają niezwykle zbiegi okoliczności. Choćby i w waszym przypadku. Rozmawiacie tutaj w komendzie z facetem, który się skarży na swojego brata, prosi o radę, a w kilka dni po tej rozmowie jedziecie służbowo na miejsce zbrodni i okazuje się, że został zamordowany wuj tego człowieka. Tak, tak, życie przynosi nam nieraz zaskakujące niespodzianki. Najprawdopodobniej zbrodnię tę popełnił ów Maurycy Konorski, ale musicie sprawę dogłębnie zanalizować, uwzględniając wszystkie inne możliwości. W tej chwili przecież zupełnie się nie orientujemy, komu jeszcze mogło zależeć na śmierci tego człowieka.

Makowiecki nie mógł nie przyznać racji swemu szefowi. Omówili jeszcze szereg szczegółów dotyczących śledztwa, a na zakończenie rozmowy pułkownik powiedział:

— Dam wam do pomocy sierżanta Pawelca. To stary wyga. Z niejednego pieca chleb jadł. Dobry fachowiec. Może wam się przydać.

Makowiecki nie był zachwycony tą propozycją. Bał się że

Waleriana przejmie od razu inicjatywę, a jego potraktuje jako siłę pomocniczą, jako praktykanta. Nie wypadło mu jednak protestować. Podziękował więc pułkownikowi i wrócił do swojego pokoju

Pawelec mozolił się właśnie nad kolejnym raportem, co szło mu dosyć opornie. Nie zaliczał się do zbyt błyskotliwych stylistów i w gruncie rzeczy wołał nawet w pojedynkę zaatakować bandę oprychów, aniżeli zredagować sprawozdanie. Korzystał też często z pomocy młodego porucznika i był mu za to bardzo wdzięczny

— No i jak tam, Waleriana? Jak ci idzie?

— Jak krew z nosa — mruknął zniechęcony do życia sierżant.

Makowiecki uśmiechnął się.

— Zostaw to. Potem razem napiszemy. Teraz posłuchaj, co ci powiem. Byłem u starego. Mamy razem prowadzić sprawę Zelberta

— I ja też? — skrzywił się sierżant.

— Decyzja szefa.

— Szef decyduje, człowiek wykonuje — powiedział sentencjonalnie Pawelec i głośno pociągnął nosem.

— Nie jesteś zadowolony?

Waleriana wzruszył ramionami.

— A niby z czegoż mam być zadowolony? Znowu dużo latania, gadania, mądrzenia się.

— Wydawało mi się, że lubisz ruch w interesie.

— Lubić, lubię — sierżant pokiwał głową. — A16 musi być ciekawa sprawa. Teraz nie ma takich fajnych spraw. Że tam jakiś Konarski zaciukał wujaszka, to nie taka znowu fascynująca zagadka kryminalna. Złapią go. Spokojna głowa. Dawniej, zaraz po wojnie, to był ruch w interesie. Nieraz automatu nie można było utrzymać w rękach, tak się rozgrzał. Pamiętam kiedyś w Bieszczadach...

— Pokaż ten raport — przerwał mu Makowiecki, bojąc się, że sierżant na dłuższy czas ugrzęźnie we wspomnieniach.

Zadzwoił telefon. Makowiecki podniósł słuchawkę.

Powiedział:

— Halo? — potem: — Tak jest, towarzyszu pułkowniku — i położył słuchawkę na widełkach. — Szef chce z tobą mówić.

— Ze mną? — zdziwił się sierżant. — Czego chce?

— Nie wiem. Może pragnie cię poczęstować koniakiem?

— Akurat. — Pawelec podniósł się z krzesła i powolnym krokiem wyszedł z pokoju.

Pułkownik nie poczęstował go koniakiem ani nawet kawą. Wskazał krzesło, stojące przed biurkiem, i powiedział:

— Siadajcie. Zapewne już was zawiadomił Makowiecki, że we dwóch zajmiecie się sprawą tego morderstwa.

— Tak. Właśnie przed chwilą...

— Chcę dać szansę temu młodemu człowiekowi — mówił Jagodziński — i zdecydowałem się powierzyć mu tę sprawę. Orientuję się oczywiście, że brak mu doświadczenia, dlatego chciałem was prosić, żebyście się trochę nim zaopiekowali. Dyskretnie. Niech działa, niech się wykaże. Niech mu się zdaje, że samodzielnie prowadzi śledztwo.

— Na pewno nie stanę mu na drodze „do sławy” — uśmiechnął się Pawelec. — Lubię chłopaka i dobrze mu życzę. Czy pan przypuszcza, panie pułkowniku, że to nie Konorski zamordował wujaszka?

Jagodziński wzruszył ramionami.

— Nie wiem. W tej chwili wszystko wskazuje na to, że Konorski, ale... Różnym ludziom mogło zależeć na zlikwidowaniu tego Australijczyka. Trzeba to dokładnie przeanalizować.

Sierżant pokiwał głową.

— Tak jest. Ano... dobra. Zabierzemy się z Jureczkiem do roboty i uwidim.

— No i co? — spytał Makowiecki, kiedy Pawelec wrócił do swojego pokoju. — Jestem pewien, że szef cię prosił o opiekę nad mną.

Sierżant mruknął coś niewyraźnie i z ogromnym zainteresowaniem zaczął przeglądać swoje papiery.

— Uważacie, że potrzebuję niańki? Mów śmiało, Waleriana. Nie krępuj się.

— Niańki, nie niańki — powiedział Pawelec, wsuwając papiery do szuflady — ale co dwie głowy, to nie jedna. Ty masz

wyższe wykształcenie, nafaszerowałaś się książkami, a ja znowu to i owo już w życiu widziałem. Myślę, że możesz mnie przypuścić do spółki. Źle na tym nie wyjdiesz.

— Spółka z nieograniczonym zaufaniem — uśmiechnął się Makowiecki. — No, dobra... niech będzie spółka. Więc co proponuje mój doradca?

Pawelec wstał, podszedł do młodszego kolegi i poklepał go po plecach.

— Lubię cię, Jureczku. To fakt. Fajny z ciebie kumpel. Sześciuścio powinien być zadowolony z naszej spółki. Zresztą nie święci garnki lepia. Na początek proponuję, żebyś mi opowiedział całą historyjkę. Mnie tam przecież nie było.

— Napisałem raport. Możesz sobie przeczytać.

Sierżant machnął ręką.

— E, co tam te wszystkie raporty. Dla mnie grunt to żywe słowo.

— No, dobra — zgodził się Makowiecki i streścił wyniki wstępnego dochodzenia. Pawelec wysłuchał uważnie, pokiwał głową i powiedział:

— Rąbnął go czymś ciężkim w ciemność. Denat był wysokim mężczyzną?

— Bardzo. Prawie metr dziewięćdziesiąt.

— Czyli, że morderca musiał być jeszcze wyższy, jeżeli uderzył z góry.

— Nie. Nie musiał być wyższy. Pierwszy cios został zadany w czoło, a kiedy tamten się pochylił, morderca poprawił go w ciemność. Zresztą już to pierwsze uderzenie było śmiertelne. Tak przynajmniej twierdzi lekarz.

— Znaleźliście narzędzie zbrodni?

— Nie. Nie znaleźliśmy nic takiego, co by pasowało...

— Czym go rąbnął? Jak ci się zdaje?

Makowiecki wzruszył ramionami.

— Trudno powiedzieć. Mnie to wygląda na jakiś żelazny łom. Lekarz także tak przypuszcza. Obrażenia zostały zadane z dużą siłą, ale ślady wskazują na to, że narzędzie było raczej wąskie.

— Dobrzeście szukali?

—Bardzo starannie. Przetrzęsaliśmy cały dom, a nawet okoliczne krzaki.

— I nic?

— I nic.

— Czas na śniadanie — powiedział nagle Pawelec. Wyjął z biurka parę bułek, kawał rzeszowskiej kielbasy i termos z herbatą. — Poczęstujesz się?

Makowiecki potrząsnął głową

— Nie, dziękuję. Nie jestem głodny.

— A ja wprost przeciwnie, mam cholerny apetyt. To dobry znak. Bo to znaczy, że... — stuknął się palcem w czoło — to znaczy, że mózg jest niedokrwiony i że trzeba go wzmocnić. Kapujesz? Wysilek myślowy wymaga zwiększonych racji żywnościowych. To jest dowiedzione naukowo. — Sięgnął do kieszeni, wyjął z niej duży scyzoryk i zaczął go ostrzyć na wyprężonej dłoni. Następnie zabrał się do krojenia bułek i kielbasy. Wykonywał tę czynność bardzo systematycznie i z dużą wprawą, jak przystało na starego kawalera.

Makowiecki siedział milcząco i zamyślony. Nawet przed samym sobą nie chciał się przyznać, że, prawdę mówiąc, nie bardzo wiedział, od czego zacząć swą detektywistyczną działalność. Ukończył wyższe studia, przeczytał masę książek, zdał na piątki egzaminy, ale jak trzeba było to wszystko zastosować w praktyce... Zaczynał się niecierpliwie i coraz bardziej niechętnie spojrzenia posyłał w kierunku Waleriany, który posilał się z iście stoickim spokojem.

Wreszcie sierżant zaspokoił pierwszy g^łód, napił się herbaty z termosu, otarł wargi wierzchem dłoni i powiedział:

— No... trochę się wzmocniłem. Nawet nie taka zła ta kielbasa. Zdarza się gorsza. Jeżeli masz ochotę, teraz możemy pogadać o morderstwie.

— Właśnie!

— No więc tak... — Pawelec wyjął z pudełka jedną zapalkę, zaostrzył ją scyzorykiem i zaczął cierpliwie usuwać spomiędzy zębów resztki i rzeszowskiej kielbasy. — No więc... powiedz mi, Jureczku, jaka to babka ta Morawska?

— Bardzo fajna.

Sierżant uśmiechnął się.

— Jak byłem w twoim wieku to także wszystkie kobity były dla mnie fajne. Normalka. Ale nie o to mi chodzi. Chciałbym wiedzieć, jakie na tobie zrobiła wrażenie jako człowiek?

— Bardzo pozytywne. Wygląda na poważną, solidną kobietę. Lekarka. Pracuje w szpitalu.

— Samotna?

— Tak. Właśnie miała teraz wyjść za mąż za tego Australijczyka.

— Bogaty był facet?

— Podobno milioner.

Pawelec gwizdnął cicho.

— Polak?

— Tak, z pochodzenia Polak.

— I był już w Polsce?

— Trzy lata temu. Wtedy właśnie Morawska zaszła w ciążę.

— Hm — Pawelec skończył dłubać w zębach i wyrzucił wykałaczkę do kosza. — Warto by się zorientować, czy miała tutaj jakichś amantów? Nic nie wiesz na ten temat?

— Nie sądzisz chyba, że w takiej chwili mogłem ją wypytywać o miłosne przygody — zachnął się Makowiecki. — Przecież...

Pawelec uspokoił go ruchem ręki.

— Rozumiem, rozumiem. Jasne. Nie denerwuj się.

O takich sprawach najlepiej pogadać z przyjaciółkami. Co myślisz o tej dziennikarce z telewizji?

— Pierwsza klasa. Śliczna dziewczyna. Szałowa.

— Jak się nazywa?

— Joanna Stawiska.

— Więc która ci się lepiej podoba? Karolina czy Joanna? Decyduj się.

— Chcesz mnie swatać?

— Nie, ale chcę wiedzieć, która ci się bardziej podoba?

Makowiecki zmarszczył brwi.

— Bo ja wiem. Każda jest w swoim rodzaju. Karolina to dojrzała, doświadczona kobieta, pewnie już po czterdziestce, a Joanna to młoda dziewczyna, pełna temperamentu. chociaż i tamtej temperamentu chyba nie brakuje.

— Czyli „osiołkowi w żłobach dano...” — uśmiechnął się Pawelec. — Wiesz eo? Miałbym ochotę porozmawiać z tą młodszą o tej starszej.

— A może naszkicowalibyśmy sobie jakiś plan działania? — zaproponował Makowiecki.

Sierżant pokiwał głową.

— Myśl godna pochwały. Przecież żyjemy w epoce planowania. Bez planu ani rusz. Najprzód opracujemy plan, a potem z okazji jakiejś rocznicy ten plan przekroczymy i otrzymamy premię. Przepisowo. Ale żarty na bok. Więc tak... Wydaje mi się, że w obecnej chwili mamy parę konkretnych spraw do załatwienia.

Po pierwsze: porozmawiać z Joanną Stawiską i zdobyć możliwie jak najwięcej informacji, dotyczących Karoliny Morawskiej.

Po drugie: zapoznać się bardziej szczegółowo z osobą denata, Joachima Zelberta, i zebrać dane, dotyczące jego pierwszego pobytu w Polsce, który miał miejsce trzy lata temu. Należy zbadać, jakie wtedy nawiązał kontakty, z kim się widywał, z kim ewentualnie rozmawiał na tematy handlowe, komu mógł się narazić itp.

Po trzecie: przeprowadzić dokładne przeszukanie mieszkania Maurycego Konorskiego. A propos. Zabezpieczyłeś je?

— Oczywiście. Opieczętowane — odparł Makowiecki. — Myślę, że nie od rzeczy będzie pogadać z Mikołajem Konorskim. On może nam dostarczyć sporo wiadomości o wujaszku.

— Jasne. Chyba zaprosimy go do komendy.

— Zwichnął nogę.

— Co ty powiesz? — Pawelec był zaskoczony. — Zwichnął nogę? Kiedy?

— Jak wysiadał w Radości z kolejki.

— Jakaś pechowa rodzina — mruknął sierżant. — No cóż... W takim razie odwiedzimy go sami.

Makowiecki wyjął z kieszeni mały zeszytik i zaczął przeglądać swoje notatki.)

—Aha... Zapomniałem ci powiedzieć, że pani Karolina Morawska zamieszkała tymczasowo z dzieckiem u swojej matki w Warszawie. Ten domek w Radości jest zabezpieczony, opieczętowany, zostawiłem w nim naszego człowieka.

— Brawo. Spisałeś się na medal — pochwalił go Pawelec. — Musimy jak najprędzej przeprowadzić tam dokładne przeszkanie. Pogadamy sobie przy okazji z sąsiadami. Wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi. Albo może inaczej: „spytaj sąsiada, to się wygada, gdzie kto trupem pada”.

Makowiecki roześmiał się.

— Widzę, że cię roznosi talent poetycki.

— A żebyś wiedział. Jak mnie poślą na emeryturę, to może zostanę poetą. Miałbym ochotę ulokować się na tym cokole koło Mickiewicza. Przyjemne miejsce. Blisko do Generalnej Prokuratury,- kino, kawiarnia „Telimena”, parę kroków do Ministerstwa Kultury.

— Na razie może złożmy wizytę panu Konorskiemu — zaproponował Makowiecki

*

Mikołaj był mizerny. Siedział w fotelu i zabandażowaną nogę trzymał na zydelku.

—Przepraszam panów, że nie wstaję — tłumaczył się, zapraszającym gestem wskazując milicjantom krzesła.

— Nic nie szkodzi — zapewnił go Pawelec. — Jak tam nóżka?

— Nie bardzo. Boli.

— Prześwietlił pan?

— Oczywiście. Kość w porządku. Tylko silne zwichnięcie.

— A gdzie pan robił prześwietlenie?

— Na Waryńskiego, w tej spółdzielni. Ale niechże panowie siadają, proszę bardzo.

Usiedli i przez chwilę panowało nieco kłopotliwe milczenie. Pierwszy odezwał się Makowiecki.

— Domyśla się pan zapewne, że chcemy zamienić z panem parę słów na temat zbrodni dokonanej na osobie Joachima Zeliberta. Więc jeżeli to możliwe...

— Ależ oczywiście, panie poruczniku. Nie jestem tak chory, żebym nie mógł z panami porozmawiać. Noga mnie boli, ale to nic strasznego.

— Najlepiej kompresy z kwaśnej wody — doradził sierżant. — Raz dwa panu wyciągnie.

— Właśnie przyłożyłem — powiedział Mikołaj. — Trochę mi lepiej.

W tej chwili do pokoju zajrzała starsza kobieta, która otworzyła im drzwi.

— Może podać panom herbatę? Świeżo zaparzyłam.

Mikołaj skinął głową.

— Doskonale. Niech nam pani da herbaty, tylko mocnej. I zdaje się, że tam w kredensie są jeszcze kreolki.

Makowiecki chciał zaprotestować, ale dał spokój. Spojrzał na Pawelca, ten jednak skrzywił się tylko nieznacznie i nic nie powiedział. Nie lubił słodczy, a na samą myśl o kredkach robiło mu się niedobrze.

Zaczekali, aż pomoc domowa przyniesie parujące szklanki i dopiero wtedy Makowiecki podjął przerwana rozmowę.

— Może zaczniemy od tego, że nam pan opowie o swoim tragicznie zmarłym wuju.

— Nie wiem, co mam opowiadać? Nie orientuję się, co może panów interesować?

- Absolutnie wszystko nas interesuje — wtrącił się do rozmowy Pawelec. - - Wszystko, co dotyczy Joachima Zeliberta. Dokładna charakterystyka denata oraz jego środowiska często decyduje o powodzeniu śledztwa.

— Tak... Ale... — Mikołaj zamyślił się ponuro. — Skoro właściwie sprawca jest znany...

— Wszystko przemawia, niestety, przeciwko pańskiemu bratu — powiedział Makowiecki — ale oczywiście musimy zdobyć konkretne dowody jego winy.

— Dlaczego uciekł? — szepnął Mikołaj. — Gdyby był niewinny, nie uciekałby.

Pawelec potrząsnął głową.

— Niezupełnie się z panem zgadzam. Założmy teoretycznie, że tuż przed przyjściem pańskiego brata ktoś zamordował Joachima Zelberta. Przychodzi pański brat. widzi trupa i ucieka, zdając sobie doskonale sprawę z tego, że nikt inny, tylko najprędzej właśnie on — niedawny więzień — będzie posądzony o tę zbrodnię.

— Ma pan rację — przyznał Mikołaj. — To jest logiczne, co pan mówi. Chciałbym, żeby tak było, żeby to nie Maurycy...

— A jaki mógł być motyw tej zbrodni? — spytał Makowiecki. — Czy...

— Chwileczkę — przerwał mu sierżant. — Nie rozpraszajmy się. Spróbujmy tak po kolei... Prosiłszy przecież pana Konorskiego, żeby nam opowiedział o swoim wuju. Słuchamy. Może zaczniemy od ogólnej charakterystyki.

— No więc... — Mikołaj poprawił się w fotelu i syknął z bólu, poruszywszy nogą. — Mój wuj był człowiekiem bardzo energicznym, pełnym sił żywotnych, twardym, nieustępliwym, wykazywał zawsze dużo inicjatywy, przedsiębiorczości. Miał w całym tego słowa znaczeniu, mocny charakter. Poza tym posiadał bardzo silnie rozwinięte poczucie rodzinnego honoru i dlatego wstrząsnęła nim wiadomość, że Maurycy został skazany na więzienie jako zwykły kryminalista.

— Kiedy wuj o tym się dowiedział? — spytał Makowiecki.

— Jak przyjechał tutaj po raz pierwszy, trzy lata temu. Byłby chyba rozszarpał Maurycego, żeby go dostał w swoje ręce.

— Czy pański brat wiedział wtedy o przyjeździe pana Zelberta?

— Chyba tak. Wiem, że wuj pisał do niego do więzienia. Nie sądzę, żeby to były przyjemne listy.

— Hm... — Makowiecki zamyślił się. — Chciałbym jeszcze pana zapytać o pewne rodzinne sprawy, jeżeli pan pozwoli oczywiście.

— Proszę. Niech pan pyta

— Chodzi mi mianowicie o to — Makowiecki chwilę się zawahał — chodzi mi o to, jakie stosunki panowały pomiędzy

pańskim wujem a pańskim ojcem?

— Bardzo źle. Wuj był zdecydowanie przeciwny małżeństwu swojej siostry. Kiedy zaś Maurycy zaczął zdradzać pewne złe skłonności, wuj uważał, że te cechy charakteru odziedziczył właśnie po ojcu.

— Czy oboje pańscy rodzice nie żyją?

— Tak. Zginęli w czasie wojny.

— A kiedy pański wuj wyjechał do Australii?

— Jeszcze przed wojną, w trzydziestych latach.

— I dorobił się dużego majątku.

— Poszczęściło mu się. Zresztą nie pojechał tam z gołymi rękami. Jego ojciec, a mój dziadek, zostawił mu w spadku sporo forsy. Był bardzo bogatym człowiekiem.

— Czy oprócz panów pan Zelbert miał jeszcze jakąś rodzinę?

Mikołaj potrząsnął głową.

— O ile mi wiadomo, nie. Są jeszcze jakieś dalsze pociotki, ale to właściwie nie żadna rodzina. Taka, jak to się mówi, dziesiąta woda po kisielu.

— Może przejdziemy teraz do współczesnych wydarzeń? — zaproponował Pawelec, który siedział w milczeniu, wpatrując się z zainteresowaniem w reprodukcję obrazu Chełmońskiego. — Wydaje mi się, że część historyczną mniej więcej odfajkowaliśmy.

Ktoś zapukał. W uchylonych drzwiach ukazała się głowa w chusteczce.

— Przepraszam, ale chciałabym pójść do domu, proszę pana. Czy pan już niczego nie potrzebuje?

Mikołaj uśmiechnął się.

— Dziękuję, pani Mario. Nic mi nie trzeba. Sam sobie jakoś poradzę. Czy jutro pani przyjdzie?

— Ano co mam robić? Przyjdę. Do widzenia.

— Dobrze, że pan ma kogoś tutaj da pomocy — powiedział Makowiecki. — Z tą nogą byłoby trochę kłopotliwe.

— Tak, tak — pokiwał głową Mikołaj. — Trudno by mi było nawet pójść gdzieś na obiad. Normalnie ta kobieta przychodzi do mnie dwa razy w tygodniu, ale teraz...

Umilkli. Pawelec znowu zaczął przyglądać się reprodukcji obrazu. Te sanie gonione przez wilki wprawiały go w prawdziwy zachwyty. Dopiero po chwili spojrzął na Konorskiego:

— No więc tak... Może nam pan coś powie na temat tego waszego rodzinnego zebrania, które nie doszło do skutku. O której był pan umówiony z panem Zelbertem?

— Ja i Maurycy mieliśmy przyjechać o trzeciej. Wuj chciał z nami porozmawiać o sprawach rodzinnych. Chodziło mu oczywiście o Maurycego. O czwartej miały być Karolina i Joanna, to znaczy moja narzeczona.

— A co z dzieckiem?

— Matka Karoliny zabrała małego do siebie, do Warszawy.

— O której pan przyjechał do Radości?

— Parę minut przed trzecią. Dokładnie nie pamiętam. To niedaleko od przystanku. Byłbym na pewno zdążył, gdyby nie ta noga.

— Ze stacji ktoś pana podwiózł.

— Tak. Ktoś zupełnie nieznajomy. Zobaczył, że siedzę taki zboląły i spytał, co się stało.

— Długo pan tak siedział na stacji?

— Właściwie nie na stacji, tylko koło stacji. Pewnie około godziny. W każdym razie jak mnie ten facet podwiózł, to już było po wszystkim. Wozy milicyjne... ambulans.

— Czy panu ktoś opatrzył zaraz nogę?

— Tak. Wasz lekarz. Bardzo miły człowiek.

— Z tego wynika, że nie pan zawiadomił milicję.

— Oczywiście, że nie ja.

— A kto?

— Nie mam pojęcia. Karolina i Joanna przyjechały jeszcze później.

Pawelec spojrzął na swojego młodszego wiekiem, a starszego szarżą kolegę.

— Kto właściwie zawiadomił milicję?

Makowiecki nieznacznie poruszył ramionami i nic nie powiedział. Był trochę speszony.

Pawelec nie nalegał. Znowu zwrócił wzrok ku Konorskiemu.

- Kiedy ostatnio widział się pan ze swoim bratem?
- Wcale się z nim nie widziałem.
- To wobec tego od kogo się dowiedział o tym rodzinnym spotkaniu?
- Napisałem do niego.
- Czy już wcześniej pański brat słyszał o przyjeździe wuja?
- Nie jestem pewien... ale nie wydaje mi się. Nie mam pojęcia, od kogo mógłby się dowiedzieć...
- Pański brat odbywał karę więzienia — powiedział Pawelec tonem stwierdzającym niewątpliwy fakt.
- Tak. Przecież o tym wspominałem.
- Kiedy został zwolniony?
- Pod koniec czerwca.
- To znaczy jakieś cztery miesiące temu.
- Mniej więcej.
- Czy widział się pan z bratem po jego wyjściu z więzienia?
- Nie. Nie chciałem z nim mieć nic wspólnego.
- I nie utrzymywał pan z nim żadnego kontaktu?
- Nie... To znaczy... Telefonował do mnie dwa czy trzy razy. To wszystko.
- Hm... — Sierżant podrapał się za uchem. — No cóż... Można tak... można by inaczej... Mniejsza z tym zresztą — machnął ręką. — Czy pański brat pisał do pana?
- Nie. Tylko telefonował.
- I nie posiada pan żadnego listu albo jakiejś notatki, napisanej ręką brata?
- Nie. Nie mieliśmy zwyczaju korespondować ze sobą.
- On jest młodszy czy starszy od pana?
- Starszy o trzy lata.
- Żonaty?
- Nie. Nigdy się nie ożenił.
- Zapewne miał, a może ma jakąś dziewczynę?
- Nic mi o tym nie wiadomo. Od lat nie interesuję się ani moim bratem, ani jego dziewczynami. — W głosie Mikołaja czuć już było wyraźnie zniecierpliwienie.
- Pawelec uśmiechnął się.
- Proszę mi wybaczyć, że pana tak o wszystko wypy-

tujemy, ale niestety to nasz obowiązek.

— Pan Konorski jest już pewnie trochę zmęczony — wtrącił cicho Makowiecki.

Sierżant skinął głową.

— Tak. Chyba masz rację. Wobec tego żegnamy pana i życzymy prędkiego powrotu do zdrowia

Kiedy znaleźli się na ulicy, Pawelec wziął kolegę pod rękę i powiedział wesoło:

— Słuchaj no, Jureczku... Jeżeli pojechałeś służbowo na miejsce zbrodni, to wypadaloby, żebyś się orientował, kto zawiadomił milicję.

— I bez twoich uwag wiem o tym — mruknął Makowiecki. Był zły na siebie, że przeoczył ten szczegół.

W komendzie bez trudu odnaleźli funkcjonariuszkę, która wtedy miała dyżur w pogotowiu.

— Oczywiście, że pamiętam to morderstwo w Radości — odpowiedziała na zadane pytanie. — Tak, tak, ja odbierałam telefon... Nie, to nie dzwonił czwarty Komisariat, tylko jakiś facet z automatu. Połączyłam się oczywiście zaraz z Radością i kazałam sprawdzić, dopiero potem...

— Telefonował mężczyzna? — spytał Makowiecki.

— Tak. Doskonale jeszcze pamiętam jego głos, taki niski, schrypnięty.

— Sznaps-baryton — wtrącił Pawelec.

— O, właśnie. Znakomicie żeście to określili. Taki przepity, przepalony głos.

— Co powiedział? Pamiętacie?

— Oczywiście. Powiedział, że w Radości, w willi obywatelki Karoliny Morawskiej zostało popełnione morderstwo. Początkowo myślałam, że to jakiś głupi kawał, ale na wszelki wypadek natychmiast połączyłam się z czwartym komisariatem. Sprawdzili i rzeczywiście...

Podziękowali czarnookiej koleżance i przez jakiś czas siedzieli zamyśleni, z opartymi o blat biurka łokciami. Pierwszy przerwał milczenie Pawelec:

— No i co?

— No i nic.

Sierżant głośno pociągnął nosem.

— Coś tu nie gra, cholera. Nic z tego wszystkiego nie rozumiem.

— Ja także niewiele — przyznał Makowiecki. — A może to morderca zawiadomił milicję? Może Maurycy Konorski chciał nam zabić takiego klina? Żebyśmy się głowili tak właśnie, jak to się dzieje w tej chwili. Albo jakiś znajomy, który zupełnie przypadkowo odwiedził panią Morawską, zobaczył, co się stało, i uciekł, nie chcąc, żeby go wplątywać w tę sprawę. Nikt się nie kwapi do tego żeby świadczyć w sądach.

— Tak. To chyba najbardziej prawdopodobne — zgodził się Pawelec. — Trzeba się przejść po znajomych i sąsiadach pani Karoliny.

— Zastanawiam się w tej chwili — powiedział Makowiecki — jaki właściwie mógł być motyw tej zbrodni? Dlaczego właśnie Maurycy...?

— Zaczekaj — przerwał mu sierżant. — Możemy sobie tę scenę wyobrazić w następujący sposób: Przychodzi Maurycy do wujaszka, wujaszek nasobaczył mu od ostatnich, Maurycy się zdenerwował i rąbnął brata mamusi w ciemię. Nie zapominaj, że Zelbert to choleryk i Maurycy także. Jak się takich dwóch zbierze, nietrudno o drakę.

Makowiecki skrzywił się sceptycznie.

— Bo ja wiem... Nie brzmi mi to zbyt przekonująco. Po pierwsze trzeba trochę czasu, żeby doszło do takiej piekielnej awantury, trzeba się rozkręcić, pokłócić się. Ostatecznie dawno się nie widzieli. Podczas takiego spotkania człowiek zawsze jest początkowo nieco skrupowany. Jakoś trzeba nawiązać rozmowę i dopiero potem od słowa do słowa... Przecież tak ni z tego, ni z owego w łeb się nie wali. Chyba że ktoś przychodzi wyłącznie w tym celu. Poza tym musisz wziąć pod uwagę fakt, że nie znaleźliśmy nigdzie narzędzia zbrodni, absolutnie nic takiego, czym mogły być zadane tego typu obrażenia. To musiał być łom, jakiś żelazny pręt ewentualnie raszpla czy coś w tym rodzaju. Nic takiego nie znaleźliśmy ani w domu, ani w najbliższej okolicy.

— Masz rację — przyznał Pawelec. — Wygląda na to, że morderca przyszedł z narzędziem zbrodni i że to nie były ciosy zadane pod wpływem chwilowego podniecenia, raptownej wściekłości, kiedy łapie się, co jest pod ręką, garnek, wazon, lampę, krzesło. Ale w danym wypadku... Z tego by wynikało, że zbrodnia została popełniona z premedytacją. Dlaczego jednak Maurycy Konorski miałby z premedytacją zabijać swojego wuja? Coś ci proponuję, Jureczku. Przestańmy gubić się w domysłach, a zabierzmy się do konkretnej roboty.

— Myśl przednia — uśmiechnął się Makowiecki. — Od czego zaczniemy?

— Od szczegółowych rewizji. Czasami para starych skarpetek albo damski kapelusik może nam więcej powiedzieć niż żywi ludzie, nie mówiąc już o listach, notatkach, pamiętnikach itp.

*

Karolina niechętnie pojechała do Radości. Tragiczne przeżycia były jeszcze zbyt świeże. Musiała pokonać duże wewnętrzne opory, żeby przekroczyć próg domu, który tak niedawno przygotowywała z radością na przyjęcie przyszłego męża. Powiedziała nawet milicjantom, że mogą bez niej przeprowadzić rewizję. Prosilili jednak, nalegali. Nie mogła odmówić.

Postanowili nie zaniedbać niczego. Przeszukanie przeprowadzono bardzo dokładnie. Makowiecki i Pawelec dobrali sobie do pomocy jeszcze dwóch ludzi, którzy mieli dużą wprawę w tego rodzaju czynnościach.

To trwało długo, wiele godzin. Z drobiazgową skrupulatnością przejrzelili wszystkie rzeczy, znajdujące się w mieszkaniu, nie wyłączając nawet starych czasopism, rachunków i fotografii rodzinnych. Bardzo solidnie zajęli się również pokojem, w którym zamieszkał Joachim Zelbert.

Rezultaty tej żmudnej i niewdzięcznej pracy były raczej mierne. Jedynie dwa listy, pisane na maszynie, mogły mieć jakieś znaczenie dla śledztwa. Pierwszy znaleziono w biurku Ka-

roliny, pomiędzy różnymi innymi papierami. Tekst tego listu był następujący:

Karolino, wiesz chyba, jak bardzo cię kocham. Żadna inna kobieta dla mnie nie istnieje. Nie wyobrażaj sobie, że tak łatwo z ciebie zrezygnuję. Nie dopuszczę do tego małżeństwa. Nie oddam cię innemu mężczyźnie. Nie doprowadzaj mnie do ostateczności. Błagam cię. Jestem Twój, zawsze będę Twój i Ty zawsze będziesz moją! Robert.

List nie miał koperty.

W walizce Joachima Zelberta znaleźli inny list, także pisany na maszynie. Był raczej zwięzły, ale bardzo wymowny:

Szanowny Panie,

Nie mogę znieść, żeby taki przyzwoity człowiek jak pan był w ordynarny sposób okłamywany i dlatego postanowiłam napisać do pana. Czy rzeczywiście uwierzył pan w to, że bękart Karoliny jest pańskim synem? Czyżby był pan aż tak naiwnym człowiekiem? Czy nie rozumie pan, że ta sprytna i podła kobieta pragnie pana zrobić w to ojcostwo, żeby zawładnąć pańskim majątkiem? Niechże się pan nie daje nabierać! Przesyłam panu serdeczne pozdrowienia.

Życzliwa.

Przestudiowali dokładnie obydwie listy.

— Musimy się po pierwsze dowiedzieć, kim jest ten jakiś Robert, a następnie warto by się zorientować, kto ze znajomych pani Morawskiej posiada maszynę do pisania — zdecydował Makowiecki.

— Co to da — mruknął sceptycznie sierżant. — Czy sądzisz, że tego typu anonim napisał ktoś na własnej maszynie? „Przemily” liścik wysłany najwyraźniej po to, żeby wzbudzić jakies podejrzenia w Zelbercie i ewentualnie odwlec ceremonię ślubną.

— Nie przypuszczam, żeby nasz Australijczyk był typem człowieka, który zwraca uwagę na anonimy — powiedział Makowiecki. — To był rzeczowy gość.

— Hm... — Pawelec pokręcił głową. — Diabli wiedzą. W takich sytuacjach ludzie rozmaicie reagują. Nie jest wykluczone, że i jemu przychodziły na myśl pewne wątpliwości, których sobie nie chciał uświadomić, a taki liścik „zyczliwej” osoby... Nie mamy innego wyjścia, tylko musimy porozmawiać z panią Morawską. Od niej możemy się wielu rzeczy dowiedzieć.

— Jeżeli będzie skłonna do zwierzeń — uzupełnił Makowiecki. — Ale masz rację. W każdym razie zorientujemy się, co będzie usiłowała ukryć.

Karolina wykazała bardzo dużo cierpliwości i opanowania. Nie zdradzała ani przygnębienia, ani zdenerwowania. W rozmowie posługiwała się krótkimi, rzeczowymi zdaniami. Spojrzawszy na anonim powiedziała:

— Tak. Widziałam to. Joachim mi pokazał.

— Jaka była reakcja pana Zelberta? — spytał Makowiecki.

— Początkowo wpadł w straszną złość i chciał zniszczyć natchmianst ten anonim, ale potem się rozmyślił.

Postanowił zwrócić się do milicji, aby odnaleźć autora czy autorkę.

— Czy pani domyśla się, kto to mógł napisać?

— Nie. Absolutnie się nie domyślam.

— Musiał to być ktoś dobrze zorientowany w pan:’ sprawach osobistych.

— Niewątpliwie.

— Więc pani nie podejrzewa nikogo o napisanie tego anonim?

— Nie.

— Czy ten anonim nadszedł na pani adres? Nie znaleźliśmy koperty.

— Tak. Joachim tutaj go otrzymał. Na drugi dzień po przyjeździe.

— To znaczy, że autor anonim był dokładnie zorientowany, kiedy przyjeżdża pan Zelbert.

— Z tego wynika, że tak.

Umilkli. Po chwili Makowiecki sięgnął do kieszeni, wyjął drugi list i podał go Karolinie.

— Znaleźliśmy go w biurku, w szufladzie — powiedział.

Karolina przebiegła wzrokiem maszynopis. Wydawała się zaskoczona.

— Nic nie rozumiem. Ja tego w ogóle nie widziałam.

— Jak to? — Makowiecki uniósł lekko brwi w' górę.- — Nie czytała pani takiego listu?

— Nie. Pierwszy raz go widzę.

— Jak to się mogło stać? Powtarzam, że znaleźliśmy ten list w szufladzie pani biurka.

Bezradnym ruchem rozłożyła ręce.

— Nie mam pojęcia.

— Czy zna pani jakiegoś Roberta?

— Znam.

— Kto to jest?

— Młody człowiek... rzeźbiarz.

Pawelec zwilżył wargi końcem języka. Wydawał się nieco zażenowany. Uśmiechając się przeprasząco, wtrącił się do rozmowy:

— Proszę mi wybaczyć niedyskretne pytanie, ale chcielibyśmy wiedzieć, co łączy panią z tym młodym rzeźbiarzem?

Karolina nie wydawała się dotkniętą.

— Absolutnie nic poważniejszego mnie z nim nie łączy. Zwyczajna, przelotna znajomość.

— Z tego listu wynika, że adresat jest w pani zakochany. Czy to prawda?

— Nie wiem. Być może.

— Jak on się nazywa?

— Brzezicki.

— Bywał tu u pani?

— Od czasu do czasu, bardzo rzadko.

— Czy wiedział o przyjeździe pana Zelberta?

— Wiedział.

— Od kogo otrzymał tę informację?

— Ode mnie.

— Jak przyjął wiadomość o pani zamierzonym małżeństwie?

— Nie wydawało mi się, żeby był zadowolony — odparła oględnie Karolina, starając się nie dać poznać po sobie, że za-

czyna tracić cierpliwość.

Zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę i przez chwilę trzymała ją przy uchu. Krew gwałtownie uderzyła jej do twarzy i zaraz potem zbladła gwałtownie. Obserwowali ją z rosnącym niepokojem. Kiedy słuchawka wróciła na swoje miejsce, Makowiecki spytał:

— Co się stało? Kto dzwonił?

— Maurycy! — Karolina usiłowała zapanować nad nerwami.

— Maurycy Konorski?

— Tak.

— Niesłychane. Czego chciał?

— Powiedział, że to nie on zamordował Joachima, że kiedy przyszedł, Joachim już nie żył.

— Nie mamy pewności, czy to rzeczywiście telefonował Maurycy Konorski — wtrącił sierżant Pawelec. — Może to jakaś mistyfikacja⁹

— Poznałam go po głosie.

— Pani go zna?

— Tak. Niedawno był tutaj u mnie.

— W jakiej sprawie?

— Dopytywał się, czy nie mam wiadomości od Joachima.

— A pani co mu powiedziała?

— Że nie mam żadnych wiadomości. Skłamałam.

— Wspomniała pani przed chwilą, że poznała go pani po głosie.

— Tak.

— Czy ten człowiek ma jakiś charakterystyczny głos?

— Bardzo charakterystyczny, niski, schrypnięty, taki chropowaty.

— Czyli sznaps-baryton, jak to się mówi.

— O, właśnie — uśmiechnęła się blado.

Sierżant rzucił Makowieckiemu szybkie spojrzenie.

— I nie ma wątpliwości, że w słuchawce posłyszała pani głos Maurycego Konorskiego?

— Jestem tego absolutnie pewna. To głos, którego tak prędko się nie zapomina.

— Więc powiedział, że to nie on zabił pana Zelberta?

— Tak.

— A jak pani sądzi, w jakim celu do pani telefonował?

— Może po prostu nie chce, żebym go podejrzewała o tę ohydną zbrodnię.

— Możliwe, chociaż wątpię — mruknął Pawelec i po ciągnął nosem, tak jak to czynią psy myśliwskie.

— Dawno panią odwiedzał? — Makowiecki uznał za wskazane przejść indagację.

— Parę dni przed przyjazdem Joachima.

— Czy zachowywał się przyzwoicie?

— Zupełnie.

— Jak on wygląda?

— Dosyć wysoki, barczysty, nosi brodę i wąsy. Ruchy ma gwałtowne, nerwowe, w przeciwieństwie do Mikołaja, który jest raczej człowiekiem opanowanym i spokojnym.

— Czy pani dokładnie sobie przypomina rozmowę z nim?

— Raczej tak. Był u mnie bardzo krótko. Spytał, czy Joachim do mnie nie pisał, chciał zobaczyć dziecko i to wszystko. Siedział tutaj nie dłużej jak jakieś dziesięć, może piętnaście minut.

— Czy nie wspominał o swoim pobycie w więzieniu?

— Nie.

— Jadł u pani coś albo może pił?

— Nie. Proponowałem mu herbatę, ale odmówił.

Makowiecki spojrział na zegarek.

— Już nie będziemy panią dłużej męczyć — powiedział wstając. — Proszę nam wybaczyć, że zajęliśmy tyle czasu, ale niestety wymaga tego sytuacja. Dziękujemy. Może panią podwieźć do Warszawy?

— Nie. Dziękuję. Zostanę jeszcze trochę i posprzątam. Czy wolno mi się już tutaj, z powrotem wprowadzić?

— Oczywiście. Dom jest do pani dyspozycji. My skończyliśmy nasze czynności. Gdybyśmy potrzebowali jeszcze jakichś dodatkowych wyjaśnień, pozwolimy sobie niepokoić panią.

— Bardzo proszę.

Byli już w drzwiach, kiedy Pawelec odwrócił się i spytał:

— Czy pani mówiła komuś, że spodziewa się naszej wizyty?

Karolina zmarszczyła brwi, jakby usiłując sobie przypomnieć.

— Zaraz... zaraz... Chyba nikomu nie mówiłam. Choć nie... Moja matka wiedziała o tym i... Joanna. Tak, tak, do Joanny telefonowałam, bo musiałam odwołać nasze spotkanie. Miałyśmy się zobaczyć właśnie dzisiaj,

Sierżant uklonił się.

— Raz jeszcze dziękujemy serdecznie i do widzenia.

Wrócili do komendy. Pawelec, nie zwlekając, wyjął z kieszeni płaszcz bułkę z wędliną i zaczął się posilać.

— Nie częstuję cię, Jureczku — powiedział z pełnymi ustami — ponieważ mam tylko jedną bułkę. Niestety.

— Nie jestem głodny — mruknął Makowiecki.

— Ale widzę, że w dobrym humorze także nie jesteś.

— A dlaczego miałbym być w dobrym humorze? Sprawa się komplikuje. Nic z tego wszystkiego nie rozumiemy.

— Bądź zawsze ostrożny w używaniu liczby mnogiej — upomniał go Pawelec.

— Czy to znaczy, że ty coś z tego rozumiesz?

Sierżant przełknął ostatni kęs bułki, westchnął, jakby żałując, że nikłe zapasy żywności już się skończyły, i dopiero wtedy odpowiedział na pytanie

— Wszystkiego jeszcze ni[^] rozumiem, ale nie tracę nadziei. Ktoś kiedyś wygłosił piękną sentencję: „Niechaj żywi nie tracą nadziei”. Wiedziałem kto, ale zapomniałem. Mniejsza z tym zresztą. W każdym razie ładnie powiedziane.

Makowiecki siedział zaszępiiony i dopiero po dłuższej chwili się odezwał:

— Cholera! Może rzeczywiście Maurycy nie jest mordercą... Może niepotrzebnie żeśmy się tak zasugerowali?

— A może ktoś nas robi w konia? — uzupełnił sierżant.

Porucznik spojrział na niego zaskoczony.

— Podejrzewasz Karolinę?

— Ja wszystkich podejrzewam, nawet siebie.

— Nie wygłupiaj się.

—Wcale się nie wygłupiam. Przecież to byłby wspaniały numer, gdybyś to ty zaciukał Australijczyka. Wyobrażasz sobie tę sensację?

— Przestań. Nie jestem nastrojony do żartów

— Dobry żart tynfa wart. Śmiech to zdrowie. „Śmiejmy się, kto wie, czy świat potrwa jeszcze dwa tygodnie”. To także ktoś mądry powiedział, ale także zapomniałem, kto? Nie mam pamięci do nazwisk.

— Ale za to masz żelazne nerwy — skonstatował z przekonaniem Makowiecki. — Nic cię nie jest w stanie poruszyć.

Pawelec uśmiechnął się.

— Wiadomo... Waleriana. Czyżbyś o tym zapomniał? Uspokaja, łagodzi, wprowadza w dobry humor, działa kojąco.

— Wprost przeciwnie, zaczynasz mnie cholernie denerwować — wycedził przez zęby Makowiecki.

— O, niedobrze — sierżant podniósł wskazujący palec prawej ręki ku górze. — Widzę, towarzyszu poruczniku, że jesteście nastrojeni na poważną nutę. Wobec tego czekam na dyspozycje. Przecież to wy prowadzicie śledztwo. Ja odgrywam rolę jedynie siły pomocniczej.

— No to niech siła pomocnicza pomaga, a nie gada tyle. Waleriana, ja cię pytam całkiem serio!

Pawelec wzruszył ramionami.

— Diabli ją wiedzą. Z babami „bez wódki nie razbierosz”. Wszystko możliwe.

— Ale dlaczego by jej mogło zależeć na śmierci tego faceta? Przecież miał się z nią żenić.

— A jeżeli faktycznie zaczął mieć wątpliwości co do swego ojcostwa? Jeżeli przyjrzał się chłopczykowi i wydało mu się, że coś nie tego...? Przeczytał sobie anonim, podumał i czort wie, do jakich wniosków doszedł. Trzeba by się zorientować, czy zrobił jakiś zapis na rzecz narzeczonej. A nuż chciał coś potem unieważnić, cofnąć, odwołać. Tu może chodzić o dużą forszę. To był milionowy facet.

— Jakby się ożenił z Karoliną, to najprawdopodobniej braciom Konorskim także przepadłby spadek — zauważył Mako-

wiecki. — Krewkiego Maurycego mógł szlag trafić, jak sobie pomyślał, że babka miliony dolarów sprzątnie im sprzed nosa.

— Fakt. Ale jeżeli wykończył wujaszka, to co mu z jego milionów? Albo pójdzie do pudła na dożywocie, albo będzie się musiał do końca życia ukrywać, uciekać gdzieś za granicę. Tak czy owak forsy po wuju nie zakosi.

— Jak ty oceniasz ten telefon? — spytał Makowiecki. — To był dosyć dziwny zbieg okoliczności, że akurat podczas naszej obecności...

— Owszem — zgodził się Pawelec. — Mnie także to trochę zastanowiło, chociaż... Właściwie po co? W jakim celu miałyby organizować taką mistyfikację? Trzeba jak najprędzej sprawdzić tego Roberta.

— Przede wszystkim jednak musimy zajrzeć do mieszkania Maurycego — zdecydował Makowiecki. — A zaraz potem zajmujemy się tajemniczym rzeźbiarzem. Wierzysz, że to on pisał ten list?

— Nie wiem. Zobaczymy. Grunt, że zrobił nam się „ruch w interesie” — zauważył pogodnie Pawelec.

*

Ulica Hoza. Nowe bloki mieszkalne stoją w zwartym szeregu. Trochę ubogiej zieleni, anemiczne drzewka, trawniki, na których spytują się rasowe i niezbyt rasowe pieski.

Nie trzeba było wnikliwej obserwacji, aby skonstatować, że właściciel tej kawalerki nie należał do ludzi zamiłowanych w czystości i porządku. Bardzo dawno nikt tu nie sprzątał. Śmiecie, kurz, brudne talerze i szklanki, sterty starych gazet, czasopism, różnych prospektów, walające się kawałki zapleśniałego chleba, zgniłe jabłka.

Pierwsi rozpoczęli swą działalność fachowcy od daktyloskopii. Pracowali długo i bardzo solidnie. Mimo to nie uzyskali absolutnie żadnych wyników. Ani śladu odcisków palców.

— To nieprawdopodobne, to zupełnie nieprawdopodobne — zdumiewał się Makowiecki — żeby w takim brudzie... w takim bałaganie...? Przecież na tym kurzu...

— Tak, to rzeczywiście dziwne — przyznał zamyślony Pawelec.

Podszedł do tapczana i, nie zdejmując rękawiczek, obejrzał dokładnie brudną pościel.

— Głupia sprawa — mruknął — bardzo głupia sprawa.

Poprosił, aby starannie zebrano włosy z poduszki. Następnie zajrzał do łazienki i do plastikowego worka wsunął maszynkę do golenia, pędzel, szczotkę do włosów, grzebień i szczotkę do zębów. I tutaj także nikt nie zostawił śladów swych linii papilarnych.

W szafie wisiały trzy podniszczone garnitury, jesionka i płaszcz ortalionowy. Na dole stało kilka par butów, które od dłuższego czasu wiernie służyły swemu właścicielowi. To były duże buty, nr. 30.

Kiedy specjaliści od daktyloskopii skończyli swoje bezowocne poszukiwania, Makowiecki i Pawelec przystąpili do akcji, wspomagani przez sierżanta Kamińskiego, który posiadał duże doświadczenie w takich sytuacjach. Był to mężczyzna w średnim wieku, szczupły, ruchliwy, o okrągłych jak paciorki, błyszczących oczach i wzniesionym ku górze nosie, będącym zaprzeczeniem tak zwanego „greckiego profilu”.

Makowiecki zabrał się do przeglądania starych gazet, szukając jakichś notatek. Po pewnym czasie powiedział:

— To dziwne.

— Co cię tak dziwi? — spytał Pawelec, który siedział w fotelu i z ogromnym zainteresowaniem czytał Małą Encyklopedię PWN.

— Wygląda na to, że nasz pupil przestał interesować się prasą mniej więcej w połowie sierpnia. Ostatni numer „Życia Warszawy” znalazłem z czternastego sierpnia.

— Widocznie w okresie upałów zniechęcił się do czytania gazet — mruknął Pawelec. — To jest zupełnie prawdopodobne.

— Owszem — zgodził się Makowiecki, — ja sam przeżywałem kiedyś taki „kryzys prasowy”. Nie słuchałem wtedy nawet dziennika radiowego. A ty co? Doksztalcasz się? Postanowiłeś wkuć całą encyklopedię?

— Jakbyś zgadł — Pawelec przeciągnął się i ziewnął szeroko.

ko. — Dla mnie encyklopedia to najciekawsza lektura. Przynajmniej można się czegoś konkretnego dowiedzieć. Przy okazji znalazłem dwa telefony. Jeden numer pod literą B, a drugi przy literze W. Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś notował numery telefonów w encyklopedii.

W kuchni pod zlewem stało wiadro na śmieci. Sierżant Kamiński znalazł w nim strzępy trzech listów. Wszystkie pisał Joachim Zelbert. Ekspresy polecone, poczta lotnicza. Koperty i listy były wprawdzie podarte, ale udało się je złożyć do kupy i odcyfrować tekst. Treść tych listów była bardzo podobna. Wujaszek Maurycego rzucał gromy na głowę marnotrawnego siostrzeńca, który nie potrafił uszanować honoru rodziny. Sporo było nauk moralnych, „dobrych rad”, a nawet w ostatnim liście znalazło się parę cytatów z Pisma Świętego. Sadząc z pieczętek na kopertach jeden list przyszedł do Warszawy w lipcu, drugi w sierpniu, a trzeci we wrześniu. Joachim Zelbert mniej więcej raz w miesiącu pisał do siostrzeńca, przygotowując go na swój przyjazd. Najwidoczniej wiedział dokładnie, kiedy Maurycy miał wyjść z więzienia.

Sierżant Kamiński, niezmordowany „tropiciel śladów”, przeszukał także dokładnie ubrania, wiszące w szafie.

W górnej kieszeni szarej marynarki znalazł karteczkę z zakładu fotograficznego przy ulicy Kruczej. Data odbioru 3 sierpnia.

Potem przyszła kolej na rozmowy z sąsiadami i z dozorcą. Otrzymane informacje, dotyczące osoby Maurycego Konorskiego, były raczej zgodne. Wrócił z więzienia w drugiej połowie czerwca, unikał rozmów z ludźmi z kamienicy, często wyjeżdżał, parokrotnie widywano go z walizką. Nikt nie potrafił powiedzieć, co robił, czym się zajmował. Jedno chyba było pewne — nigdzie nie pracował.

Dłużej zatrzymali się u najbliższej sąsiadki Maurycego, pani Lucyny Pękalskiej. Kobieta w średnim wieku, odznaczająca się okrągłymi kształtami oraz dużą elokwencją. Wydawała się zachwycona wizytą milicjantów, zaintrygowana całą sprawą. Uznała/ją za niebywałą okazję do pogawędki. Mówiła dużo, bardzo chaotycznie, odbiegając od tematu i czyniąc licz-

ne dygresje, które doprowadziły ją nawet do rozważań na temat celowości lotów międzyplanetarnych. Byli zupełnie oszołomieni tym potokiem słów. Dopiero po dłuższym czasie Pawelec zdołał nieco zapanować nad sytuacją.

— Nam chodzi, proszę pani, o pana Maurycego, który mieszka tutaj obok.

— Niechłuj! — padło zdecydowane określenie.

— Chce pani przez to powiedzieć, że pan Konorski nie jest człowiekiem miłującym czystość i porządek.

Wzruszyła ramionami.

— Czego to można wymagać od kryminalisty. Przecież parę lat siedział w więzieniu. Takich, proszę pana, powinno się w ogóle usuwać z Warszawy. Porządni ludzie nie mają gdzie mieszkać, a bandziorem rozdaje się luksusowe kawalerki. Gdzie tu jest sprawiedliwość. I jeszcze żeby chociaż umiał utrzymać mieszkanie w porządku, ale to przecież istny chlew...

— A skąd pani wie, że mieszkanie nie jest utrzymywane w porządku? — spytał Makowiecki.

Trochę się zmieszała.

— No bo... no bo kiedyś tam zaglądałam.

— Przy jakiej okazji?

— Zabrakło mi cukru do herbaty wieczorem. Chciałam pożyczyc parę łyżeczek.

— I rozmawiała pani wtedy z panem Konorskim?

— Nie, jego nie widziałam. Otworzyła mi drzwi jakaś dziewczyna. Zanim przyniosła mi szklanekę cukru, zdążyłam się trochę rozejrzeć. Zresztą on sam chodzi tak niechłujnie ubrany, że... Broda i w ogóle...

— Jak wyglądała ta dziewczyna?

— Młoda, blondyna. Rozczochrane włosy, jak to one wszystkie teraz. Za moich czasów każda kobieta musiała się jakoś uczesać, ale dzisiaj...

— Więc blondynka? — podjął indagację Makowiecki.

— Tak. Taki warszawski kociak, jak to się mówi.

— Ładna?

— Mężczyznom się takie podobają. Na mój gust — wydra.

— A pana Konorskiego często pani spotyka?

— Bardzo rzadko. Już dawno go nie widziałam. W ogóle wolę się z nim nie spotykać. Przyznam się panom, że ja się tego człowieka po prostu boję.

— Kiedy pani ostatni raz widziała swego sąsiada?

— Dawno. Chyba jeszcze we wrześniu. Zresztą dokładnie nie pamiętam.

— Rozmawiała z nim pani kiedyś?

— Próbowałam, ale co to za rozmowa? Gbur. Człowiek bez żadnego wychowania. Nie warto z takim zaczynać.

— Czy poznałaby pani dziewczynę, która wtedy pożyczyła pani cukier?

— Chyba tak. Ale nie jestem pewna.

— A czy przychodziły do pana Konorskiego także inne dziewczyny?

Pani Lucyna wydeła pogardliwie wargi.

— Ja się, proszę pana, nie interesuję dziewczynami kryminalistów. Bo trzeba panom wiedzieć...

— Rozumiem, rozumiem — przerwał skwapliwie Makowiecki, którego ogarnęło przerażenie na myśl, że będą musieli wysłuchać „arystokratycznych” koligacji sąsiadki Maurycego. — Chcielibyśmy tylko dowiedzieć się, czy pana Konorskiego odwiedzały jeszcze inne kobiety?

— Nie wiem. Nie widziałam.

— A może przychodzili do niego jacyś mężczyźni?

— Nie zauważyłam, żeby przyjmował gości. Staram się trzymać możliwie daleko od tego „uroczego” sąsiada.

Pawelec mrugnął porozumiewawczo na swego towarzysza.

— Może już nie będziemy zabierać pani czasu? — zaproponował.

Pani Pękalska chciała ich koniecznie zatrzymać, poderwała się, żeby naszykować poczęstunek, twierdziła, że jej się tak przyjemnie gawędzi z panami oficerami, że ona w ogóle ubóstwa milicjantów itd. itd. Byli jednak niewzruszeni. Podziękowali za rozmowę, pożegnali się i wyszli.

Kiedy znaleźli się na schodach, Pawelec odsapnął.

— Uff... A teraz wyobraź sobie, że mógłbyś się niechcący z taką babą ożenić. Nic tylko się powiesić albo poderżnąć żonecz-

ce gardziołek. Uważaj, Jureczku, uważaj. Jesteś bardzo młody.

Jeszcze raz przesłuchali dozorcę. Ten był o wiele oszczędniejszy w słowach i raczej musieli z niego wyciągać informacje.

— Pan Konorski? Spokojny lokator. Czy pił? A kto nie pije? Ale żebym go widział pijanym, tego nie powiem. Czy z nim często rozmawiałem? Wcale z nim nie rozmawiałem. To nie jest człowiek rozmowny. Czasem tylko „dzień dobry”, „dobry wieczór” i na tym koniec. Przedtem nieraz-zdarzało się, że się zatrzymał i chwilę pogadał, ale odkąd wrócił z kicia, to tylko coś tam mruknie i leci dalej. Możliwość, że się trochę krępuje. Nie dziwota. Parę lat w pudle, to potem człowiekowi jakoś nijak spotykać się ze znajomymi. Ja także samo nie byłbym taki rozmowny. Mnie się widzi, panie poruczniku, że on się stąd wyprowadzi. Tu nie ma dla niego życia. Już i o mieszkanie wcale nie dba. Kiedyś moja żona mu sprzątała, ale powiedział, że mu nie trza. Nie, to nie.

— Od kiedy zrezygnował ze sprzątanania?

— Jeszcze w lecie, może był lipiec, a może sierpień. Dokładnie nie powiem. Żona to się nawet ucieszyła, że już nie musi tam chodzić. Nie miała chęci u niego sprzątać. Mówiła, że go się' boi. Faktycznie człowiek jest nieprzystępny, dziwak, odludek. Czasem spojrzy spode łba jak jaki zbój. Z takim to ani wypić, ani pogadać. Gość nie do życia. Może jak zapomni trochę o tym kryminale...

— A dziewczyna jakaś do niego przychodziła?

— Przychodziła. Nawet niebrzydka Młoda, postawna blondyna. Nie mogłem się nadziwić, że miała chęć z takim facetem kombinować.

— Kiedy ostatni raz widział pan Konorskiego?

— Kiedy? Dosyć dawno. Chyba gdzieś pod koniec września. Tak, tak, teraz sobie przypominam, że to był koniec września, bo jak raz obchodziliśmy imieniny mojego szwagra. Michał mu na imię. To wypada dwudziestego dziewiątego września. Popiliśmy wtedy, ma się rozumieć kapeczkę, bo żona przygotowała nalewkę na czarnej porzeczce. Wyszedłem na podwórze, żeby trochę odetchnąć świeżym powietrzem, patrzę, idzie pan Konorski. Żal mi się go zrobiło i chciałem go zaprosić do nas na

kieliszek tej nalewki, ale odburknął tylko coś i poszedł. Nie będę go przecie gonił, no nie?

Pawelec ze zrozumieniem pokiwał głową, a porucznik za-
pytał:

— Niech nam pan jeszcze powie, kiedy ostatni raz widział pan tę dziewczynę, która przychodziła do Konorskiego?

— Dawno. Jeszcze w lecie, może w lipcu, a może w sierpniu.

— I od tej pory już jej pan nie widział?

— Nie.

— Czyli jak pańska żona przestała sprzątać u pana Konorskiego, mniej więcej w tym samym czasie zniknęła stąd i ta „postawna blondyna” — podsumował sierżant Pawelec.

— Tak wychodzi.

— No, dobra. Jeszcze tutaj któregoś dnia wpadniemy pogadać z panem. Mieszkanie pana Konorskiego ciągle opieczętowane. Proszę uważać, żeby nikt nie próbował się tam dostać.

— Spokojna głowa — zapewnił dozorca. — Ale znakiem tego to pan Konorski znowuż podpadł. Co on takiego skombinował? Dopiero wypuścili go z pudła i znowu... Że też mu się nie sprzykrzy.

Wyszli. Na ulicy Makowiecki powiedział:

— Nie podoba mi się to wszystko. Sprawa się coraz bardziej komplikuje, a my w gruncie rzeczy tkwimy z dochodzeniem w miejscu.

Pawelec podrapał się w głowę.

— Wiesz ty co, Jurek? Proponuję, żebyśmy się rozstali. Nie możemy dłużej wszędzie we dwóch łązić. Musimy przyjąć inną taktykę.

— To znaczy?

Sierżant chrząknął.

— To znaczy, że ty poflirtujesz sobie z tą telewizyjną dziennikarką, a ja osiedlę się na pewien czas w Radości. Ale przedtem odbierzemy te zdjęcia. To niedaleko, na Kruczej, zaraz za Nowogrodzką. Znam ten zakład.

ROZDZIAŁ V

Joanna miła teraz bardzo dużo roboty. Oprócz codziennych zajęć redakcyjnych, musiała się jeszcze opiekować Mikołajem. Wprawdzie pani Maria przychodziła częściej niż zwykle, ale mimo to było sporo różnych spraw do załatwienia: zakupy, książki z biblioteki, gazety, lekarstwa.

Skręcona noga ciągle dokuczwała. Nie bardzo pomagały kompresy, kąpiele w soli ciechocińskiej, smarowanie różnymi maściami. Obrzęk nie ustępował, zasinienie ciągle było duże, bolesność poważnie dawała się choremu we znaki. Wezwany chirurg dziwił się, kręcił głową zafrasowany.

— Powinna już nastąpić poprawa, stanowczo powinna nastąpić poprawa — powiedział. — Wyjątkowo jakoś pan sobie dogodził. No cóż... spróbujemy zrobić blokadę. Możliwe, że pomoże. — Zrobił zastrzyk i poszedł, prosząc o wiadomość telefoniczną.

Joanna prawie codziennie odwiedzała Mikołaja, a jeżeli w żaden sposób nie mogła choć na chwilę wpaść do niego, telefonowała, dopytując się o zdrowie. Uważała to za swój obowiązek. Te odwiedziny jednak nie najlepiej wpływały na jej samopoczucie. Z kawalerki na Muranowie wychodziła w dziwnym nastroju. Dominowało uczucie wyraźnej ulgi, że to już ma poza sobą, że nareszcie... że jest wolna. Początkowo nie chciała sobie tego uświadomić, nie chciała przyznać się sama przed sobą.

Nie rozumiała, co się właściwie stało? Od owego wieczoru, kiedy wracali z wycieczki i kiedy szyby samochodu zalewał deszcz, wyrosła między nimi jakaś bezsensowna, irracjonalna bariera, która nagle zmieniła w sposób zasadniczy ich wzajemny stosunek. Niby wszystko zostało po dawnemu, a jednak zniknęła szczerść, bezpośredniość, pojawiło się coś na kształt przymusu. Coraz wyraźniej czuło się, że miejsce dawnego porozumienia zajmuje głupia, konwencjonalna uprzejmość. Zdawkowe słowa, bezbarwne uśmiechy, banalne gesty. To było trudne do zniesienia.

Próbowała analizować swoje stany psychiczne. Chciała

dojść do sedna sprawy. Nie było to rzeczą ani prostą, ani łatwą. Przecież kochała Mikołaja, przecież było im razem tak dobrze. Więc dlaczego? I czy w ogóle istniała jakaś przyczyna?

Któregoś popołudnia przyszła później niż zwykle. Właściwie już był wieczór. Jesienne wieczory zaczynają się wcześniej.

Mikołaj powitał ją uśmiechem, który miał wyrażać zarówno serdeczność, jak i wdzięczność za to, że przyszła.

Zamienili ze sobą kilka słów na temat pogody i ostatnich wydarzeń politycznych. Ona spytała o chorą nogę, a on o pracę w telewizji. Następnie Joanna przygotowała herbatę, ułożyła na talerzyku ciastka, które ze sobą przyniosła, i opowiedziała najnowszy kawał, nie reprezentujący najwyższej klasy dowcipu.

Mikołaj roześmiał się uprzejmie, a następnie poprosił, żeby wyjęła z barku radziecki koniak z pięcioma gwiazdkami.

Pili herbatę i koniak, jedli ciastka i słuchali radia.

W pewnym momencie Mikołaj energicznym ruchem wyłączył radio i powiedział niespodziewanie:

— Nie jest ci ze mną dobrze.

Kiedy nasz rozmówca ma wypełnioną jamę ustną bezą, nie należy go ani rozśmieszać, ani zaskakiwać nieoczekiwanym stwierdzeniem. Joanna jedynie dzięki dużej przytomności umysłu uporała się z ciastkiem, zamienionym w dławiący pył. Jednakże po paru głębokich oddechach zdołała spytać:

— Dlaczego tak sądzisz?

— Nie sądzę, jestem pewien! Przecież widzę. Mam chorą nogę, ale nie oczy.

Milczała, zmieszana. Nie spodziewała się, że sprawa zostanie postawiona tak wprost.

— No więc...? — nalegał Mikołaj

Wzruszyła ramionami.

— Nie bardzo wiem, o co ci chodzi?

— Doskonale wiesz. Po co się oszukiwać. Nie jest ci ze mną dobrze.

— Wydaje mi się, że tobie ze mną także nie jest najlepiej — odparowała.

Poprawił się w fotelu i wyciągniętą nogę oparł na stojącym

obok krześle.

— Nie możesz się dziwić. Czuję zupełnie wyraźnie, że te odwiedziny są dla ciebie ciężkim obowiązkiem. Przychodzisz tu, bo uważasz, że tak wypada, że tak nakazuje przyzwoitość.

Celowo zignorowała jego słowa. Powiedziała:

To wszystko nie jest takie proste. Coś się między nami zmieniło, ale nie potrafię sobie uświadomić, co? Dlaczego jest inaczej?

Może dlatego, że dawniej byłem weselszym kompanem — uśmiechnął się.

— Nie pleć głupstw. Doskonale wiesz, że to nieprawda.

— Wcale nie jestem taki pewien. — Mikołaj sięgnął po kieliszek i upił trochę koniaku. — Mam wrażenie, Joanno, że nie bardzo zdajesz sobie sprawę z tego, co ja przeżywam, co czuję.

— Maurycy?

— Oczywiście. To jednak mój rodzony brat. Wreszcie go znajdują. Jak długo można się ukrywać? Polska nie Argentyna czy tajga, gdzie człowiek może zupełnie zniknąć i nikt nigdy nie natrafi na jego ślad.

— Czy jesteś przekonany o winie Maurycego? — spytała.

— Mówiąc między nami, niestety, tak. Któż inny mógłby popełnić tę zbrodnię? I dlaczego uciekł? Człowiek, który nie ma nic na sumieniu, nie ukrywa się przed milicją.

— Wie przecież, że go o to oskarżą. Nie ma alibi. Jechał na spotkanie z wujem, z tobą...

— A ty byś w takiej sytuacji uciekła?

Zawahała się.

— Nie... chyba nie. Staralabym się dowieść swojej niewinności.

— No, więc widzisz.

— Nie, nie... to nie jest tak... — Energicznie potrząsnęła głową. — Nie bierzesz pod uwagę tego, że Maurycy nie reaguje jak normalny człowiek, że w jakimś sensie czuje się zaszczyty. Załóżmy, że wszedł do mieszkania i znalazł trupa Joachima. Mógł wpaść w panikę. A z chwilą kiedy zaczął uciekać...

Mikołaj westchnął.

— W tym, co mówisz, jest oczywiście bardzo dużo słuszno-

ści. Nie zmienia to jednak postaci rzeczy. Schwytają go i skazą. Dostanie wyrok śmierci. Powieszają go. Ciągłe o tym myślę. Powieszają go. Nie możesz się dziwić, że nie jestem w szampańskim humorze.

Rozmawiali jeszcze długo o śmierci Joachima, o Maurycym i o Karolinie. Joanna usiłowała dodać Mikołajowi otuchy, pocieszyć go, stworzyć choćby cień nadziei.

— Nie poddawaj się, nie popadaj w skrajną depresję — mówiła. — Może się jednak okaże, że to nie Maurycy, może milicja wpadnie na trop prawdziwego mordercy?

Uśmiechnął się smutnie.

— Dziękuję ci, Joasiu, za dobre słowo, ale przecież ty sama w to nie wierzysz. Nie ma się co łudzić.

Wróciła do siebie zgaszona, przygnębiona, rozstrojona nerwowo. Zaczęła krzątać się koło kolacji. Teresy w domu nie było.

Gdzie ta dziewczyna się podziewa? — myślała Joanna niespokojnie, stawiając na gazie wodę na herbatę. — Nigdy teraz wcześniej nie przyjdzie do domu.

Wprawdzie Teresa nie była już dzieckiem i czwarty rok studiowała na Akademii Sztuk Pięknych, ale Joanna ciągle jeszcze czuła się odpowiedzialna za młodszą siostrę. Ostatnio coraz bardziej traciły ze sobą kontakt i to ją martwiło. Nie znajdowała jednak na to rady. Widywały się rzadko, przelotnie, w pośpiechu zamieniały ze sobą kilka słów i każda biegła do swoich zajęć. Praca w telewizji była bardzo absorbująca, nieraz przyszło posiedzieć na Woronicza i wieczorem, częste narady, przeglądy, wyjazdy w teren.

Teresę pochłaniały zajęcia na Akademii, czasami wyjeżdżała na plener, poza tym koleżdy, koleżanki, na pewno jakiś tam adorator albo może para adoratorów... Była przecież ładną, atrakcyjną dziewczyną, pełną życiowej werwy, temperamentu... Miała swoje środowisko, swoje sprawy — własne życie. Po prostu obie nie znajdowały na to czasu, żeby posiedzieć, pogadać, podzielić się wrażeniami, poplotkować.

Ugotowała jajka na twardo, pokroiła szczypiorek i przygotowała sałatkę z cykorii. Kolacja właściwie już była gotowa. Jeszcze tylko otworzyć jakąś puszkę, makrele, a może sardyn-

ki...

Dzwonek.

Zdziwiona, spojrzała w kierunku przedpokoju. Czyżby Teresa zapomniała kluczy? Wytarła wilgotne ręce o fartuszek i pobiegła otworzyć.

— Pan do kogo? — spytała zdziwiona.

Uśmiechnął się z zakłopotaniem.

— Pani mnie nie poznaje?

— Ależ tak... Oczywiście. Proszę, panie poruczniku. — W cywilnym ubraniu wydał jej się dużo młodszy, bardziej chłopięcy. Mundur dodawał mu urzędowej powagi. — Proszę, niech pan zdejmie płaszcz.

— Ale może ja przeszkadzam...? — zaczął się sumitować. — Przechodziłem tędy i właśnie...

Roześmiała się.

— Niech się pan tak nie tłumaczy. Przecież wiem, że „prawdziwy” detektyw działa przez zaskoczenie. Proszę, niechże pan wejdzie.

— Naprawdę tylko na chwileczkę...

— Dobrze, dobrze — pchnęła go delikatnie w kierunku pokoju. — Właśnie przygotowałam skromną, ale „witaminową” kolacyjkę. Mam nadzieję, że mi pan nie odmówi.

— Skądże znowu...? Ja przecież nie na kolację...

— Wiem, że pan nie przyszedł na kolację, ale to nic nie szkodzi. Jestem piekielnie głodna, a nie mogę się przecież pożywić i niczym pana nie poczęstować.

Był coraz bardziej speszony.

— To może ja zaczekam...? Albo może lepiej umówię się z panią na jutro. Bo to rzeczywiście tak wypadło trochę nie tego...

— Niechże pan nie będzie małym dzieckiem. Cóż to znowu za zesłowieczne ceregiele? Zaraz nakrywam do stołu. Wypijemy sobie po kieliszku jarzębiaku, zakąsimy sardynką, jajeczkiem i porozmawiamy. Przecież pan zapewne odwiedził mnie w tym celu, żeby porozmawiać.

— No tak... w pewnym sensie tak.

— Więc właśnie. Proszę na razie siadać na fotelu, a za chwi-

lę zaproszę pana na „lukullusową” ucztę.

Błyskawicznie nakryła do stołu, ubawiona sytuacją. Śmieszyl ją ten młody, speszony milicjant, wcale nie wyglądający na nieubłaganego tropiciela morderców. Wprost przeciwnie, robił wrażenie onieśmielonego chłopca, który coś zbroił i nie bardzo wie, jak z tego wybrnąć.

— Woli pan sardynki czy makrele w oliwie?

— Naprawdę... niech sobie pani nie robi kłopotu.

— Wobec tego sardynki. Ale może pan otworzy, bo mnie się zawsze urywa ten kluczyczek.

Poderwał się ochoczo. Czuł, że nie wypada mu zostać u niej na kolacji i najchętniej poszedłby jak zmyty. Wiedział jednak, że tego nie może zrobić, że to wyglądałoby bardzo głupio. Wiedział już, że wypije jarzębiak i zje te nieszczęsne sardynki, które teraz otwierał nieco drżącymi rękami, uważając, żeby nie wylać oliwy na obrus. Udało się. Nie wylał.

Kolacja upłynęła w pogodnym nastroju. Joanna prowadziła rozmowę w tonie lekko żartobliwym, nie nawiązując do zabójstwa Joachima. Mówili o pogodzie, o filmie, o zbliżających się świętach, o karnawale. Wypili po dwa małe kieliszki jarzębiaku. Joanna namawiała na trzeci, ale Makowiecki stanowczo się sprzeciwił.

Tego jeszcze tylko brakuje, żebym się tu załął — pomyślał, zakrywając dłonią swój kieliszek. Zupełnie nie wiedział; w jaki sposób naprowadzić rozmowę na interesujący go temat.

Dopiero przy herbacie Joanna postanowiła przyjść mu z pomocą.

— Czego właściwie chciał się pan ode mnie dowiedzieć? — spytała wprost. — Bo przecież przyszedł pan w celach służbowych, prawda?

— Właściwie... — zaciął się i odchrząknął energicznie, jakby mu kreolka uwięzła w gardle — właściwie, to rzeczywiście. Tylko to tak jakoś dziwnie wszystko wyszło... — Był tym bardziej speszony, że od pewnego czasu zaczął sobie zupełnie jasno zdawać sprawę, jak bardzo ta dziewczyna mu się podoba.

— Niech pan mówi całkiem szczerze — zachęciła go Joanna

- jakiego rodzaju informacje chciał pan zdobyć działając „przez zaskoczenie”

— Jeszcze raz. najmocniej panią przepraszam, że tak bez za po wiedzenia...

— To już żeśmy załatwili — ucięła energicznie. — Bardzo przyjemnie gawędziło mi się z panem, a teraz proszę powiedzieć, o co konkretnie chodzi?

— Chciałbym się czegoś dowiedzieć o pani Morawskiej.

Popatrzyła na niego przez chwilę uważnie.

— Tak?... A co właściwie chciałby pan wiedzieć o Karolinie?

Co pana interesuje?

Makowiecki poprawił się na krześle i założył nogę na nogę. Zaczynał odzyskiwać pewność siebie.

No trudno — pomyślał. — Zjadłem, ciut wypilem, ale mimo to muszę zdobyć trochę informacji.

— Widzi pani... — powiedział urzędowym tonem — podstawową zasadą w prowadzeniu każdego śledztwa jest branie pod uwagę różnych ewentualności. Nie wolno upierać się przy jednej koncepcji, dopóki nie zostanie ona stuprocentowo udowodniona. W danym wypadku wszystko wskazuje na to, że morderstwa dokonał Maurycy Konorski. Pozory są przeciwko niemu, ale...

— A może on wcale tego nie zrobił?! — wykrzyknęła z nadzieją w głosie Joanna. — Może to są właśnie tylko pozory?

Makowiecki zrozumiał, że zupełnie przypadkowo dotknął właściwej struny.

No tak, oczywiście, przecież zależy jej na tym, żeby to nie Maurycy, nie brat narzeczonego... — pomyślał i uśmiechnął się leciutko.

Patrzyła na niego wyczekująco.

Po, jak mu się zdawało, „efektownej” pauzie, nadającej słowom tym większego znaczenia, mówił dalej:

— Nam, proszę pani, oczywiście nie wystarczą poszlaki. Bynajmniej nie idziemy po najmniejszej linii oporu. Chcemy poznać prawdę i rzeczywistego zbrodniarza postawić przed sądem. Dlatego też musimy sprawę dokładnie przeanalizować i dowiedzieć się, komu mogło zależeć na śmierci Joachima Ze-

lberta.

Milczała.

— Pani jest przyjaciółką pani Morawskiej.

— Tak. Przyjaźnimy się od dłuższego czasu.

— Między przyjaciółkami dochodzi czasem do intymnych zwierzeń. Więc...?

— Nie bardzo rozumiem, o co panu chodzi.

Uśmiechnął się leciutko. Wiedział doskonale, że dziewczyna gra na zwłokę.

— To chyba zupełnie proste — powiedział, nie czyniąc żadnej aluzji do jej strategii. — Pani Karolina Morawska jest kobietą dojrzałą, bardzo atrakcyjną i nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby jakiś mężczyzna się nią zainteresował.

— Miała wyjść za mąż za Joachima Zelberta.

— To wiem. Ale pan Zelbert przebywał stale w Australii, a to — przyzna pani — nieco daleko. Nie było też chyba stuprocentowej pewności, że powróci do Warszawy w celach matrymonialnych.

— To prawda — przytaknęła Joanna. — Takiej pewności nikt z nas nie miał.

— Więc właśnie. W tej sytuacji nie można by potępiać pani Morawskiej za jakiś flirt. Konkretnie chciałbym się dowiedzieć, czy przyjaciółka pani jest lub może była kimś zainteresowana?

— O ile mi wiadomo, nie.

— Czy słyszała pani o jakimś Robercie Brzezickim? To młody, podobno zdolny, rzeźbiarz.

Joanna poruszyła się niecierpliwie.

— Jeżeli pan wszystko wie, po co pan pyta?

— „Wszystko wie” to za mocno powiedziane — uśmiechnął się Makowiecki. — Posiadam trochę niezbyt jasnych informacji w tej sprawie. Chciałbym się czegoś więcej dowiedzieć od pani.

— Czego mianowicie?

— Choćby tego, czy ten rzeźbiarz jest zakochany w pani Morawskiej.

— Wydaje mi się, że tak.

— A czy pani sądzi, że mógłby wpaść w furję, dowiedziawszy się, że pani Morawska wychodzi za mąż.

- To bardzo impulsywny i narwany chłopak.
 - I byłby, myśli pani, zdolny do popełnienia zbrodni?
 - Silne uczucia nie zawsze idą w parze ze świadomym, kontrolowanym przez rozum działaniem.
 - Czy to, co pani w tej chwili powiedziała, mogę traktować jako odpowiedź twierdzącą na moje pytanie?
 - Jak pan uważa.
 - Z przykrością muszę stwierdzić, że nie jest pani skłonna mi pomóc.
 - To nie takie proste, panie poruczniku. Nie chciałabym rzucać podejrzewania na kogoś. Zbyt duża odpowiedzialność. Makowiecki skinął głową.
 - Doskonale panią rozumiem. Proszę mi powiedzieć, czy zna pani Roberta Brzezickiego?
 - Oczywiście. Przecież przed chwilą...
 - Tak. Przed chwilą powiedziała pani, że to bardzo impulsywny i narwany chłopak. Czy to pokrywa się z opinią pani Morawskiej?
 - Myślę, że Karolina jest tego samego zdania.
 - Czy pani Karolina przewidywała jakieś komplikacje w związku z osobą Roberta Brzezickiego?
 - Raczej tę sprawę bagatelizowała. Natomiast ja...
 - Natomiast pani obawiała się, że może dojść do awantury pomiędzy Joachimem Zelbertem a młodym rzeźbiarzem.
 - To prawda. Bałam się ich spotkania — przyznała Joanna.
 - Rozmawiała pani na ten temat z panią Morawską?
 - Tak. Ostrzegałam ją.
 - A ona?
 - Śmiała się. Nie traktowała całej sprawy zbyt serio.
 - Nigdy nie należy bagatelizować sercowych spraw — powiedział Makowiecki tonem doświadczonego mężczyzny. — Z tego wszystkiego wynika, że Brzezicki, młody, impulsywny chłopak łatwo mógł zrobić jakieś głupstwo.
 - Na pewno bardzo przeżył rozstanie z Karoliną.
 - A pani jak sądzi — między panią Morawską i tym rzeźbiarzem było coś poważniejszego?
- Joanna wzruszyła ramionami.

—Trudno mi na to pytanie odpowiedzieć. To są bardzo intymne sprawy. Wydaje mi się jednak, że Karolina nie dopuściła do żadnych poufałości. Sama zresztą tak mi powiedziała. Uważa ten epizod za zupełnie niewinny, przelotny flirt.

—To jest, oczywiście, kwestia interpretacji — uśmiechnął się Makowiecki. — Wszystko zależy od tego, co kto rozumie przez „przelotny flirt”. Czy znajomość pani Morawskiej z młodym artystą trwa od dawna?

—Dokładnie nie pamiętam. Może rok, może trochę dłużej.

—I twierdzi pani, że Robert Brzezicki jest uczuciowo bardzo zaangażowany?

— Tak. Wydaje mi się, że tak.

— Pani sama zajmuje to mieszkanie? — spytał nagle Makowiecki.

Nie dała poznać po sobie, jak zaskoczył ją tym pytaniem.

—Mieszkam z młodszą siostrą. Ojciec umarł niedawno i zostawił nam to mieszkanie.

Posłyszeli trzask otwieranych drzwi,

—O, to na pewno właśnie siostra — powiedziała Joanna, Weszła Teresa, zaróżowiona od jesiennego chłodu i szybkiego marszu. Na widok obcego mężczyzny zatrzymała się zdziwiona.

Joanna uśmiechnęła się leciutko.

— Chodź. Poznaj się z panem porucznikiem.

—Czy może to pan prowadzi dochodzenie w sprawie zamordowania Joachima Zelberta? — spytała Teresa.

— Zgadła pani.

—To dobrze, że pan przyszedł. Wybierałam się do was, do komendy, ale ciągle nie miałam odwagi. Chciałam... chciałam złożyć zeznanie.

ROZDZIAŁ VI

Nikt nie lubi, żeby go wyciągano z ciepłego łóżka. Sierżant Pawelec był w nastroju „grypowym”. Podgrzał sobie czerwonego wina z cukrem i korzeniami, zażył pastylką asprokolu i wcześniej się położył, z „kryminałem” w rękę. Właśnie akcja powieści zaczynała się pasjonująco komplikować, gdy zaterko-

tał telefon.

Dzwonił Makowiecki, prosząc, żeby Waleriana natychmiast przyjeżdżał do komendy.

— Mam tu dziewczynę, która twierdzi, że zabiła Zelberta. Potrzebuję twojej pomocy.

— Co to za dziewczyna?

— Siostra tej telewizyjnej dziennikarki.

— Histeryczka?

— Nie wygląda na histeryczką. Zresztą nie wiem. Przyjeżdżaj.

— Chory jestem. Grypa mnie bierze — próbował bronić się Pawelec.

— Nie weźmie cię. Przyjeżdżaj.

— A może by to odłożyć do rana?

— Nie mogą. Ona tu siedzi. Muszą coś z nią zrobić.

— To nie wiesz, co się robi z dziewczyną? Ja mam cię uczyć?

— Nie wygłupiaj się. Przyjeżdżaj. To ważne.

— Rad nierad Pawelec wygramolił się z nagrzanego łóżka i klnąc, na czym świat stoi, zaczął się ubierać.

— Gdzie tu teraz taksówki szukać? — mruzczał, sznurując buty. — Psiakrew! Cholera jasna! Nawet pochorować człowiekowi nie dadzą. Grypa, nie grypa, a ty zasuway w nocy do komendy, bo jakiejś idiotce coś się tam przywidziało.

— Taksówka, jak na zamówienie, stała w odległości kilkunastu metrów od domu, w którym mieszkał Pawelec i kierowca nie sprzeciwiał się, żeby zawieźć pasażera do komendy MO.

*

Sierżant Pawelec siedział osowiały i kichał.

— No i co to wszystko właściwie znaczy? — spytał, spoglądając spode łba na młodego człowieka. — Wyciągasz mnie z łóżka... Narażasz na komplikacje pogrypowe...

— Żeby mieć komplikacje pogrypowe, najpierw trzeba mieć grypą — zauważył logicznie Makowiecki. Opowiedział o swojej

wizycie u Joanny i o przedziwnym przyznaniu się do winy jej siostry.

- Pewnie jakaś wariatka — mruknął Waleriana.
- Wygląda na zupełnie normalną.
- Dawaj ją tu.

Weszła zdecydowanym, energicznym krokiem. Była bardzo blada, usta miała zacięte, przygryzała dolną wargę.

- Imię i nazwisko? — spytał beznamietnie Pawelec.
- Teresa Stawiska.
- Wiek?
- Dwadzieścia dwa lata.
- Zawód?
- Studentka.
- Studiuje pani na uniwersytecie?
- Nie. Na Akademii Sztuk Pięknych.

Sierżant kichnął tak, że aż szyby w oknach zadrżały. Celowo zadawał te wszystkie nic nie znaczące pytania. Chciał zyskać na czasie i zorientować się trochę, z kim ma do czynienia. Dokładnie wytarł nos, odkaslnął i pytał dalej:

- Pani zamieszkuje razem z siostrą?
- Tak.
- A siostra pani pracuje, zdaje się, w telewizji?
- Tak.

Teresa odpowiadała spokojnie. Była opanowana. Robiła wrażenie osoby zdeterminowanej, gotowej na wszystko. Nic nie wskazywało, żeby działała pod wpływem ataku histerycznego czy jakiegoś narkotyku. Po paru jeszcze pytaniach o charakterze czysto statystycznym, powiedziała zniecierpliwiona:

— Przecież pan porucznik zna wszystkie moje dane. — Ruchem głowy wskazała Makowieckiego. — Po co mam to dwa razy powtarzać?

Na twarzy sierżanta pojawił się ojcowski uśmiech.

— Obawiam się, że ani mój kolega, ani ja nie wiemy „wszystkiego” o pani.

Wzruszyła ramionami.

— Nie rozumiem tych pytań, które nie mają nic wspólnego z...

—W pani wieku ja również bardzo wielu rzeczy nie rozumiałem — przerwał jej Pawelec. — To przywilej młodości. Widzę jednak, że pilno pani przejść do zasadniczego tematu. Dobrze więc. Ruszajmy. Podobno pani twierdzi, że zabiła pani Joachima Zelberta.

—Tak. To prawda. — Słowa te zostały wypowiedziane szybko, zdecydowanie.

— Czy pani jest pewna, że to prawda?

—Zdaje się, że pan ze mnie żartuje. Przyszłam tu po to, żeby złożyć zeznanie, żeby przyznać się do popełnienia zbrodni.

Pawelec pokiwał głową.

— Hm... No tak... tak... oczywiście. Wobec tego proszę mi powiedzieć, dlaczego pani to zrobiła? Musi istnieć jakiś motyw zbrodni.

— Ten człowiek mnie zgwałcił. Postanowiłam się zemścić.

— O...! To ciekawe. Więc powiada pani, że Joachim Zelbert zgwałcił panią.

— Tak.

— Kiedy to się stało?

— Trzy lata temu. Podczas jego pierwszego pobytu w Polsce.

— I gdzie to miało miejsce?

— W hotelu. Zwabił mnie podstępnie i...

— Przykre. Podobno robił wrażenie bardzo przyzwoitego człowieka.

— Pozory często mylą.

— Niestety. Pod tym względem całkowicie się z panią zgadzam. Proszę mi powiedzieć, w jaki sposób zabiła pani Joachima Zelberta?

— Uderzyłam go w głowę.

— Czym go pani uderzyła?

— Młotkiem.

— A skąd pani miała młotek?

— Chyba nie tak trudno o młotek. Każdy w domu ma młotek.

— To prawda — zgodził się sierżant. — Każdy ma w domu młotek. Wielka szkoda natomiast, że nie każdy wybija nim so-

bie głupstwa z głowy.

Spojrzała na niego zaskoczona.

— Nie rozumiem...

— A cóż ty sobie myślisz, smarkulo jedna?! — wrzasnął nagle Pawelec, który zaczynał się pocić pod wpływem grzanego wina i asprokolu. — Cóż ty sobie wyobrażasz?!

Czy to tak wolno zawracać ludziom głowę po nocy, przychodzić tu i opowiadać niestworzone rzeczy? Jak wezmę pasa, to ci spuszczą takie lanie, jakiego rodzony ojciec nigdy ci nie sprawił. To wszystko są przecież bzdury, wierutne kłamstwa. Czy ci się wydaje, że my jesteśmy aż tak głupi, że można nas w tak prymitywny sposób oszukać?!

Siedziała ogłuszona, z szeroko otwartymi oczami. Makowiecki także był bardzo zmieszany. Po raz pierwszy w życiu widział Walerianę w takiej „szewskiej pasji”.

— Ja ci nauczę rozumu! — huczał dalej Pawelec, a płuca miał zdrowe. — Ja ci pokażę, co to znaczy chorych ludzi z łóżka w nocy wyciągać!!

— Ależ... proszę pana...

— Wszystko od początku do końca kłamstwo! — Pawelec nie dawał za wygraną. — Młotkiem go uderzyła! Koń by się uśmieł. Chłop metr dziewięćdziesiąt wzrostu i taka podfruwajka młotkiem go zabiła. Ześmiać się można, słowo daję. A pomijając już sprawę fizycznych możliwości, Joachim Zelbert został uderzony żelaznym prętem. O żadnym młotku nie ma mowy. Ponieważ jednak upiera się pani przy tej wersji morderstwa, trzeba sprawę gruntownie zbadać. A więc przede wszystkim musimy mieć całkowitą pewność, jeśli chodzi o ten gwałt. Jutro rano zostanie pani poddana dokładnym oględzinom lekarskim. Zobaczymy jaka będzie opinia specjalisty w tej sprawie.

Rozpląkała się.

Pawelec kichnął, wytarł starannie nos i spojrzał porozumiewawczo na Makowieckiego. Następnie nalał trochę wody z karafki i podsunął szklankę dziewczynie.

— Niech się pani napije. Trochę fenolu dobrze pani robi.

Wypiła, ale płakała w dalszym ciągu, tylko trochę ciszej.

Waleriana czekał cierpliwie. Nie miał wątpliwości co do

tego, że fatalnie się przeziębi, kiedy taki spocony wyjdzie z komendy

Wszystko przez tę głupią sikse — myślał ze złością. Rzeczywiście najchętniej położyłby ją na kolanie i wyspał kilka solidnych klapków.

Wreszcie trochę się uspokoiła.

— No i jak? — spytał Pawelec. — Lepiej pani?

W milczeniu skinęła głową.

— To świetnie. A teraz proszę powiedzieć, w jakim celu napowiadała nam pani tych wszystkich głupstw

W dalszym ciągu milczała.

Odczekał chwilę i wolno, bardzo łagodnie, zaczął mówić:

— Ponieważ pani nie chce zapoznać nas z celem swojego postępowania, wobec tego ja spróbuję to sprecyzować. Nie ulega wątpliwości, że przyznała się pani do nie popełnionej zbrodni w ściśle określonym celu. O to morderstwo podejrzany jest Maurycy Konorski. Pani chciała wziąć winę na siebie, żeby jego ratować.

— On jest niewinny! — krzyknęła, ocierając energicznie resztki łez z oczu. — Maurycy nie zabił! Nie zabił!

— Dlaczego pani przypuszcza, że Maurycy Konorski jest niewinny? — spytał ostrożnie Pawelec.

— Wy go nie znacie! Nikt go nie zna! To szlachetny, dobry człowiek. Poeta. Romantyk.

— Ten „romantyk” odbył karę więzienia za przestępstwa kryminalne — zauważył Makowiecki.

Zwróciła ku niemu pałające spojrzenie.

— A czy pan nigdy nie słyszał o pomyłkach sądowych? Czy pan uważa, że nie istnieją niesprawiedliwe wyroki?

— Pani zdaniem Maurycy Konorski padł ofiarą pomyłki sądowej?

— Oczywiście! Nie mam co do tego żadnych wątpliwości!

— Czy dawno zna pani tego człowieka?

— Dawno. Sześć lat.

— To znaczy, że знаła go pani jeszcze przed jego uwięzieniem.

— Naturalnie.

— Miała pani szesnaście lat, kiedy go pani poznała.

— Tak.

Makowiecki umilkł i spojrział na Pawelca.

— Masz jeszcze jakieś pytania?

Sierżant pociągnął nosem i odchrząknął.

— Więc pani twierdzi, że Maurycy Konorski jest porządnym człowiekiem i że tylko przez tragiczny zbieg okoliczności został skazany na więzienie?

Energicznie skinęła głową.

— Nikt go lepiej nie zna ode mnie. To wyjątkowy człowiek, szlachetny, bezinteresowny, zdolny do poświęceń.

— Spodobał się pani.

— Ja go kocham — powiedziała po prostu.

— I dlatego postanowiła pani przyznać się do tej zbrodni, żeby go ratować.

— Wiedziałam, że sąd potraktuje go jako recydywistę.

— Więc pani przyznaje się do tego, że usiłowała nas pani wprowadzić w błąd.

— Tak. Chciałam go ratować.

— Kiedy ostatni raz widziała pani Maurycego Konorskiego?

— Dawno, bardzo dawno. To było lato. Chyba koniec lipca albo początek sierpnia.

— Wyszedł z więzienia w czerwcu.

— Tak. Pod koniec czerwca.

— I wtedy pani się z nim widywała?

— Tak, ale rzadko. Nie bardzo miał na to ochotę. Był bardzo smutny, skrzepowany. Powiedział mi, że musi się z tego wszystkiego trochę otrząsnąć.

— Czy przed jego uwięzieniem bywała pani u niego?

— Tak. Ale niech pan nie myśli, że... Nie, nie, absolutnie nie. Nic takiego między nami nie było. To bardzo szlachetny i uczciwy mężczyzna. Teraz się tacy nie zdarzają. Ja sama mu nawet proponowałam, żeby... Odmówił. Powiedział, że jestem jeszcze za młoda.

— A czy po zamordowaniu Joachima Zelberta nie widziała się pani z Maurycem?

— Nie. Telefonował tylko do mnie.

— Czego chciał?

— Prosił, żebym mu przyniosła paczkę żywnościową, dwie albo trzy koszule i skarpetki.

— W jaki sposób miała mu pani dostarczyć te rzeczy?

— Mieliśmy się spotkać na poczcie, ale nie przyszedł. Cze-
kałam. Nie przyszedł.

— Czy potem telefonował?

— Nie. Już nie telefonował.

— Czy pani jest pewna, że wtedy telefonował Maurycy?

— Oczywiście. Ma bardzo charakterystyczny głos. Cierpi na
zapalenie strun głosowych.

— Ma chroniczną chrypkę?

— Tak. Prosiłam, żeby się leczył, ale on bardzo nie lubi cho-
dzić do lekarzy. Uważa, że cała medycyna nic nie jest warta.

— Hm... — Pawelec zamyslił się. Dwa razy kichnął potężnie,
co zabrzmiało jak wystrzał z pistoletu.

Bierze mnie— pomyślał ze smutkiem. — I warto było wyła-
zić z łóżka, żeby pogadać z tą idiotką? Będzie cud boski, jeśli
nie dostanę zapalenia płuc. Muszę chyba grzanekę sobie zrobić,
jeżeli mi te cholery wtedy całego spirytusu nie wypięły.

Posępnie spojrział na dziewczynę.

— .No więc tak... Twierdzi pani, że Maurycy Konarski to
taki szlachetny człowiek.

— To wyjątkowy człowiek, proszę pana! Naprawdę! Sam
byłby pan tego zdania, gdyby go pan tylko poznał.

— Bardzo chętnie — powiedział poważnie sierżant. — Może
nas pani zapozna.

— Żeby go pan wsadził do więzienia?!

— Moglibyśmy porozmawiać.

— W celi więziennej.

— Niekoniecznie. Zobaczylibyśmy... Niewinni ludzie nie sie-
dzą w więzieniu.

— Różnie bywa. Maurycy niewinnie siedział trzy lata, nawet
trochę dłużej.

— Z tego wszystkiego wynika, że pani jest przekonana, iż
Maurycy Konorski nie zamordował Joachima Zelberta.

— Na pewno nie. Mogę przysięgać. On nie jest zdolny do

popelnienia zbrodni.

— Jeżeli nie Maurycy, to kto to zrobił według pani?

— Nie mam pojęcia.

Sierżant miał ochotę znowu kichnąć, ale się opanował. Skrzywił się tylko, parę razy poruszył nosem i spróbował się uśmiechnąć.

— Zapomniałem, jak pani na imię — powiedział, sięgając do kieszeni po chustkę.

— Teresa.

— A, prawda. A więc... panno Tereso, wydaje mi się, że pani chciałaby dowieść niewinności Maurycego Konorskiego.

— Bardzo bym chciała. Byłabym szczęśliwa.

— Świetnie. Wobec tego coś pani proponuję.

— Słucham.

— Proponuję pani współpracę z nami. Być może, że wspólnymi siłami odnajdziemy prawdziwego zabójcę Joachima Zeliberta i że tym zabójcą okaże się zupełnie ktoś inny, nie Maurycy Konorski.

Przyjrzała mu się uważnie.

— Nie wiem, czy pan żartuje, czy mówi serio.

— Tutaj, proszę pani, nie ma mowy o żadnych żartach. Moja propozycja jest zupełnie poważna.

— Nie wiem, jak miałyby wyglądać moja współpraca z panami. Ja nigdy...

— Chwileczką — sierżant wytarł nos i przywołał na twarz coś w rodzaju życzliwego uśmiechu, który miał wzbudzić w dziewczynie większe zaufanie do jej rozmówcy. — Przede wszystkim dobrze by było, żeby pani skomunikowała się z Maurycem.

— Nie wiem, gdzie go szukać.

— Domyślam się. Ale nie jest wykluczone, że on zatelefonuje do pani. Proszę mu wtedy powiedzieć, że bardzo źle robi ukrywając się. Przez to automatycznie staje się człowiekiem podejrzanym. Niech mu pani powie, żeby się z nami skomunikował. Rozumiem, że w obecnej sytuacji boi się tutaj przyjść. Niech do nas zadzwoni. Pogadamy. Może coś się wyjaśni. Aha... I jeszcze jedno. Proszę go pocieszyć i powiedzieć, że

pani współpracuje ściśle z nami, aby dowieść jego niewinności. Niech wie. To mu doda otuchy. Jutro albo pojutrze pójdzie pani do jego mieszkania, ze mną albo z porucznikiem. Przypuszczam, że pani zna zwyczaje Maurycego Konorskiego, jego zamiłowania, może jakieś *hobby*.

— Uwielbia poezje. Jego ulubionymi poetami są Norwid i Beaudelaire.

— Doskonale. Więc akceptuje pani Współpracę z nami?

— Jeżeli w ten sposób mogłabym dopomóc Maurycemu...

— To jedyny sposób. Niech się pani dobrze zastanowi nad tym, kto mógł zamordować Joachima Zelberta? Może pani wpadnie do głowy jakiś genialny pomysł.

— Spróbuję... chociaż nie wyobrażam sobie, żebym ja...

— Cieszę się, żeśmy się dogadali - powiedział wesoło Pawelec. — Prawdę mówiąc, bardzo liczę na pani współpracę. A teraz proszę wracać do domu i położyć się spać. Już bardzo późno. Odwiezie panią oficer dyżurny.

— Dziękuję, ale to niepotrzebne. Moja siostra czeka na mnie z wozem.

— Jeszcze lepiej. Dobranoc. Jutro zadzwonimy do pani.

Kiedy zostali sami, Makowiecki spojrział na sierżanta.

— No i co? Co ty o tym wszystkim myślisz?

— Myślę, że przez ciebie ciężko się rozchoruję. Dostanę cholernej grypy. Jak amen w pacierzu. Nie mogłeś sam porozmawiać z tą podfruwajką?

— Rozmawiałem z nią. Myślałem jednak, że będzie lepiej, jak cię tutaj ściągnę.

— Lepiej? — skrzywił się Pawelec. — Jak dla kogo...

— Miałem na myśli dobro śledztwa. Nie gniewaj się, że cię wyciągnąłem z łóżka.

Sierżant westchnął.

— A gdzie troska o zagrypionego człowieka? — powiedział z wyrzutem.

Sierżant Pawelec, Walerianą zwany, doszedł do kon-

struktywnego wniosku, że nie ma czasu chorować. Grypa wprawdzie przypuściła generalny atak na wszystkich frontach, ale dobrze obmyślane przeciwnatarcie mogło pokrzyżować jej szyki

Natychmiast po powrocie z komendy do domu sierżant Pawelec przystąpił do energicznej akcji.

Na szczęście wspaniałomyślni kumple zostawili jeszcze ćwiartkę spirytusu, a może jej po prostu nie znaleźli. Tak czy inaczej spirytus był, słoik miodu znalazł się w kredensie, do tego trochę korzeni i krupnik gotowy.

Dwie szklanki mocnego, dymiącego napitku podziałały na grypę jak kilka baterii najcięższej artylerii. Późnym rankiem sierżant otworzył oczy i stwierdził z prawdziwą satysfakcją, że czuje się znakomicie. Ani śladu kataru, kaszlu, bólu głowy i łamańca w kościach. Ubrał się pośpiesznie i zadzwonił do komendy do Makowieckiego, komunikując mu, że wyjeżdża natychmiast na wczasy do Radości.

Pogoda była piękna, słoneczna, choć ostatnie kolorowe liście opadały już z drzew, a od wilgotnej ziemi szedł jesienny, przejmujący chłód.

Pawelec cieszył się pogodnym dniem, ale jeszcze większą radością napawał go fakt, że już nie kicha. Zakatarzony detektyw nie ma w sobie nic z powieściowego romantyzmu, jest żalostną postacią, wzbudzającą współczucie połączone z obawą przed wirusowym zakażeniem.

Ruch na świeżym powietrzu wracał mu siły i radość życia.

Obszedł dookoła dom Karoliny, ale nie usiłował dostać się do środka. Zapoznał się tylko z terenem, obejrzał pobliskie budynki, parokrotnie przeszedł się po ścieżkach, poszperał w krzakach obserwując dyskretnie przechodzących ludzi.

O tej porze w osiedlu było cicho i spokojnie. Mieszkańcy Radości albo znajdowali się w swych miejscach pracy, albo zajmowali się gospodarstwem domowym. Dzieci jeszcze nie wyszły ze szkoły.

Naprzeciwko willi Karoliny stał mały domek, pomalowany na niebiesko. Mikroskopijny ogródek przed niebieskim domkiem, tak jak wszystko dokoła, pachniał jesienią. Oknem, na

którym stały doniczki z czerwonymi pelargoniami, wyglądała staruszka. Głaskała puszystego, rudego kota. Gdyby Pawelec interesował się malarstwem, zapewne umiałby docenić wartości plastyczne tego sielskiego obrazka. Ale sierżant Pawelec nie miał czasu chodzić na wystawy do Zachęty i obce mu było pojęcie zestawień kolorystycznych. Staruszka zainteresowała go z zupełnie innych względów.

Po ścieżce wysypanej drobnym żwirem wszedł na ganek, obrośnięty dzikim winem. Widział, jak stara kobieta przygląda mu się z zainteresowaniem.

Zastukał. Zostawiła kota na parapecie i uchyliła drzwi.

— Pan do kogo? .

— Dzień dobry. Ja właśnie do pani.

— Do mnie? — zdziwiła się. — Ale ja pana nie znam.

— Bardzo słusznie. Zaraz się przedstawię. Nazywam się Walerian Pawelec i jestem pracownikiem komendy Milicji Obywatelskiej.

— Milicjant? — w jej głosie wyczuwało się rozczarowanie.

— Nie lubi pani milicjantów?

— Powiem panu szczerze, że nie bardzo lubię. Nie lubię ani policjantów, ani milicjantów, ani żandarmów.

Pawelec uśmiechnął się.

— Postaram się, żeby pani polubiła milicjantów. Czy mógłbym z panią porozmawiać?

— Nie wiem. Sama jestem w domu. Córka w pracy. Zięć także.

— Mam nadzieję, że się mnie pan? nie boi?

— Za stara jestem, proszę pana, żebym się bała ludzi.

— Pokażę pani moją legitymację służbową. Proszę, niech pani obejrzy.

— E... — machnęła ręką. — Co mi tam legitymacja! Po pierwsze musiałabym szukać okularów, a po drugie najgorsze bandziory mają zawsze dokumenty w porządku.

— Wyglądam na .bandziora? — spytał niespokojnie sierżant. Od dawna nie zwracał uwagi na swoje odbicie w lustrze. Przy goleniu z reguły myślał o czym innym.

— Bo ja wiem... — staruszka wzruszyła ramionami. — Zresztą proszę, niech już pan wejdzie

Zaprowadziła go do niedużego pokoiku, w którym stał stół nakryty barwnym plastikowym obrusem, parę krzeseł, kanapka i dwa foteliki. Ścianę zdobił spory oleodruk w złotych ramach, wyobrażający nagie nimfy karmiące ląbędzie.

Usiedli naprzeciw siebie przy stole i przez chwilę przyglądali się sobie z zainteresowaniem.

— Chciałem z panią porozmawiać, ponieważ...

— Wiem, wiem... — przerwała mu. — Pan pewnie w sprawie tego zabójstwa tutaj. Straszne rzeczy, co się teraz wyrabia. Człowiek dnia ani godziny niepewny. Za moich młodych lat także byli złodzieje i bandyci, ale żeby tak w biały dzień... Ja już nawet prosiłam zięcia, żeby psa kupił. Z psem zawsze człowiekowi różniej.

— Oczywiście, z psem różniej — przyznał z przekonaniem Pawelec. — Tak sobie, wie pani, tutaj spacerowałem i jak panią zobaczyłem w oknie, przyszło mi na myśl, że może pani coś widziała. To było w zeszły czwartek.

— Tak, tak... — ożywiła się. — To był czwartek. Doskonale pamiętam, bo miały być na obiad pierogi z mięsem. Nudziło mi

się kleić tyle tych pierogów w kuchni, to wzięłam stolnicę i usiadłam przy oknie. Przez okno sobie człowiek na świat popatrzy i trochę mu weselej. A i słońeczko z tamtej strony do domu zagląda.

— No właśnie. Więc w tamten czwartek —nawiązał do właściwego tematu Pawelec — siedziała pani przy oknie i kleiła pierogi z mięsem.

— Otóż to. Tych pierogów to trzeba u nas dużo nakleić. Młodzi mają apetyt, a dzieci jak się dorwą do jedzenia... Trudno nastarczyć. Szczerze panu mówię. — Pogłaskała kota, który wskoczył jej na kolana.

— I co pani widziała, klejąc pierogi?

— Widziałam, jak ten gość przyjechał samochodem.

— Jaki gość?

— No ten morderca.

— Skąd pani wie, że to morderca?

— Skąd wiem? — zastanowiła się. — Wszyscy mówią, że to on zabił. Zresztą wyglądał na mordercę.

— A jak wyglądał?

— Postawny mężczyzna, barczysty. Jak to mówią, kawał chłopca. Brodę miał, wąsy.

— I przyjechał samochodem?

— Tak. Widziałam, jak wysiadał. I zaraz poleciał do pani Morawskiej.

— Jaki to był wóz?

— Zabłocony.

— Pytam o markę wozu. Syrenka? Skoda? Fiat?

— Ja się tam, proszę pana, na samochodach nie znam Samochód i tyle. Mogą tylko powiedzieć, że był brudny, zakurzony, zabłocony.

— Duży? Mały?

— Taki średni.

— No i cóż ten facet z brodą? Poszedł do domu pani Morawskiej i co dalej?

— Dalej to ja już nie wiem. Nie widziałam.

— Nie widziała pani, jak wychodził?

— Nie. Zabrakło mi ciasta, mięsa sporo zostało. Musiałam

pójść do kuchni i jeszcze trochę ciasta zagnieść.

—A potem?

—Co potem?

Wróciła pani do tego okna?

— Wróciłam.

—I nie widziała pani, jak ten z brodą wychodził?

—Nie. Musiał wyjść, jak ja byłam w kuchni.

—A samochód?

— Samochodu także nie było A potem to się zrobił ten cały bałagan, przyjechało pogotowie, milicja...

—Jak długo była pani w kuchni?

—Tego panu dokładnie nie powiem, ale dosyć długo. Gdzieś wetknęłam torbę z mąką. Musiałam poszukać. Potem znowu kot wylał mleko. Trzeba było zetrzeć Trochę mi zeszło.

— Bardzo lubię pierogi z mięsem — powiedział sierżant i wstał.

Staruszka uśmiechnęła się.

— Niech pan kiedy wpadnie. Poczęstuję pana. Zwykle w czwartek robię pierogi.

Pawelec ukłonił się.

—Dziękuję za zaproszenie. Na pewno odwiedzę panią w któryś czwartek i przyniosę ćwiarteczkę pod te pierożki.

— Ja tam nie odmówię — ożywiła się. — Niech pan tylko przyjdzie wcześniej, zanim córka i zięć wrócą z pracy

Pawelec pożegnał chętną do kielicha babcię i znowu zaczął kręcić się w pobliżu domu Karoliny. Usiłował odtworzyć sobie przebieg wypadków. Interesował się każdym drzewkiem, każdym krzakiem.

Gdzie on rzucił ten łom? — rozmyślał. — Czyżby go zabrał z powrotem do wozu? Mało prawdopodobne. Morderca stara się jak najszybciej pozbyć narzędzia zbrodni. Ten łom czy stalowy pręt mógł być przecież zakrwawiony. Zelibert otrzymał parę bardzo silnych uderzeń.

Dzieci zaczęły wracać ze szkoły. Na małym placyku, pokrytym zeszlými i zgniłymi liśćmi, kilku chłopców bawiło się piłką. Krzyki, nawoływania, szturchańce, krótkotrwałe bójki.

Sierżant zatrzymał kilkunastoletniego wyrostka o jasnej,

rozczochranej czuprynie, błyszczących sprytem oczach i zadartym, kartoflowatym nosie. Dobrze zbudowany, silny, wodził rej wśród kolegów, którzy czuli przed nim widoczny respekt.

— Jak ci na imię?

— Zenek. A bo co? — Chłopak, zupełnie nie speszony, krytycznym spojrzeniem zlustrował wysoką postać dorosłego mężczyzny.

— Chciałbym z tobą pogadać.

— A o czym?

— Mieszkasz tu niedaleko?

— Mieszkam.

— I często w tym miejscu grywacie w piłkę?

— Prawie codziennie. Chyba, że leje. A pan co? Z milicji?

— Zgadłeś. Masz dobre oko.

— E, ja tam glinę na kilometr rozpoznam — pochwalił się Zenek. — O, bardzo pana przepraszam. Nie chciałem... Tak mi się wymaskło.

— Nie szkodzi — uśmiechnął się dobrotliwie Pawelec. — Powiedz mi, synu, czy w zeszły czwartek także bawiliście się tutaj?

— Wtedy, co to dziabnęli tego zagranicznego gościa?

— O, właśnie.

— Tak, byłem tutaj. Widziałem nawet mordercę.

— Skąd wiesz, że to był morderca?

— Wyglądał na oprycha. Taki... z brodą.

— Dużo ludzi teraz nosi brodę, szczególnie młodzi.

— Ale on wcale nie był młody, a mordę to miał taką, że nie daj Boże...

— Spozregłeś go, jak wychodził z tego domu?

— Nie. Jak wsiadał do samochodu. Bardzo się śpieszył.

— Jaki to był wóz?

— Syrena. Ala jak żyję, nie widziałem takiego zaświnionego wozu.

— Zakurzony?

— Zakurzony, zabłocony. Facet chyba ze dwa lata go nie mył. Nawet napisaliśmy mu z kolegami „brudas”. Bo faktycznie aż się prosiło

- W którym miejscu żeście to napisali?
 - Z tyłu, po bokach. W paru miejscach. Ale to chyba nic złego, proszę pana, prawda?
 - Nie, nic złego — przyznał sierżant. — Może widzieliście, jak on przyjeżdżał?
 - Nie. Jak żeśmy przyszli, to ta Syrena już stała.
 - Felek Mikus mówi do mnie — napiszemy mu „brudas”.
- No i napisaliśmy.
- Dziękuję ci, Zenek — powiedział Pawelec. — Zbierasz znaczki pocztowe?
 - No chyba. Mam już pełne dwa klasery.
 - Jak tu będę za parę dni, to przywiozę ci kilka bardzo fajnych znaczków.
 - O, dziękuję panu, będę czekał.

*

Pawelec bez większych trudności odnalazł „zaświnioną” Syrenkę. Wóz ten został skradziony w ów pamiętny czwartek sprzed domu na Kobielskiej, na Grochowie. Właściciel od dwóch tygodni leżał chory na grypę. Kradzież spostrzeżono dopiero późnym wieczorem i zaraz zameldowano o tym milicji. Poszukiwania nie trwały długo. Na drugi dzień z samego rana znaleziono zabłoconą Syrenkę w Międzyzlesia, niedaleko stacji kolejki elektrycznej. Napisy „brudas” były wyraźne i zupełnie czytelne. Zenek mówił prawdę. Wszystko się zgadzało.

Pawelec w towarzystwie plutonowego Wiśniewskiego z Grochowa dokładnie obejrzał odzyskany wóz. Asystowała im przy tej czynności żona chorego na grypę, pani Izabela Garncarska.

- Czy od tamtej pory używał ktoś tego wozu?
- Potrząsnęła głową.
- Nie. Mąż chory, a ja nie prowadzę. Jak nam tutaj odstawili, tak i stoi.
 - Nie orientuje się pani, o której godzinie mniej więcej skradziono wtedy wóz?
 - Nie mam pojęcia. Tyle miałam roboty koło męża. Ta gry-

pa tak go wzięła. Musiałam obiad szykować, przyszedł lekarz, polecałam do apteki. Dopiero wieczorem zorientowałam się, że nie ma naszej Syrenki.

Szczegółowe oględziny Syrenki państwa Garncarskich ujawniły następujące szczegóły: na podłodze, tuż koło kierownicy, Pawelec znalazł maleńki kawałeczek szkła. Była to górna część ampułki po zastrzyku. Na siedzeniu koło kierowcy sierżant zauważył ciemną plamkę.

— Jestem w kłopotcie — powiedział, zwracając się do pani Garncarskiej. — Muszę zniszczyć obicie. Potrzebny mi maleńki kawałeczek. Nie wiem, co robić.

Zastanawiała się chwilę, w końcu machnęła ręką.

— A niech pan tnie. Jeśli to konieczne... I tak oddamy wóz do remontu. Obicie także mieliśmy dawać nowe. Tc już strasznie zniszczone. Nie ma czego żałować.

Pawelec wyjął z kieszeni scyzoryk i zręcznie wykroił kawałek welwetu, na którym widniała ciemna plamka.

— Dziękuję pani — uśmiechnął się.

— Coś chciałam panu powiedzieć, ale... — Pani Garncarska była wyraźnie zażenowana.

— Słucham? Proszę, niech pani mówi.

— Bo widzi pan... Nam to już właściwie nie zależy, żeby złapać tego złodzieja. Samochód się odnalazł, więc nie mamy pretensji. Pewnie jakiś łobuziak chciał się przejechać. Nie warto go szukać. Szkoda fatygi panów. Nic nie zniszczył ani nie ukradł. Tyle że się przejechał. Nie takie znowu wielkie przestępstwo.

— Nawet małe przestępstwa należy karać — powiedział poważnie Pawelec. — Od rzemyczka do koniczka... jak to się mówi.

Pożegnał się z panią Garncarską, podziękował plutonowemu Wiśniewskiemu za pomoc i z kawałkiem obicia z zaślóconej Syrenki pojechał do Zakładu Kryminalistyki. Po krótkiej rozmowie z fachowcami z laboratorium, wrócił do komendy.

— Szefowi potrzebna jest maleńka porcyjka waleriany — powiedziała z łobuzerskim uśmiechem fertyczna blondyneczka.

Pawelec pogroził jej palcem.

— Oj, Irenko, Irenko, ty się kiedyś doigrasz. Nie wolno żartować ze starszych. Faktycznie szef stęsknił się za moim widokiem?

— Słowo honoru. Czeka niecierpliwie.

Humoru pułkownika Jagodzińskiego, nawet przy najlepszych chęciach, nie można było ozdobić przymiotnikiem „różowy”. Raczej jakieś brązy, szarości wpadające w czerń. Pośpiesznie spojrzął na sierżanta.

— Siadajcie.

Pawelec usiadł posłusznie, pełen najgorszych przeczuć.

Przez chwilę pułkownik milczał, przeglądając na biurku notatki. Wreszcie podniósł wzrok i spytał:

— No i co?

— Niby z czym? — odpowiedział pytaniem sierżant, zdając sobie sprawę z tego, że się naraża.

— Jak to z czym? — parsknął Jagodziński. — Nie pytam przecież o pogodę? Co ze śledztwem?

— Pracujemy, panie pułkowniku. Robimy, co możemy.

— Zdaje się, że niewiele możecie. Po tej pory nie mamy Maurycego Konorskiego.

— Szukamy go.

— Jak długo będziecie szukać?

— Facet gdzieś się inteligentnie zadekował...

— To wy go inteligentnie znajdźcie. Przecież się nie rozplynął.

— Raczej me.

— Za granicę także nie wyjechał.

— Mało prawdopodobne.

— No więc właśnie. Polska to nie taki znowu ogromny kraj, żeby się można długo ukrywać. Wszystkie komendy zawiadomione?

— Oczywiście. Komendy, posterunki, punkty graniczne, dworce, lotniska. Musiałyby się ucharakteryzować — co może i nie takie trudne — gorzej z lewym dowodem osobistym. To już wymaga specjalnych kontaktów. Wątpliwe, żeby takie miał. W czerwcu wyszedł z więzienia.

— Byliście już w więzieniu, w którym siedział?

— Jeszcze nie.

— No to na co czekacie? Tam możecie się o facecie wielu ciekawych rzeczy dowiedzieć. Nie jest wykluczone, że w celi nawiązał jakieś kontakty. Trzeba sprawdzić, z kim siedział i w ogóle. Przez te parę lat mieli czas go poznać.

— Wybieram się do naczelnika, panie pułkowniku, ale ciągle brak czasu. Sprawa się rozwija. Dużo roboty.

Jagodziński rozsiadł się wygodniej w fotelu i zapalił papierosa.

— Słuchajcie, Pawelec, znamy się przecież nie od dziś. Wiem, że macie głowę na karku. Mam do was zaufanie. Powiedzcie, ale tak zupełnie szczerze, co myślicie o tej sprawie?

— Co ja myślę? — Sierżant podrapał się za uchem. — Cholernie głupia sprawa. Założyliśmy zaraz na początku śledztwa, że mordercą jest Maurycy Konorski, ale prawdę mówiąc, żadnych dowodów przeciwko niemu nie mamy.

— Otóż to — podchwycił z ożywieniem Jagodziński. — Trafiliście w sedno sprawy. Nie mamy dowodów. Właściwie jedynym dowodem winy Konorskiego jest to, że zwiął. Ale jego ucieczka nie jest równoznaczna z zamordowaniem Zelberta. Założmy teoretycznie, że jutro zgłasza się do nas Maurycy Konorski, sam, i stanowczo zaprzecza zarzucanej mu zbrodni. Co wtedy? Jakie przedstawicie dowody jego winy?

Pawelec miał zafrasowaną minę.

— Faktycznie, panie pułkowniku, materiał dowodowy słaby, nawet bardzo słaby. Ale dlaczego uciekł? Człowiek niewinny nie powinien uciekać przed milicją. Niby mógł się przestraszyć, jak zobaczył trupa wujaszka i zwiął, bojąc się, że na niego padnie podejrzenie. Ale miał i pewne powody, żeby wujaszka w ciemność czymś ciężkim... Jeżeli go znajdziemy, to będzie proces poszlakowy, chyba że....

— Chyba że co?

— Chyba że razem z Jurkiem Makowieckim wykombinujemy jeszcze coś nowego. W tej chwili mamy trochę różnych poszlak. Trzeba to i owo sprawdzić. Mnie także kocą się w głowie takie rozmaite historyjki. Zobaczmy. Prosimy, panie pułkowniku, o trochę cierpliwości.

Rezultat badania laboratoryjnego skrawka tapicerki był zaskakujący: żelazo.

— Jest pan pewien, panie magistrze? — dopytywał się Pawelec.

— Nie mamy co do tego wątpliwości. Żelazo.

— Takie, jakie się podaje w zastrzykach?

— Właśnie takie.

— Na wzmocnienie?

— Na wzmocnienie.

Pawelec podziękował i pojechał do komendy. Tu zastał Makowieckiego, który siedział przy maszynie i wystukiwał raport dla pułkownika.

— Zostaw na chwilę to pisanie. Pogadamy.

— O czym?

— O żelazie.

— Znalazłeś narzędzie zbrodni? — zainteresował się Makowiecki.

— Diabła tam. Mówiłem ci, że na przednim siedzeniu tej ukradzonej przez Konorskiego Syrenki spostrzegłem małą ciemną plamkę. Przed chwilą byłem w Zakładzie Kryminalistyki. Powiedzieli mi, że to żelazo. Zastrzyk. Rozumiesz?

— Sam brałem takie zastrzyki. Wzmacniające.

— Czyżby Maurycy chciał się wzmocnić przed wykończeniem wujaszka? — mruknął sierżant i zamyślił się. — Dziwne, bardzo dziwne.

— A może ktoś przedtem poplamiał siedzenie w tej Syrence? — podsunął Makowiecki. — Chociaż... Znalazłeś przecież nawet kawałek ampulki... Kto, u diabła, robi sobie w wozie zastrzyki? Rozumiałbym jeszcze morfinę, ale żelazo...

— Otóż to. Żelazo. Trzeba chyba będzie pogadać z jakimś lekarzem. Chociaż co mi lekarz powie? Wiadomo, że to lek na wzmocnienie. Chyba że można stosować te zastrzyki w jakimś innym celu? Czekaj... czekaj... a gdyby. E... głupstwa mi chodzą po głowie. — Machnął ręką zniechęcony.

— Co chciałeś powiedzieć? — zainteresował się Ma-

kowiecki.

— Bzdury. Nie warto o tym gadać. A ty co załatwiłeś? Dałeś do wywołania tę rolkę?

— Oczywiście. Już mam odbitki. Chcesz zobaczyć? — I porucznik, nie czekając na odpowiedź, wyjął z szuflady biurka szarą kopertę. — Obejrzyj sobie.

— Fiuuu... — gwizdnął przeciągle Pawelec. — Wszystko zdjęcia tej małej, która tu u nas była. Z tego wynika, że mówiła prawdę. Coś ją łączyło z Maurycym.

— Nie ma wątpliwości. Musimy ją zawieźć do jego mieszkania. Możliwie jak najprędzej. A te telefony sprawdziłeś?

— Tak. Jeden należy do faceta, który prowadzi warsztat ślusarski na Czerniakowie, drugi do jakiejś babki mieszkającej w Aninie, nie wiem, czym się zajmuje.

— Trzeba to ustalić.

Numer telefonu, zanotowany w encyklopedii pod litera „W”, należał do pani Urszuli Węgrowskiej. Kiedyś, za młodych lat, próbowała szczęścia na deskach scenicznych, trochę tańczyła, trochę śpiewała, trochę flirtowała z reżyserami. W końcu jednak zdradziła Melpomenę dla zamożnego adwokata, który — przeprowadziwszy się na tamten świat — pozostawił jej sporo grosza i sympatyczną willę w Aninie. Pani Urszula, będąc kobietą samotną, nie potrzebowała tak dużego mieszkania. Wynajęła więc parter, a na pierwszym piętrze urządziła się bardzo wygodnie. Posiadała szczupłe grono przyjaciół, pamiętających „dawne dobre czasy”. Przyjeżdżali do niej na świeże powietrze i na doskonałą kawę z kruchymi ciasteczkami.

Zdziwiła ją niespodziewana wizyta przedstawicieli władzy. Poza drobnymi transakcjami walutowymi nie miała niczego poważniejszego na sumieniu. Makowiecki, przystojny, młody człowiek spodobał się pani Urszulce. Nie tracąc czasu, zaczęła go kokietować. Postanowiła odegrać rolę gościnniej pani domu.

— Proszę, bardzo proszę. Niechżeż panowie się rozgoszczą. Proszę siadać. Może na tym fotelu będzie panu wygodniej, pa-

nie poruczniku — uśmiechnęła się uwodzicielsko do Makowieckiego. — Cieszę się, że mnie panowie odwiedzili. Zupełnie nie rozumiem tych ludzi, którzy tak jakoś niechętnie ustosunkowują się do funkcjonariuszy milicji. Wszyscy przecież powinni was szanować, obdarzać uczuciem wdzięczności. Zdaję sobie doskonale sprawę z tego, jaka to ciężka i ofiarna praca. Dzień i noc trzeba czuwać, być na posterunku — jak się to mówi — w pogotowiu, a przecież nieraz grozi i poważne niebezpieczeństwo... Walka z przestępcami, z bandytami...

Mówiła tak jeszcze dłuższą chwilę, krygując się i uśmiechając. Wreszcie Pawelec postanowił przerwać ten afektowany monolog.

— Przyszliśmy do pani w pewnej konkretnej sprawie.

— Słucham? Jeżeli tylko mogę panom w czymś pomóc, zrobię to z prawdziwą przyjemnością.

— Bardzo pani miła. Dziękujemy. Otóż... chcieliśmy zapytać, czy pani zna niejakiego Maurycego Konorskiego?

— Konorski... Konorski... Tak, tak, to ten pan, który wynajął ode mnie garaż.

— Garaż? Jaki garaż? — zainteresował się żywo Pawelec.

— No... Mój garaż. W Alejach Niepodległości.

— Mieszka pani w Aninie, a garaż ma pani w Alejach Niepodległości? Nie bardzo rozumiem. Może zechce nam pani to jakoś dokładniej wytłumaczyć — wtrącił się do rozmowy Makowiecki.

— Ależ bardzo chętnie, bardzo chętnie, panie poruczniku — poklepała go poufale po dłoni. — Otóż to było tak: Jak jeszcze żył mój świętej pamięci mąż, mieliśmy mieszkanie w Alejach Niepodległości, a do Anina przyjeżdżaliśmy tylko na sobotę i niedzielę albo na cały miesiąc w okresie letnim. Potem mój mąż... — dotknęła chusteczką zupełnie suchych oczu — zmarł, a ja przeniosłam się tutaj, do tej willi. Lubię ciszę, świeże powietrze, kwiaty...

— I odstąpiła pani komuś mieszkanie razem z garażem — podpowiedział Pawelec.

— Tak. To znaczy... Niezupełnie. Mieszkanie sprzedałam,

bo to było spółdzielcze, a garaż sobie zostawiłam.

— Ma pani samochód?

— Nie, samochodu nie mam. Także sprzedałam. Umiem nawet prowadzić. Mam prawo jazdy. Ale wolę nie ryzykować. Dzisiaj wszyscy tak po wariacku jeżdżą...

— To po co pani garaż? — spytał Makowiecki.

Trochę się zmieszala.

— Widzi pan, panie poruczniku... Życie teraz bardzo drogo kosztuje, a... cóż... biedna wdowa... — Znowu podniosła chusteczkę do oczu. — Nielatwo sobie poradzić. To wszystko jest bardzo skomplikowane, panie poruczniku, bardzo.

— Mówiąc po prostu wynajmuje pani ten garaż — pomógł jej Pawelec.

— O, właśnie. — Odetchnęła z widoczną ulgą.

— I wynajęła pani garaż Maurycemu Konorskiemu?

— Tak. Ale bardzo niedawno.

— A przedtem?

— Przedtem wynajmował pan Ostrowiecki. Zmarł, biedaczysko, parę miesięcy temu.

— Kiedy wynajęła pani garaż panu Konorskiemu?

— Mam to gdzieś zapisane, ale musiałabym poszukać. Zaraz...

Pawelec powstrzymał ją ruchem ręki.

— Niech się pani nie trudzi. Proszę nam powiedzieć w przybliżeniu, mniej więcej.

— Mniej więcej to chyba w połowie sierpnia.

— Czy przedtem znała pani pana Konorskiego?

— Nie, skądże... Poznałam go, kiedy przyszedł wynajmować garaż.

— A skąd dowiedział się, że pani ma garaż do wynajęcia?

— Dałam ogłoszenie do „Życia Warszawy”. Zgłosił się pan Konorski. Wynajęłam. Czy źle zrobiłam, proszę pana? — zaniepokoiła się.

Nie otrzymała odpowiedzi. Pawelec spytał:

— Jak wygląda pan Konorski?

— Wysoki, postawny mężczyzna, nosi brodę. Nie wydawał się może zbyt sympatyczny. Ma taki niemiły, schrypnięty głos.

Ale cóż to miało za znaczenie?... W interesach okazał się solidny.

— Regularnie płacił pani za garaż?

— O tak. Zapłacił z góry za parę miesięcy, do Nowego Roku.

— Często go pani widywała?

— Nie. A po co? — zdziwiła się. — Dałam mu klucze. Spisaliśmy taką małą umowę. Od tamtej pory nie widziałam go. Nie było potrzeby. Powiedział, że w administracji sam sobie wszystko załatwi. Ale przecież nie zrobiłam chyba niczego złego? — Znowu się zaniepokoiła.

Pawelec wzruszył ramionami.

— Chyba nie. Nie wiem, jak to jest z tym wynajmowaniem garaży? Zresztą to nie nasza sprawa. Chodzi nam o pana Maurycego Konorskiego. Co pani wie o tym człowieku?

— Absolutnie nic. — Uśmiech znikł z twarzy pani Urszuli. Zaczynała być nie na żarty przerażona. — Nic

o nim nie wiem. Przyszedł z ogłoszenia, przedstawił się, pokazał swój dowód osobisty, zapłacił... Nie miałam żadnych podstaw... Ale co się stało, proszę panów? Czyżby pan Konorski...

— Czy pani wie, gdzie mieszka pan Konorski? — przerwał jej Makowiecki.

— Zdaje mi się, że gdzieś na Hożej. Dokładnego adresu nie pamiętam.

— Czy pani kiedyś była w mieszkaniu pana Konorskiego?

— No wie pan...! — oburzyła się. — Co pan sobie wyobraża? W jakim celu miałabym go odwiedzać w jego kawalerce?

— A skąd pani wie, że pan Konorski ma kawalerkę?

— Skąd? Musiał mi powiedzieć. Tak, tak, w rozmowie powiedział mi, że nie jest żonaty i że mieszka w kawalerce.

— A jakiej marki ma wóz, który trzyma w tym pani garażu?

— Tego nie wiem. Nie pytałam o to.

— Niech sobie pani wyobrazi, że pan Maurycy Konorski w ogóle nie ma samochodu.

— O...! W takim razie po co wynajął garaż?

Zamyśleni wracali do komendy.

— W takim razie po co wynajął garaż? — powtórzył Mako-

wiecki słowa pani Węgrowskiej.

Pawelec wzruszył ramionami.

— Trudno zgadnąć. Różne rzeczy można robić w garażu. Można drukować fałszywe dolary, można, jak Mazurkiewicz, zakopywać trupy pod podłogą, można pędzić bimber, można gwałcić młode dziewczęta itd. itd. Zastosowanie garażu bywa wszechstronne. Można w nim także trzymać samochód.

— Tyle że Maurycy Konorski nie ma samochodu...

— Pokaż mi swój garaż, a powiem ci, kim jesteś — powiedział sentencjonalnie Pawelec. — Będziemy musieli obejrzeć garaż pani Węgrowskiej, w którym nie trzyma się samochodu.

W komendzie czekały na nich obydwie siostry.

— O, cieszę się, że panie widzę — powiedział serdecznie Makowiecki, ściskając dziewczętom dłonie. — To bardzo miło, że panie przyszły.

— Otrzymałam wezwanie — powiedziała z posępną miną Teresa. — Nie poszłam na wykłady.

— A pani? — Makowiecki zwrócił się do Joanny.

— Nie chciałam, żeby siostra sama tu przyjechała. Więc choć miałam być dziś w telewizji...

— Sądzę, że siostra mogła do nas przyjechać bez opieki. W komendzie milicji raczej nic jej nie grozi — powiedział Pawelec. — Ale skoro już się widzimy, chciałbym spytać, czy pani wiedziała o tym, że panna Teresa... przyjaźni się z panem Maurycem Konorskim?

— Nie — padła sucha, niechętna odpowiedź. — Jakimi jeszcze wyjaśnieniami możemy panom służyć?

Pawelec uśmiechnął się.

— Do pani nie mamy właściwie żadnego interesu, a pannę Teresę chcieliśmy prosić, żeby zechciała pojechać z nami do mieszkania Maurycego Konorskiego. Jeżeli pani ma ochotę, może nam pani towarzyszyć.

Joanna skinęła głową.

Pojechali.

Pięczęcie na drzwiach kawalerki były nie naruszone. Pokój znaleźli w takim stanie, w jakim go pozostawili po przeszuka-

niu. W kuchni i łazience także żadnych zmian.

Joanna spojrzała na milicjantów.

— Więc?

— Więc — powtórzył Makowiecki — chodzi nam o taką sprawę. Chcielibyśmy prosić pannę Teresę, żeby uważnie rozejrzała się po całym mieszkaniu i żeby nam powiedziała, czy znajduje się tutaj coś, co nie jest własnością Maurycego Konorskiego albo co w jakiś sposób nie pasuje do jego osoby. Czy pani dobrze rozumie, o co nam chodzi?

Dziewczyna skinęła głową.

— Sądzę, że tak.

— Doskonale. W takim razie zaczynamy.

Teresa rozpoczęła swoje poszukiwania od regału. Po chwili wzięła z półki niewielką książeczkę z barwną okładką.

— Maurycy nie zna angielskiego — powiedziała. — Nie wiem, skąd tutaj mógł się wziąć ten kryminał Agaty Christie.

— Więc pani jest zupełnie pewna, że Maurycy Konorski nie umie po angielsku? — spytał Pawelec.

— Najzupełniej. Maurycy zna niemiecki i rosyjski. Wiem na pewno.

— Hm... No cóż... Szukajmy dalej.

Joanna niecierpliwie spojrzała na zegarek.

— Pośpiesz się, Tereniu. Za pół godziny muszę być w telewizji.

Dziewczyna w milczeniu skinęła głową i ze zdwojona energią przystąpiła do akcji.

Po upływie dwudziestu minut odgarnęła spadające jej na oczy włosy i spojrzała na sierżanta:

— Nic — powiedziała lakonicznie. — Tylko te korki.

— Jakie korki?

— No... zwyczajne, do butów... Tam w szafie. Trzy pary.

— Dlaczego panią to zastanowiło? — spytał Makowiecki.

— Ponieważ Maurycy nigdy nie używał korków do butów.

— Skąd pani to wie?

— Kiedyś rozmawialiśmy na ten temat. Maurycy nosił specjalną wkładkę ortopedyczną. Pamiętam, radziłam mu, żeby sobie kupił korki do butów. Powiedział wtedy, że nie może

używać korków, bo to jeszcze gorzej wpływa, na jego nogi.

Pawelec obejrzał korki znalezione w szafie.

— Nowe — zauważył. — Zupełnie nowe. Ani razu nie używane. Czy nie znalazła niczego więcej pani, co mogłoby nasuwać jakieś wątpliwości?

— Nie.

Joanna znowu spojrzała na zegarek.

— Możemy już jechać, panie poruczniku?

— Tak. Oczywiście. Dziękujemy paniom.

Zostali sami.

— Korki — mruknął sierżant. — Korki i angielska książka. Coś tu nie gra.

— Wypada stwierdzić — westchnął Makowiecki — że w całej sprawie od początku nic nie gra, absolutnie nic.

Pawelec pokiwał głową.

— Widzisz, Jureczku, to jest tak: jeżeli chcemy, żeby jakiś instrument grał niezbyt fałszywie, to co trzeba zrobić?

— Nastroić.

— O, właśnie. Trzeba go nastroić. My w tej chwili mamy w rękach bardzo dużo strun, ale nie umiemy ich nastroić i w tym cały kłopot. Wydaje mi się jednakże, że pewne fakty możemy już-sobie powoli kojarzyć.

— Co masz na myśli?

— Daty. Zastanówmy się chwilę. Mniej więcej w połowie sierpnia Maurycy Konorski przestał czytać gazety. W tym samym czasie zrezygnował z usług sprzątającej mu dozorczyni. Również w tym czasie wynajął sobie garaż i przestał widywać się z Teresą.

— Do licha! — wykrzyknął Makowiecki. — Czy przypuszczasz, że...?

Sierżant powstrzymał go ruchem ręki.

— Nie galopujmy, nie galopujmy. — Tisze jedziesz, dalsze budiesz. Pomalutku, aż do skutku. Co nagle, to po diable. Więcej przysłów nie wymienię — starczy.

Makowiecki odetchnął głęboko.

— Zaczynam wierzyć, że uda nam się nastroić ten instrument. Ty masz głowę na karku. Nie da się zaprzeczyć. Two-

je wywody podziały na mnie dziwnie kojąco.

— Wiadomo... Waleriana — uśmiechnął się Pawelec i głośniej niż zwykle pociągnął nosem.

Numer telefonu zanotowany w encyklopedii pod literą „B” należał do Wacława Burczaka, który na dalekim Czerniakowie prowadził skromny warsztat mechaniczno- ślusarski.

Wacio-Bomba, jak go nazywali przyjaciele i bardziej spoufalerzeni klienci, odznaczają się znakomitym apetytem, o czym bez trudu można się było przekonać, patrząc na jego pucolowatą twarz, ozdobioną paroma podbródkami, oraz na potężny brzuch, po którym lubił się poklepywać w chwilach wolnych od innych zajęć.

Odwiedziny milicjantów na ogół w każdym, nawet najbardziej lojalnym obywatelu, wywołują uczucie pewnego, zupełnie irracjonalnego niepokoju. Co dopiero pan Wacio- Bomba... Przybladł trochę, a jego otłuszczone serce poczęło intensywniej pracować. Nie miał pojęcia, o co może chodzić przedstawicielom władzy i błyskawicznie przeprowadził pobieżny rachunek sumienia, który najwyraźniej nie wypadł zadowolająco, ponieważ do bicia serca dołączyły się jeszcze niemile dreszczyki.

— Pan nazywa się Wacław Burczak? — spytał urzędowym tonem Makowiecki.

— Tak jest. Ale jeżeli chodzi o tę blachę, to ja absolutnie nie mam z tym nic wspólnego.

— Nie chodzi o blachę — wtrącił uspokajająco sierżant Pawelec.

Wacio-Bomba odetchnął z prawdziwą ulgą. Mogło się здаwać, że w jednej chwili stracił dwadzieścia kilo nadwagi.

— Proszę, panowie usiądą. — Przysunął pociemniałą, drewnianą ławę. — A może przejdziemy do mieszkania? — W pytaniu tym nie wyczuwało się nuty zbytniego entuzjizmu.

Usiedli. Milicjanci patrzyli na ślusarza, a ślusarz na milicjantów. Milczeli. Pan Wacio nie chciał odzywać się pierwszy, bo nie wiedział, o co chodzi i wołał się po raz drugi nie wry-

wać, a Makowiecki i Pawelec — szczerze mówiąc też nie bardzo wiedzieli, o co im chodzi. Stwierdzili, że ślusarz Waław Burczak posiada telefon i że ten numer telefonu zapisał Maurycy Konorski. Co z tego?

Wreszcie Pawelec spytał:

— Czy zna pan, panie Burczak, Maurycego Konorskiego?

Wacio energicznie potrząsnął głową. Zaczynał się uspokajać. Nie o niego chodziło.

— Nie znam pana Konorskiego.

— Może był kiedyś pańskim klientem?

— Ja mam bardzo dobrą pamięć, panie sierżancie. Pamiętam wszystkich moich klientów. Chyba że ktoś czasem tak przejazdem. No, wie pan... Czasami się zdarza, że ktoś prosi, żeby mu na poczekaniu podszukować jakąś drobnostkę. Nie musi podawać nazwiska.

— Oczywiście. Więc nie zna pan pana Konorskiego?

— Takiego nazwiska nie słyszałem. Może i był tu kiedyś u mnie, ale...

— Wysoki, barczysty, nosi brodę, wąsy...

Wacio-Bomba roześmiał się. Wracła mu wrodzona pogoda ducha.

— Z brodami i wąsami to, proszę panów, od cholery do mnie przychodzi. Czasem taki facet w porządnym wozie siedzi, a wygląda jak jaki zwierz. Tylko, go do klatki i do ZOO. A najwięcej młodzi. Fiola dostali z tymi kudłami. Kiedyś tu jeden taki przyszedł, to żem się przestraszył. Brodę miał taką i kudły na łbie, że ledwie mu oczy było widać.

— To pan i auta reperuje? — spytał Makowiecki.

— Czasami jakąś tam drobnostkę... — Znowu się trochę zaniepokoił. — Faktycznie to ja mam zakład ślusarski, ale na samochodach także samo trochę się znam. Mój ojciec był szoferem u jednego hrabiego. Przyuczyłem się przy ojcu. Ale dawniej to całkiem inne wozy były.

— Pan żonaty?

— A jakże. Żonaty, dzieciaty, w zeszłym roku już dziadkiem zostałem.

Makowiecki spojrział na sierżanta. Pawelec zrozumiał to

spojrzenie. Konorski mieszka na Hożej. Samochodu nie ma. W jakim celu zapisał sobie numer telefonu tego ślusarza? Gdyby chodziło o jakieś głupstwo, nie musiałby jechać aż na Czerniaków. A może Bureczak kłamie? Może doskonale zna Konorskiego? Może łączą ich jakieś wspólne interesy?

Wacio-Bomba przyglądał się przedstawicielom władzy, czekając na dalsze pytania. Jego umysł pracował intensywnie. Na wszelki wypadek przygotowywał sobie rozmaite odpowiedzi. Ciągłe jeszcze nie był pewien, o co naprawdę chodzi milicjantom. Posiadał duże doświadczenie życiowe i wiedział, że można rozmawiać o jakimś tam Konorskim, a mieć na myśli zupełnie kogo innego albo zupełnie co innego. Uśmiechał się z jowialną serdecznością, pragnąc dać do zrozumienia, że ma czyste sumienie i że z przyjemnością sobie gawędzi.

Makowiecki kręcił się niespokojnie i miał ochotę skończyć już tę rozmowę, która nie prowadziła do niczego, Pawelec jednak nie tak łatwo rezygnował.

— To pan ma liczną rodzinę — powiedział.

— Ano faktycznie, dosyć liczną. Żona, trzy córki, dwóch synów.

— I wszyscy mieszkają z panem?

— E, nie. Dzieci odchowane. Synowie żonaci. Jeden już się doczekał dziecka. Córeczka. Bardzo ładna dziewczynka. Mówią, że kubek w kubek do mnie podobna.

— A córki?

— Jedną wydałem za mąż w tym roku, a najmłodsza jeszcze w domu. Uczy się ale niesporo jej ta nauka idzie. Fertyczna dziewczucha. Nie martwię się o nią. Znajdzie sobie jakiegoś chłopaka.

— To was tylko troje w domu?

— Czwooro. Jest jeszcze tatuś żony. Wesoły staruszek. Czasem to taki ubaw z niego mamy, że boki można zrywać.

— A bo co?

— Bo lubi takie różne przebierańce, tak dla hecy. A najczęściej to na Boże Narodzenie. Jak się przebierze za świętego Mikołaja, to powiadam panom — istny cyrk. W teatrze kiedyś pracował, to dlatego ma taką smykałkę.

— W teatrze? — zainteresował się Pawelec.

—No tak, ále to było dawno, jeszcze przed wojną. Teraz dziadzio będzie miał z osiemdziesiąt cztery lata albo i lepiej. Ale jeszcze żwawy staruszek. I zatańczy, i zaśpiewa, i wypić jeszcze może. Niedużo oczywiście, ale setkę to sobie pod śledzia trzaśnie. Dawniejsi ludzie mieli wigor, nie to, co dzisiaj.

— Teść pana był aktorem?

—E, nie... Aktorem nie był. Może kiedyś jako młody chłopak próbował, ale pewnie mu nie szło, bo ma wadę wymowy, sepleni. Potem to tylko przygotowywał aktorów, malował im oczy, brwi, przyklejał wąsy, brody. Jakoś to się taki facet nazywa, ale zapomniałem, jak...

— Charakteryzator — odpowiedział Makowiecki.

— O, zdaje się, że właśnie tak. Charakteryzator.

— Czy moglibyśmy odwiedzić pańskiego teścia? — spytał Pawelec.

— Ma się rozumieć. — Twarz Wacia-Bomby rozjaśniła się pogodnym uśmiechem. — Dziadek bardzo lubi gości. Tylko trzeba do niego głośno mówić, bo trochę przygłuchy.

Zastali staruszka przy pracy. Przygotowywał brody, wąsy i peruki dla świętych Mikołajów. Był tak zaafierowany swą działalnością, że nie zwrócił nawet uwagi na wchodzących. Pogwizdywał wesoło i przytupywał nogą.

Wacio trącił go w ramię.

— Dziadku. Dziadku!

— A czego tam? — spytał stary nie odwracając się od roboty.

— Przyszli panowie z milicji. Chcą z dziadkiem pogadać.

— Czego chcą? Ja nic nie ukradłem.

— Chcą porozmawiać o teatrze.

— O teatrze? Milicjanci?

— Podobno pracował pan kiedyś w teatrze! — krzyknął Pawelec.

— Nie tak głośno — obruszył się teść Wacia. — Nie jestem głuchy. — Zdjął okulary i zmrużonymi oczami przyglądał się przybyłym. W odróżnieniu od zięcia był bardzo chudy, a jego podłużna, wyschnięta twarz przypominała średniowieczne malarstwo. — Dlaczego panowie chcą ze mną rozmawiać o teatrze? — spytał już łagodniejszym tonem.

— Bo nas to interesuje — powiedział Pawelec. Przyniósł sobie krzesło i usiadł. — Zupełnie przypadkowo dowiedzieliśmy się od pańskiego zięcia, że kiedyś pan pracował w teatrze jako charakteryzator, a że właśnie organizujemy kółko dramatyczne przy naszej komendzie i potrzebujemy kogoś takiego...

— Dawne czasy, bardzo dawne czasy... — Stary westchnął i zamyślił się, jakby wydobywając z pamięci obrazy przeszłości. — Ja już dzisiaj, panie, nie do pracy. Sił brak. Czasem jeszcze dla dzieci na gwiazdkę b'odę dla Mikołaja, ale żebym do roboty poszedł, to nie... Za późno.

— Nie myśleliśmy proponować panu etatu u nas — uśmiechnął się Pawelec. — Potrzebować będziemy od czasu do czasu do jakiegoś przedstawienia brody czy wąsów. Może mógłby pan nam zrobić?

— A zapłacicie? — uśmiechnął się stary. — Bo to teraz materiał trudno dostać i drogi. Wszystko dzisiaj drogie.

— Oczywiście, że zapłacimy. Mamy na to specjalne fundusze.

— Jeżeli tak, to dobrze. Tylko żeby nie było za dużo tej roboty, bo nie dam rady. A zaprosicie mnie kiedy na to wasze przedstawienie?

— Ma się rozumieć. Przyślemy po pana wóz.

— Nie trzeba. Ja i tramwajem... Na co zaraz wóz? Wozy są potrzebne dla ministrów. Ja tam mogę tramwajem albo autobusem. Jeszcze dam radę wsiąść.

— To pan pracował w teatrze jako charakteryzator? — włączył się Makowiecki.

Stary uśmiechnął się.

— Czego ja w teatrze nie robiłem? I ciągnąłem do góry kurtynę, i przygotowywałem peruki, i charakteryzowałem aktorów... A kiedyś, jak sufler zachorował, to nawet za suflera byłem. Teraz wszystko inaczej. Dużo ludzi, jak słyszałem, pracuje w teatrze. Tych pomocników więcej niż aktorów. Ano cóż... Teatry teraz państwowe. Państwo płaci. Dawniej to musieliśmy na siebie zarobić i sztukę trzeba było wystawić taką, żeby na nią ludzie chodzili. Wszystko się zmienia, proszę pana, wszystko.

Porozmawiali jeszcze chwilę ze starym charaktery za torem i poszli. Do samochodu odprowadził ich bardzo zdziwiony Wacjo-Bomba.

Kiedy dojeżdżali do komendy, Makowiecki spytał:

— Co właściwie masz zamiar teraz robić?

— Mam zamiar zorganizować teatr amatorski — odparł sierżant.

ROZDZIAŁ VII

Pani Brzezicka niepokoiła się o syna. Od dłuższego czasu Robert zdradzał objawy niezwykłego zdenerwowania. Miewał stany depresji, popadał w melancholię, to znowu stawał się agresywny i bardzo niemiły dla otoczenia. Właściwie prawie codziennie wisiała w powietrzu awantura, a jeżeli nie dochodziło w rodzinie do ostrych starć, zawdzięczać to można było wyłącznie dużej cierpliwości i ogromnemu taktowi zarówno pani Marii, jak i jej męża.

— No widzisz, co się z nim dzieje — mówiła. — Zrób coś! Może byś go zbadał. W końcu jesteś przecież lekarzem.

Brzezicki wzruszał ramionami.

— Wiesz doskonale, że Robert nie ma do mnie zaufania ani jako do ojca, ani jako do lekarza.

— To bardzo źle. Może to twoja wina?

— Może. Robiłem, co mogłem, żeby z nim utrzymać jakiś kontakt, ale... Trudno jest się dogadać z dzisiejszą młodzieżą.

Pani Maria nie znajdowała argumentów. I jej także niełatwo przychodziło porozumieć się z Robertem. Był skryty, nieufny, a często nawet nieuprzejmy albo wręcz impertynencki. To zaczęło się zaraz po maturze. Może mu przejdzie? Może z tego wyrośnie? — myślała. Ale mu nie przechodziło i jakoś nie mógł z tego wyrosnąć. A już to, co się działo ostatnio, było zupełnie nie do zniesienia.

— Słuchaj, Edziu. Może on się jakoś niefortunnie zakochał?

I na tę hipotezę Brzezicki wzruszył ramionami.

— Może. Ale to jeszcze nie powód, żeby się zachowywać jak skończony cham.

— Pomów z nim jak mężczyzna z mężczyzną.

— Do takiej rozmowy potrzeba dwóch mężczyzn, a to jest gówniarz, nie mężczyzna. We łbie mu się przewróciło. Ot, co. Artysta, psiakrew. Lepi te jakieś swoje strachy na wróble i wydaje mu się, że świat zbawia. Najlepiej byłoby, żeby się od nas wyprowadził. Mielibyśmy przynajmniej święty spokój.

Przy tych słowach pani Maria zawsze załamywała ręce:

— Bój się Boga, Edziu, co ty mówisz! Dopiero by się chłopiec zmarnował...

— A to niech się marnuje — zacierzewiał się coraz bardziej Brzezicki. — Nie takie znowu dziecko. Chłop jak byk, dwadzieścia osiem lat. Ja w jego wieku...

— Wiem, wiem — przerwała mu pośpiesznie żona, bojąc się, że po raz sto dwudziesty piąty usłyszy, czego to dokazywał Edeczek w dwudziestym ósmym roku życia. — Widzisz, mój drogi, dzisiejsza młodzież jest zupełnie inna. Nam jest trudno ją zrozumieć.

— Darmozjady, walkonie, długowłose błazny! — krzyczał Edeczek. — Ma, cymbał jeden, co jeść, gdzie mieszkać, w co się ubrać i jeszcze grymasy. Niech idzie, do diabła, niech spróbuje zapracować na życie, niech zobaczy, co to walka o byt. Za dobrze się powodzi tej „dzisiejszej młodzieży”. Ot, co! Sami nie wiedzą, czego chcą. A wszystkiemu winni rodzice, że tak rozpuszczają dzieci. Dyscypliny nie ma ani w domu, ani w szkole. Za moich czasów...

— Dobrze, już dobrze — łagodziła pani Maria. — Nie denerwuj się tak. Może ci zaszkodzić. Lekarz zabronił ci się denerwować.

— Jaki lekarz? Jaki lekarz? Ja sam jestem lekarzem.

— Mam na myśli doktora Kanarkiewicza.

— Kanarkiewicza? Ha, ha, ha! Ten idiota? Ten konował?

Pani Maria wiedziała doskonale, że jej Edeczek także nie jest chlubą polskiej medycyny, ale z tego rodzaju refleksjami nigdy się nie wrywała. Brzezicki został lekarzem właściwie tylko dlatego, żeby podtrzymać rodzinną tradycję. Nie lubił medycyny i w ogóle nauki przyrodnicze nigdy go nie pasjonowały, ale dziadek był chirurgiem, ojciec ginekologiem, więc on... Ot, tak... siłą atawistycznego rozpędu. Jego prawdziwą pasją była gra na fortepianie. Z brawurowym rozmachem wykonywał utwory Liszta, Chopina, Beethowena. Zdarzało się, że podczas wizyty u chorego, który miał nieszczęście posiadać fortepian lub pianino, doktor siadał do instrumentu i grał. Potem zapisywał aspirynę i coś na przeczyszczenie, twierdząc, że muzyka jest znakomitą terapią i że to jedyny środek przeciwko grypie.

Mówiono też o nim powszechnie, że jest najlepszym lekarzem wśród pianistów i najlepszym pianistą wśród lekarzy.

Rozmowy na temat Roberta odbywały się teraz parę razy na tydzień i praktycznie nie przynosiły żadnych rezultatów. Brzezicki w obecności żony był energiczny, agresywny, bezwzględny, natomiast kiedy spotykał się z synem, unikał drażliwych tematów i albo nic nie mówił, albo zamieniał z Robertem kilka obojętnych zdań, wypowiedzianych tonem łagodnym i ugodowym.

Pani Maria była już tym wszystkim bardzo zmęczona. Zdawała sobie doskonale sprawę, że z jej jedynakiem dzieje się coś niedobrego, ale nie wiedziała, jak temu zaradzić. Od pewnego czasu doszła do smutnego wniosku, że na pomoc męża w tej sprawie liczyć nie może. Została więc zdana wyłącznie na własne siły. Co robić? Jak ratować Roberta?

A Robert rzeczywiście staczał się na dno jakiejś beznadziejnej abnegacji. Wydawało się, że ten młody, silny chłopak stracił nagle ochotę do życia. Prawie nic nie jadł, wychudł, zmizerniał, z nikim się nie widywał, rzadko wychodził z domu, całymi dniami przesiadując w jakimś ponurym odrętwieniu. Dawno nie strzyżone włosy i broda nadawały mu wygląd człowieka jaskiniowego. Nie mył się, chodził w wymiętej koszuli, a jego spodnie i marynarka robiły takie wrażenie, jakby ich właściciel sypiał w ubraniu. Do swojej pracowni rzeźbiarskiej od dawna już nie zaglądał.

Wreszcie pani Maria nie wytrzymała i postanowiła stanowczo rozmówić się z synem. Wybrała na tę rozmowę moment, kiedy ani doktora Brzezickiego, ani gosposi nie było w domu.

Energicznym krokiem weszła do pokoju Roberta. Siedział pod ścianą na podłodze i tępy wzrokiem patrzył w sufit. Nie zareagował na dźwięk otwieranych drzwi.

Pani Maria uklękła przy nim, chwyciła go za ramiona i potrząsnęła z całej siły.

— Robert! Robert!

— Niech mi mama da spokój. Proszę...

— Nie dam ci spokoju! — krzyknęła. — Rozumiesz? Nie dam! Musisz mi powiedzieć, o co chodzi, co się z tobą dzieje? Jeżeli jesteś chory, każę cię leczyć. Umieszczę cię w szpitalu, w zakładzie, w sanatorium. Nie pozwolę na to, żebyś tak tutaj siedział pod tą ścianą. Nie pozwolę! To się musi skończyć! Słyszysz?! To się musi skończyć!

Zwrócił ku niej twarz wychudzoną, bladą. W tej twarzy, okolonej gęstą, zmierzwioną brodą było coś z wyrazu małego, pokrzywdzonego dziecka.

— Mamo!

Objęła go ramionami i przytuliła.

— Robert... Synku kochany... Dziecko... Co ci jest? Powiedz... Błagam cię, powiedz...

Wybuchnął gwałtownym, spazmatycznym płaczem.

— Nie mogę, już dłużej nie mogę... Mamo!!

— Ale co się dzieje? O co chodzi? Co ci jest? Czego nie możesz?

— Niech się to już raz skończy... Niech mnie zamkną... Niech mnie skazą na śmierć... — mówił przez łzy.

— Jezus Maria! — mocniej przycisnęła głowę syna do piersi. — Co ty mówisz? Robert! Co się stało? Coś ty zrobił? Coś ty zrobił?

— Zabiłem.

— Kłamiesz! To nieprawda! Powiedz, że to nieprawda! Robert!

— Zabiłem.

W tej chwili zaterkotał dzwonek w przedpokoju.

Pani Maria poderwała się.

— Ktoś dzwoni. Słyszysz? Ktoś dzwoni.

— Po mnie przyszli. To po mnie przyszli, mamo!

— Co robić? Co robić?

— Otwórz, mamo.

Pani Maria zawahała się.

Znowu dzwonek. Tym razem bardziej energiczny.

— Otwórz, mamo, to nic nie da, otwórz!

Wolnym, wlokącym się krokiem poszła do przedpokoju. Otworzyła.

W drzwiach stało dwóch mężczyzn.

— Czy to mieszkanie państwa Brzezickich? — spytał wyższy Skinęła głową.

— Jesteśmy z komendy Milicji Obywatelskiej — pokazał legitymację. — Chcielibyśmy porozmawiać z panem | Robertem Brzezickim.

— Syn... — z trudem przełknęła ślinę — syna nie ma... nie ma... Bo... bo, proszę panów... Mój syn... Mój syn jest rzeźbiarzem, jest rzeźbiarzem... i... i nie ma...

Nie zwracając uwagi na jej urywane słowa, weszli do przedpokoju.

— Gdzie jest pokój pani syna?

W milczeniu wskazała wyciągniętą ręką.

Weszli. Robert siedział w tym samym miejscu, w którym zostawiła go matka. Ten zapłakany brodacz robił zarazem groteskowe i tragiczne wrażenie.

— Panowie są z milicji?

— Tak.

— Dobrze, żeście przyszli, bardzo dobrze. Nareszcie to wszystko się skończy.

— Dzień dobry — powiedział obojętnie Pawelec, nie zwracając najmniejszej uwagi na wygląd i stan psychiczny młodego człowieka. — Czy pan nazywa się Robert Brzezicki?

— Tak. Możecie mnie zakuć w kajdany! — teatralnym gestem wyciągnął przed siebie obie ręce.

— Dlaczego pan siedzi na podłodze? — spytał spokojnie Makowiecki.

— Wszystko mi jedno.

— Jeżeli panu wszystko jedno, to wygodniej usiąść sobie na fotelu. Nie sądzi pan?

— Dlaczego nie zakładacie mi kajdanek? — dopominał się rzeźbiarz.

— Ponieważ nie mamy po temu żadnego powodu.

— Jestem mordercą.

— O...? — zdziwił się pogodnie Pawelec. — Czy rzeczywiście kogoś pan zamordował?

— Zamordowałem Joachima Zelberta. — Słowa te zostały

wypowiedziane nieomal triumfalnie. — Chyba teraz założycie mi kajdanki?

Pawelec spojrział na Makowieckiego, a Makowiecki na Pawelca.

— Myślę, że pojedziemy do komendy — powiedział porucznik. — Tam swobodniej sobie porozmawiamy.

— A kajdanki?

— Jeżeli panu tak na tym zależy, to założymy w komendzie. Nie mamy ze sobą.

Za ich plecami rozległo się tłumione łkanie. Odwrócili się. Pawelec dotknął ramienia płaczącej kobiety.

— Niech pani tak nie rozpacza.

— Mój syn... Mój syn... Ja nie wierzę... On tego nie zrobił... Ja nie wierzę.

— Wszystko sobie wyjaśnimy spokojnie, bez nerwów. Zobaczymy... zbadamy. Nie warto się tak przejmować.

— Proszę panów... Ja wszystko... ja wszystko... To moje jedyne dziecko.

Pawelec uśmiechnął się dobrotliwie. Ten jego uśmiech zawsze działał kojąco. I tym razem nie zawiódł. Pani Maria przestała płakać.

— Czy pan sądzi...? Czy pan przypuszcza, że to jakaś pomyłka?

— Możliwe. Wydaje mi się, że pani syn jest bardzo wyczerpany nerwowo. Proszę być dobrej myśli.

Pojechali.

W samochodzie Robert popadł w stan kompletnej apatii. Mogło się zdawać, że zupełnie nie reaguje na to, co się wokół niego dzieje. Nie odezwał się ani słowem, nie patrzył na swoich towarzyszy.

W komendzie Pawelec kazał podać gorącej kawy i syfon wody sodowej. Usadawił gościa na wygodnym foteliku, a potem, nie zwracając na niego uwagi, zaczął rozmawiać z Makowieckim na obojętne tematy. Opowiedział parę kawałów, z których sam śmiał się do rozpuku. Był wesoły, ożywiony, pełen energii.

Kiedy przynieśli kawę i wodę sodową, wyjął z biurka „pier-

siówkę” i nalał każdemu po małym kieliszku myśliwskiej.

— Niech pan sobie gornie, panie Brzezicki. To panu dobrze zrobi — zachęcał.

Robert machinalnie wypił wódkę i patrzył rozszerzonymi zdumieniem oczami. Zdawało mu się, że ulega jakiejś niezwykłej halucynacji. Nic z tego wszystkiego nie rozumiał. Zupełnie inaczej wyobrażał sobie przesłuchanie w komendzie milicji. Nie przyjechał przecież tutaj na kawę, która, nawiasem mówiąc, była świeżo zaparzona i bardzo smaczna.

Dopiero po dłuższej chwili Pawelec postanowił przystąpić do właściwego tematu.

— Podobno chciał pan złożyć u nas jakieś zeznanie — powiedział z pogodnym uśmiechem.

Młody rzeźbiarz skinął głową.

— Tak. Pragnę zeznać, że to ja zamordowałem Joachima Zelberta. Dawno już chciałem przyjść tutaj do panów, ale przyznaję, nie miałem odwagi. To nie takie łatwe. — Był teraz o wiele spokojniejszy. Jego głos brzmiał prawie zupełnie normalnie.

— Dlaczego pan miałby zabić Joachima Zelberta? — spytał Pawelec.

— Z zazdrości.

— Z zazdrości?

— Tak. Kocham Karolinę. Może to się panom wyda mało prawdopodobne, ale ja naprawdę kocham Karolinę.

— Nie widzimy w tym absolutnie niczego dziwnego. Pani Morawska jest kobietą bardzo atrakcyjną — powiedział z przekonaniem Makowiecki.

Robert umilkł i zapatrzył się przed siebie. Przez chwilę nikt nie przerywał milczenia.

— Czy pan jest pewien, że pan rzeczywiście zabił Joachima Zelberta? — spytał Pawelec.

— Tak. Jestem pewien.

— Mógłby nam pan opowiedzieć, w jakich okolicznościach to się stało?

— Nie było żadnych okoliczności. Całkiem po prostu... Dowiedziałem się, że Karolina ma wyjść za tego faceta z Australii. Nie mogłem się pogodzić z myślą, że ją stracę. Chodziłem jak

błądny. Wreszcie postanowiłem się z nim rozmówić. Kręciłem się koło ich domu w Radości. Poczekałem, aż wszyscy wyjdą, aż zostanie sam. Wtedy

wszedłem do domu. Zacząłem z nim rozmawiać. Byłem bardzo podniecony. Już nawet nie pamiętam, co mu powiedziałem. Chciał mnie wyrzucić za drzwi. Uderzyłem go.

— Czym? — spytał szybko Pawelec.

— Pięścią, w szczękę. Upadł. Nie poruszył się. Uciekłem.

— Od kogo dowiedział się pan, że Joachim Zelbert nie żyje?

— Od Karoliny.

— Widział się pan z nią potem?

— Nie. Rozmawiałem z nią przez telefon.

— I powiedział jej pan o tej awanturze z Zelbertem?

— Nie. Nie miałem odwagi.

— Hm... — Pawelec zaczął bębnić palcami po blacie biurka.

— To trochę dziwne. Czy pan sobie wyobraża, że łatwo można zabić człowieka uderzeniem pięści?

— On upadł. To był duży, ciężki mężczyzna. Mocno uderzył głową o podłogę. Pewnie wylew krwi do mózgu i koniec.

Pawelec wyjął z szuflady list Roberta, znaleziony w biurku Karoliny.

— Czy pan to napisał?

Chłopak przebiegł oczami maszynopis i nagle roześmiał się histerycznie.

— Ha, ha, ha! Rzeczywiście uważacie mnie za takiego durnia? Pisać podobne rzeczy i do tego na maszynie! Nie... to już jest szczyt wszystkiego.

— Więc to nie pan pisał? — nalegał sierżant.

— Nie, nie ja, nie ja! Nie jestem kretynem!

— W porządku. Niepotrzebnie się pan denerwuje. Znaleźliśmy ten list w biurku pani Morawskiej i dlatego...

— Ktoś chciał mnie zrobić — powiedział Robert.

— Właśnie — przytaknął Pawelec. — Ktoś chciał pana „wrobić”, ale kto?

— Nie mam pojęcia.

— Niech się pan dobrze zastanowi. Komu mogło zależeć na tym, żeby rzucić na pana podejrzenie?

— Nie wiem.

— Ma pan jakichś wrogów?

— Raczej nie.

— Jak dawno zna pan panią Morawską?

— Dawno. Nie pamiętam. Może rok, może dłużej. Nie pamiętam.

— Czy pańscy rodzice wiedzieli o tej znajomości?

— Nie.

— A kto wiedział o tej sprawie?

— Joanna.

— Pani Stawiska?

— Tak.

— Czy rozmawiał pan z nią kiedyś na temat pani Morawskiej?

— Nie. Nigdy.

Pawelec kichnął i wytarł starannie nos.

— No cóż... — spojrzał porozumiewawczo na Makowieckiego. — No cóż, to chyba byłoby wszystko. Jest pan wolny. Niech pan teraz jedzie do domu i pocieszy mamusię. Do widzenia.

— Jak to? — zdumiał się młody człowiek. — Nie aresztujecie mnie, panowie? — W jego głosie zabrzmiała nuta jakby rozczarowania.

— Nie, nie zaaresztujemy pana.

— Ale dlaczego?

— Dlatego, że to nie pan zabił Joachima Zelberta. Zamiast się dręczyć i denerwować, trzeba było wcześniej przyjść z tą sprawą. Niechże pan już jedzie do domu. Mamusia się niepokoi. Cześć.

Po wyjściu rzeźbiarza, Pawelec odsapnął i powiedział:

— Cholera! Ciekaw jestem, ile jeszcze osób przyzna się do zamordowania tego Australijczyka.

Makowiecki w zamyśleniu pokręcił głową.

— Czyśmy dobrze zrobili? Nie wiem, czy zauważyłeś, że ten chłopak także nosi brodę i także jest wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną?

*

Tym razem odwiedził Joannę Pawelec. Makowiecki co

prawda chciał go wyręczyć, ale sierżant był nieubłagany.

— Nie, nie, nic z tego. Teraz moja kolej. Zresztą dziewczyna za bardzo ci się podoba, a to ma fatalny wpływ na jasność myśli oficera śledczego. Jak nie masz co robić, to napisz raport. Stary uwielbia twoje raporty. Ja tymczasem skoczę na Saską Kępe.

Joanna siedziała przy maszynie i pisała reportaż. Spieszyła się. Bardzo jej była nie na rękę wizyta milicjanta. Nie dała jednak po sobie poznać niezadowolenia. Usadowiła sierżanta przy stole i poczęstowała go herbatą.

— Co nowego? Jesteście panowie na tropie?

Pawelec westchnął.

— Z tym tropem nie jest najlepiej, proszę pani. Obawiam się natomiast, że wreszcie obrzydłą pani wizyty przedstawicieli MO.

— Jakoś wytrzymam — uśmiechnęła się z pewnym przymusem, świadomość, że w telewizji czekają na materiał, nie dawała jej spokoju.

Pawelec trochę za głośno siorbnął łyk gorącej herbaty i powiedział:

— Mamy kłopot.

— Domyślam się.

— Bo widzi pani... Sprawa coraz bardziej się komplikuje.

— Mam nadzieję, że nie w związku z moją siostrą.

— Ach nie, nie — uśmiechnął się sierżant. — Siostry pani nie bierzemy pod uwagę. To była zupełna dziecinada. Czy pani rzeczywiście nie domyślała się, że mała interesuje się Maurycem Konorskim?

— Nie miałam o tym pojęcia. Byłam zaskoczona.

— Słaby ma pani kontakt z siostrą.

— To prawda. Ale nic na to nie mogę poradzić. Chroniczny brak czasu.

— O czym to ja z panią chciałem mówić? — Pawelec zakłopotany podrapał się za uchem.

— Aha, już wiem. Chciałem z panią porozmawiać na temat pani Morawskiej

— Słucham?

— Pani przyjaźni się z panią Morawską.

— To panowie już wiedzą. — W głosie Joanny można było wyczuć leciutkie zniecierpliwienie.

— Tak, tak, oczywiście. Pani wie, że robiliśmy rewizję w domu pani Morawskiej?

— Tak.

— Czy dowiedziała się pani o tym przed faktem czy po nim?

— Przed.

— Dobrze to pani pamięta?

— Tak. Właśnie tego dnia miałyśmy się spotkać i Karolina zatelefonowała do mnie, że nie będzie mogła przyjść, bo panowie...

— Kiedy pani Morawska telefonowała do pani?

— W przeddzień naszego zamierzonego spotkania.

— Czy oprócz pani wiedział ktoś, że mamy robić przeszukanie w mieszkaniu pani Morawskiej?

— Zaraz... zaraz... Jak to było? Chwileczkę... — Joanna zmarszczyła brwi, usiłując sobie przypomnieć. — Tak. Byliśmy wtedy u Mikołaja...

— To znaczy kto? — spytał Pawelec.

— Było parę osób: doktor Żarnecki z żoną, mecenas Malanowski, Jola Mrozicka, moja koleżanka z telewizji, i Borys.

— Kto to jest ten pan Borys?

— Borys Sabałyk, poeta. Pewnie pan o nim nie słyszał.

— Niestety, nie słyszałem. Nie interesuję się poezją. Czy wymieniając wszystkie te osoby, pragnie mi pani zakomunikować, że całe to towarzystwo zostało poinformowane o naszej wizycie u pani Morawskiej?

Joanna zmieszła się.

— Bardzo mi przykro, ale tak. Ja wiem, że to trochę głupio wyszło. Zachowałam się jak idiotka.

Pawelec nie zaprzeczył. Westchnął i spytał:

— Jak to się stało?

— No... po prostu. Była ogólna rozmowa... W pewnej chwili Mikołaj spytał mnie, o której jutro mam się spotkać z Karoliną. Odpowiedziałam, że w ogóle się nie spotkam, ponieważ... No i tak... Bardzo pan na mnie zły?

— W miarę potrzeby — uśmiechnął się sierżant. — No cóż...

stało się. Nie ma o czym mówić. Niech mi pani jeszcze powie, czy siostra pani, panna Teresa, wiedziała o naszej wizycie w domu pani Morawskiej?

— Tak.

— Szkoda, że nie ukazało się w tej sprawie ogłoszenie w prasie — mruknął do siebie Pawelec.

— Słucham? Co pan powiedział?

— Nie, nie, nic ważnego. Tak mi się coś przypomniało. Czy pani często odwiedza pana Mikołaja Konorskiego?

Prawie codziennie.

— A jak z jego nogą?

— Niezbyt dobrze. Ciągłe go bardzo boli i taka sina...

— Nic, tylko ja będę musiał obejrzeć tę nóżkę. Bo trzeba pani wiedzieć, że kiedyś, w dawnych czasach, pełniłem funkcję sanitariusza, felczera. W partyzantce.

— Ach tak... — Joanna spojrzała na zegarek. — Bardzo pana przepraszam, panie sierzancie, ale widzi pan, mam pilną robotę...

Pawelec wstał.

— Już idę. To ja przepraszam, że zabrałem tyle czasu. Dziękuję za rozmowę.

— Jeżeli potrzebowaliby panowie jeszcze jakichś informacji, chętnie służę — powiedziała uprzejmie Joanna, wyprowadzając gościa do przedpokoju.

W komendzie Pawelec powtórzył Makowieckiemu swoją rozmowę z narzeczoną Mikołaja.

— Fajna dziewczyna — dodał na zakończenie. — Szkoda tylko, że ma taki długi język. — Zaczął wyliczać na palcach: — Doktor Żarnecki z żoną, mecenas Malanowski, Jola Mrozicka, Borys Sabałytk i Teresa. Razem z Konorskim siedem osób wiedziało, że- mamy przeprowadzić przeszukanie u Morawskiej, nie licząc oczywiście Joanny.

— Czy sądzisz, że Maurycy zatelefonował wtedy celowo podczas naszej obecności? — spytał Makowiecki.

— To jest dla mnie zupełnie oczywiste.

— W takim razie musiał się od kogoś dowiedzieć.

- Sierżant pokiwał głową.
- Wszystko na to wskazuje. Siedem osób. Psiakrew!
- Czy masz zamiar sprawdzać całe to towarzystwo?
 - Bo ja wiem? Cholerna robota, a rezultat wątpliwy. Jeżeli któraś z tych osób kontaktuje się z Maurycem, to niełatwo się będzie o tym dowiedzieć

Makowiecki bystro spojrział na sierżanta.

— Słuchaj, Waleriana, dlaczego my, u diabła, nie bierzemy pod uwagę tego z nogą... Mikołaja? Któż nam właściwie powiedział, że bracia rzeczywiście pozostają ze sobą w takich złych stosunkach? A może to nieprawda, może to fikcja?

Pawelec w radosnym podnieceniu grzmotnął w plecy młodego porucznika.

— Maładiec! Z ust mi to wyjąłeś! Bardzo słusznie. Dlaczego właściwie mamy wierzyć w to, że bracia nie chcą ze sobą utrzymywać żadnych stosunków? A jeżeli to bujda? Jeżeli Mikołaj i Maurycy stale się kontaktują? Ale jaki byłby cel takiej mistyfikacji?

Makowiecki wzruszył ramionami.

— Na to ci w tej chwili nie potrafię odpowiedzieć. Różne mogą być cele. Fakt, że dziewczyna, która tu u nas była i przyznała się do „popelnienia zbrodni”, zupełnie inaczej narysowała nam postać Maurycego Konorskiego aniżeli jego rodzony braciszek.

— Oczywiście, to mnie wtedy uderzyło przede wszystkim. Tylko że... widzisz, Jureczku, nie bardzo można mieć zaufanie do tego, co mówi zakochana dziewczyna.

— Ale czyż to możliwe, żeby dwie charakterystyki jednego i tego samego człowieka były aż tak diametralnie różne? — upierał się Makowiecki.

— Możliwe — powiedział sierżant. — Miałem już takie wypadki w mojej praktyce, że czterech czy pięciu świadków zupełnie inaczej opisywało jakiegoś człowieka, nawet im się wzrost nie zgadzał, nie mówiąc już o cechach charakteru. Nie zapominaj, że Maurycy mógł grać przed dziewczyną.

— To także prawda — przyznał Makowiecki. — Mógł się wcielać w jakąś rolę. Młodej, zakochanej dziewczynie niewiele

trzeba. Ale mimo wszystko ja bym zbadał dokładniej tę sprawę. Czy rzeczywiście Mikołaj nie chce mieć nic wspólnego ze swoim bratem? Jak dotąd opieramy się wyłącznie na jego własnym oświadczeniu. Pamiętasz jego wizytę u nas w komendzie? A jeżeli była celowo zainscenizowana? Może mu zależało na tym, żebyśmy uwierzyli w to, że całkowicie odżegnuje się od Maurycego?

— Z prawdziwą przyjemnością muszę stwierdzić, że ci główka pracuje — powiedział wesoło Pawelec — Porozmawiamy sobie z panem Mikołajem. Odwiedzić chorego to nawet dobry uczynek. Przy okazji obejrzymy kontuzjowaną nogę. Może coś doradzimy, zaniesiemy jakieś maści. Muszę się porozumieć w tej sprawie z lekarzem, który się zna trochę na medycynie. Na razie chciałbym obejrzeć sobie garaż pani Węgrowskiej. Już dawno powinniśmy byli to zrobić, ale tak jakoś zeszło.

*

W Aleje Niepodległości pojechali w licznej asyście. Do obejrzenia garażu Pawelec radził zaprosić całą ekipę śledczo dochodzeniową i Makowiecki się z nim zgodził. Dokładne pomiary, odciski palców, odciski stóp, wypalone zapalki, resztki świec, skrawki papieru... absolutnie wszystko, co mogłoby stanowić jakikolwiek materiał dowodowo pomocniczy.

Nie znaleziono nawet śladu, że ktoś kiedyś trzymał tu samochód. W garażu stało składane łóżko, drewniany siół i dwa zwyczajne krzesła. Na stole lusterko, a na łóżku prawie nowa marynarka w brązową kratę. Pod ścianą para czarnych butów. To wszystko.

— Co on tu robił w tym garażu? — dziwił się Makowiecki.
— Na co mu to było? Dziewczyny sprowadzał?

Pawelec skrzywił się sceptycznie.

— Bardzo wątpię. Spójrz na to łóżeczko. Ledwie się trzyma.

— Więc co?

— Diabli go wiedzą. Coś może kombinował, ale nie zdążył jeszcze zorganizować. Nie ma żadnych skrytek, schowków.

— Za to jest lusterko — powiedział Makowiecki. — Lusterko i marynarka.

— I buty — uzupełnił sierżant. — Co z tego?

— Za taki garaż musiał pewnie płacić z tysiąc złotych.

— I ja tak myślę.

— No więc właśnie. Kto płaci tysiąc złotych za garaż, żeby w nim trzymać marynarkę i parę butów?

— Słabo opłacalny interes — przyznał Pawelec. — Ale nie bierzemy pod uwagę jednej najprostszej rzeczy.

— Mianowicie?

— Że facet w najbliższym czasie miał zamiar kupić sobie wóz i dlatego wynajął garaż.

— Zwykle najprzód kupuje się samochód, a dopiero potem szuka się garażu — zauważył Makowiecki

— Tak czynią ludzie nieprzezorni. Wiesz przecież doskonale, że u nas łatwiej o samochód niż o garaż. Trafiła mu się okazja, więc skorzystał.

— Sądziś, że Maurycy jest człowiekiem tak zamożnym, że może myśleć o kupnie samochodu?

Sierżant wzruszył ramionami.

— Nie znam stanu jego finansów, ale wydaje mi się, że nie na darmo siedział parę lat w kryminale.

— Ta dziewczyna twierdzi, że siedział niewinnie.

— Wszyscy zawsze siedzą niewinnie. Chyba już się zdążyłeś zorientować. A swoją drogą warto by zajrzeć do akt sprawy Maurycego Konorskiego?

— Chcesz się zagłębiać w studiach historycznych? — spytał Makowiecki.

— To niewykluczone.

ROZDZIAŁ VIII

Polak zły, kiedy głodny. Pawelec kłął, zrzedził, narzekał, że wszystkiego był niezadowolony. Miał ogromną ochotę posprzezczać się, ale nie znajdował chętnych. Wreszcie Makowiecki nie

wytrzymał i, przyjrzawszy się uważnie koledze, powiedział:

— A może coś byś przekąsił?

Sierżant, pozornie nie zwrócił uwagi na tę propozycję, wyjął jednak z kieszeni cztery bułki i krakowską kielbasę, zawiniętą w szary, gruby papier. Następnie rozłożył na biurku cztery papierowe serwetki i zaczął szykować sobie śniadanie.

— Ile tu tego łoju nawtykali, cholera jasna — mrucał pod nosem, krając scyzorykiem kielbasę. — Kiedyś kielbasa to była kielbasa, aż się oczy śmiały, a teraz... Pożal się, Boże. U nas na Targówku był jeden taki przed wojną, co wędliny wyrabiał. Powiadam ci, Jureczku, palce lizać. I A stary Wajszczuk w Karczewiu albo Machołek w Garwolinie, albo Siekierski we Włochach... Ci robili kielbasy, nie to, co dzisiaj. Łoju nawsadzają, wody naleją, smaku to żadnego ani zapachu nie ma.

— Widzę, że ci się sanacja podobała — powiedział Makowiecki.

— Sanacja mi się nie podobała, ale przedwojenna kielbasa mi smakowała — mruknął Pawelec i ugryzł kawałek bułki. — A może się poczęstujesz? Mnie trzy kajzerki wystarczą.

Makowiecki podziękował i usiadł przy maszynie. Nowy raport dla pułkownika. Szef lubił być informowany na I bieżąco o poszczególnych fazach śledztwa.

Przez pewien czas w pokoju panowała cisza, którą zakłócało tylko stukanie na maszynie i chrzęst bułek z kielbasą, ustępujących pod mocnymi zębami sierżanta;». Wreszcie Pawelec zaspokoił głód, zjadając wszystkie cztery kajzerki, napił się mocnej herbaty z termosu i weselszym spojrzeniem powiódł wokół. Ale głos miał mar- i kotny.

— Czy wiesz, Jureczku, że majora Stuczyńskiego wysłali do sanatorium?

Makowiecki przestał pisać.

— Co ty mówisz? Stoczyński? Do sanatorium? Nic o tym nie wiedziałem. Co mu się stało?

— Wyczerpanie nerwowe. A co ty myślisz? Ile lat może człowiek uganiać się za złodziejami, mordercami, rozmaitymi zbrodniarzami? Każdy z nas, prędzej czy później, musi dostać fioła.

— Ale Walerianie to nie grozi — uśmiechnął się Makowiecki.

Sierżant pokręcił głową.

— Nigdy nic nie wiadomo. Mnie, widzisz, ratuje to, że się za bardzo nie przejmuję. Ale jak ktoś jest nerwowy z usposobienia... Stoczyńskiemu się odgrażali. Ostatnio stale nosił spluwę przy sobie. Bał się. Trudno się dziwić. Dla takich różnych bandziorów wykończyć człowieka, to jak zjeść bułkę z masłem.

— Wypocznie sobie w sanatorium — powiedział Makowiecki. — Przyjdzie do siebie.

— Sanatorium... Hm... Wiesz, co ci powiem, Jureczku? Najlepiej można odpocząć w kryminale, w pudle. Nie żadne sanatorium, tylko po prostu kryminał. Pomyśl sobie tylko. Spokój, cisza, nikt od ciebie niczego nie chce, nikt do ciebie nie telefonuje. Regularne odżywianie. O jednej godzinie kładziesz się spać, o jednej godzinie rano wstajesz. Spacerek na świeżym powietrzu. Możesz sobie poczytać, możesz się zająć czymś pożytecznym, jak masz ochotę. Jak jeszcze sympatyczni faceci dobiorą się w celi, to' żyć, nie umierać. Pogadasz sobie, pograsz w karty albo w szachy. Dwa lata takiego wypoczynku i wychodzisz jak nowo narodzony, nerwy w porządku, żołądek w porządku, wątroba w porządku. Nawet ci zęby wyleczą.

— Widzę, że marzysz o więzieniu — uśmiechnął się Makowiecki.

— A żebyś wiedział. Pojedziesz ze mną na Mokotów?

— Po co? Gdzie?

— Do więzienia, na Rakowiecką.

*

— Czy pamiętam Maurycego Konorskiego? Ależ oczywiście. Doskonale go pamiętam. Wyszedł chyba gdzieś w końcu czerwca albo w początkach lipca. Jeżeli to panom potrzebne, możemy dokładnie sprawdzić

— Widzę, że pan naczelnik ma znakomitą pamięć — powiedział Pawelec. — Czy mógłby nam pan coś opowiedzieć o tym człowieku?

— O Konorskim? No cóż... Może się to panom wydać rzeczą dziwną, ale właściwie zasługuje on na same superlatywy.

— Jak pan to rozumie?

— Zupełnie po prostu. Maurycy Konorski to człowiek inteligentny, kulturalny, wykształcony, bardzo sympatyczny, koleżeński, a jednocześnie utalentowany. Nie znam się specjalnie na poezji, ale wydaje mi się, że jego wiersze są pierwszorzędne. I to jest nie tylko moje zdanie. Muszę panom powiedzieć, że wszyscyśmy tu bardzo żalowali, kiedy Konorski nas opuszczał.

Makowiecki pokręcił głową ze zdziwieniem.

— Hm... I twierdzi pan, że to taki sympatyczny człowiek?

— Wyjątkowo sympatyczny. No, powiadam panom, że nie pamiętam, żebym kiedykolwiek miał tutaj tak miłego więźnia. Trzeba się tylko przyzwyczać do jego głosu. Coś tam ma nie w porządku ze strunami głosowymi i paskudnie chrypi. To w pierwszej chwili trochę peszy, bo chrypka ma charakter taki nieco alkoholowo-nikotynowy.

— Czy oglądał go jakiś lekarz?

— Oczywiście. Niejeden. Laryngolog stwierdził chroniczne zapalenie strun głosowych.

— Wspomniał pan, że badał go niejeden lekarz — powiedział Pawelec. — Na co jeszcze chorował tu Maurycy Konorski?

— Prawdę mówiąc, mieliśmy z nim trochę kłopotu. Dostał zawału. Ale jakoś się wygrzebał i potem już czuł się zupełnie dobrze. My, proszę panów, bardzo dbamy o naszych pensjonariuszy. Opieka lekarska jest pierwszorzędna.

— Zapewne macie tu także i dentystów.

— Oczywiście. Przecież ludzie siedzą nieraz po kilka lat. Nie można nie leczyć im zębów. Ale dlaczego panowie interesują się tak Konorskim? Czyżby znowu coś przeszkrobał?

Pawelec pokiwał głową.

— Tak na to wygląda. Prowadzimy śledztwo w pewnej sprawie. Konorski jest podejrzany. Musimy go sprawdzić. Zbieramy materiał informacyjny. Chcielibyśmy prosić, panie naczelniku, żeby nam pan wydał wszystkie karty chorobowe, dotyczące zarówno jego serca, jak i zębów.

— Nie jestem pewien, czy mam prawo to zrobić...

— Żeby pan nie miał wątpliwości, postaramy się o nakaz prokuratorski.

— Świetnie — ucieszył się naczelnik. — Prawdę mówiąc, tak wolałbym załatwić tę sprawę. Proszę nie mieć żalu.

— Ale skądże — uśmiechnął się sierżant. — Doskonale rozumiemy pańskie skrupuły. Chcielibyśmy jeszcze pana prosić, żeby nam pan dokładnie opisał wygląd Konorskiego.

— Jak wyglądał? No cóż.. Postawny, barczysty mężczyzna, wysoki.

— Przystojny?

— Kiedyś był zapewne bardzo przystojny, ale ta dolna szczęka fatalnie go zeszpeciła

— Dolna szczęka?

— Tak. Opowiadał, że w czasie wojny... odłamek... Strzaskalo mu dolną szczękę. Jakoś mu tam to pozszywali, ale...

— Zaraz... zaraz... — Pawelec pochylił się do przodu. Był bardzo podniecony. — Przecież Maurycy Konorski nosi dużą gęstą brodę. Więc nie widać tych blizn, tego oszpecenia.

Naczelnik uśmiechnął się.

— Zgoliliśmy mu brodę. To niehygieniczne.

— I podczas całego pobytu tutaj nie miał brody?

— Nie.

— A jak wychodził z więzienia?

— Wychodził od nas gładziutko wygolony. Pamiętam, trochę go to krępowało. Być może, że nie bardzo miał ochotę pokazać się znajomym taki oszpecony. Może ma jakąś dziewczynę? Chociaż nie wierzę, żeby dziewczyna tyle czasu na niego czekała. Na pewno już ją dawno pocieszył kto inny.

— Chyba że to bardzo młoda dziewczyna — powiedział w zamyśleniu sierżant. — Więc mówi pan, że gładko wygolony...

— Gładziutko.

— A jak tu przyszedł, brodę miał dużą.

— Bardzo dużą i wyjątkowo gęstą. Tego oszpecenia zupełnie nie było widać.

— Czy ma pan jego zdjęcia?

— Oczywiście. Z brodą i bez brody, z profilu i *en face*.

— Chcielibyśmy pana prosić o odbitki, panie naczelniku.

— Nic nie stoi na przeszkodzie. Ile tylko panowie sobie życzą.

— Prosimy o wszystkie ujęcia, jakimi pan dysponuje.

— Jak się da, to się zrobi — roześmiał się naczelnik — W czym jeszcze mogę wam być po mocny?

— Jeżeli miałby pan coś z garderoby Konorskiego, to także by się nam przydało.

— Z garderoby. Wątpię... Ale na przykład co?

— No bo ja wiem... Może jakieś stare buty albo zniszczona marynarka, albo i koszula.

— Zobaczę. Zorientuję się, ale tego nie mogę panom obiecać. Przeważnie każdy więzień, wychodząc, zabiera swoje rze-

czy, a starej, do niczego już nie przydatnej garderoby my tutaj nie kolekcjonujemy. Postaram się, nie wiem jednak, czy coś mi się uda odnaleźć. Przyznam się panom szczerze, że bardzo mi przykro, że Konorski znowu się w coś wpakował. Sympatyczny facet. Szkoda mi go. Taki jakiś pechowy.

— Pechowy? — zdziwił się Makowiecki.

— Tak. Bo właściwie... — Naczelnik urwał i machnął ręką.

— Niech pan mówi — zachęcił go porucznik. — Wszystko, co dotyczy tego człowieka, bardzo nas interesuje. Co pan chciał powiedzieć?

— Nic specjalnego. Po prostu chciałem powiedzieć, że Konorski zupełnie nie robi wrażenia kogoś, kto jest zdolny do popełnienia przestępstw. Usposobienie pogodne, łagodne, życzliwy stosunek do otaczającego go świata...

— Czy może rozmawiał pan z nim na temat jego sprawy sądowej, wyroku...?

— Próbowałem, ale nigdy nie chciał o tym mówić.

— Czy odwiedzał go ktoś w więzieniu?

— Przychodziła jakaś dziewczyna, ale on nie chciał się z nią widzieć. Mam wrażenie, że krępował się pokazać bez brody, taki oszpecony. Przynosiła paczki, pisała do niego.

— Młoda dziewczyna?

— Bardzo młoda. Myślę, że nie ma więcej jak dwadzieścia lat.

— Czy kiedy opuszczał więzienie, wyszła po niego?

— Nie.

— Jest pan pewien?

— Tak. Interesowałem się nim specjalnie i zwróciłem na to uwagę.

Pawelec spojrział na porucznika:

— Czy masz może jeszcze jakieś pytania?

— Nie, pytań nie mam — odparł Makowiecki. — Myślę tylko, że przydałby się nam jakiś rękopis Maurycego Konorskiego i może odciski palców...

*

Stary charakteryzator przywitał ich jak dobrych znajo-

mych. Ucieszył się.

— Proszę, proszę siadać. To bardzo miło, że panowie mnie znowu odwiedzili. Pewnie jakieś peruki albo wąsy potrzebne do waszego teatru. Zrobi się, zrobi. Powiedzcie tylko, czego chcecie, a ja już się postaram solidnie wykonać zamówienie. Udało mi się dostać trochę surowca. Piękne brody mogą wyszykować.

Pawelec powiedział, że teatr jest dopiero w stadium organizacji i że na razie nie potrzebują wąsów ani bród, ale że w przyszłości niewątpliwie zgłoszą się z zamówieniami.

Staruszek trochę zmarkotniał. Miał nadzieję na przyływ gotówki. Renta nie bardzo mu wystarczała, a zięć — ślusarz nie odznaczał się zbyt szerokim gestem. Przyjrzał się swym gościom spod siwych, krzaczastych brwi i spytał:

— To znaczy, że co...?

Pawelec zdecydował, że nie ma sensu bawić się w towarzyskie rozmówki i, nie zwlekając, przystąpił do rzeczy. Wyjął z kieszeni kopertę ze zdjęciami Maurycego Konarskiego. Pokazał tylko te bez brody.

— Czy pan zna tego człowieka?

Stary długo wpatrywał się w fotografię. Wreszcie westchnął i powiedział z odcieniem gorczy w głosie:

— To znaczy, że to wszystko bujda na resorach, czyli lipa.

— Z czym lipa? — spytał sierżant.

— No. . z tym całym waszym teatrem. Dałem się nabrać jak głupi szczeniak. Wiadomo... milicja. A ja, idiota, myślałem, że to naprawdę, że naprawdę będę mógł coś jeszcze zrobić dla teatru. Stary dureń ze mnie, stary dureń...

Pawelec pociągnął nosem. Zrobiło mu się przykro. Spojrzał na Makowieckiego, który w tej chwili miał bardzo głupią minę.

— Kiedy my rzeczywiście mamy zamiar zorganizować teatr i dlatego...

— Niech mnie pan już nie bierze na ten bajer — zniecierpliwiał się dziadek. — Taki numer raz tylko może przejść. Więc o co chodzi? Mówicie i nie zawracajcie mi głowy.

— Przykro nam — westchnął Pawelec — że pan tak to potraktował. Chcielibyśmy się dowiedzieć, czy ten człowiek, któ-

regu zdjęcie trzyma pan w rękę, był pańskim klientem? Czy robił pan dla niego brodę?

— Robiłem. A bo co?

— Poznaje go pan?

— Jak mówię, że robiłem dla niego brodę, to znaczy, że go poznaję. Mało jest ludzi z taką pokiereszowaną gębą.

— Kiedy to było?

— W lecie. Chyba w czerwcu albo lipcu. Dokładnie nie pamiętam.

— Sam przyjechał do pana ten mężczyzna? — zapytał porucznik Makowiecki.

— Sam.

— Wozem przyjechał czy tramwajem?

— Taksówką.

— I na poczekaniu zrobił mu pan brodę i wąsy?

— Musiałem. Powiedział, że się nie ruszy bez brody. Usiadł i czekał. Co miałem robić?

— Czym tłumaczył ten pośpiech?

— Powiedział, że chorował na tyfus, że w szpitalu brodę mu zgolili i że się wstydzi pokazać znajomym z tą szczęką. Więc zanim mu odrośnie, musi nosić przyprawioną. Początkowo nie chciałem się zgodzić tak na poczekaniu. Powiedziałem mu, że to nie piekarnia. Ale prosił, dobrze zapłacił, to i zrobiłem.

— Jedną brodę pan mu zrobił?

— Dwie i dwie pary wąsów. Chciał mieć na zapas.

— Niech nam pan powie, w jaki sposób on pana znalazł? Musiał ktoś mu dać pański adres.

Stary zamyślił się.

— Zaraz, zaraz, chwileczkę, niech sobie przypomnę... To już parę miesięcy temu. Aha, już wiem. Telefonował.

— Telefonował?

— Tak. Teraz sobie przypomniałem, jak to było. Przyszedł zięć i powiedział, że ktoś mnie prosi do telefonu. Bo telefon jest w warsztacie...

— I rozmawiał pan z tym swoim klientem?

— Nie... Chyba nie z nim. Nie, nie... to ktoś inny ze mną rozmawiał.

— Mężczyzna? Kobieta?

— Mężczyzna.

— To dlaczego pan przypuszcza, że to nie był ten człowiek?

— Bo... bo tamten przez telefon mówił normalnie, a ten, który tu do mnie przyjechał, okropnie chrząkał. Ledwo go mogłem zrozumieć.

— I pamięta pan to?

— No chyba, że pamiętam — obruszył się stary. — Ja, panie, mam sklerozę, bo w moim wieku nie można nie mieć, ale takie rzeczy to ja pamiętam, ho, ho. I jeszcze coś panu powiem. Wcale nie wierzę w ten tyfus. Kto teraz na tyfus choruje? Niemodne. Grypa, zapalenie płuc, wątroba, ale tyfus... Mnie się to od razu wydało podejrzanym. — Obejrzał się, jakby chciał sprawdzić, czy nikt go nie podsłuchuje i powiedział tajemniczym szeptem: — Facet wyszedł z kryminału. Założyłbym się.

— To bardzo prawdopodobne — przytaknął Pawelec rac że ich rozmówca trochę się „rozkręcił”.

— Czy ten pański klient przyjeżdżał do pana tylko raz czy parę razy? — zapytał Makowiecki.

— Tylko wtedy był. Jeden raz. Więcej się tutaj nie pokazał.

— A niech nam pan jeszcze opowie o tej rozmowie telefonicznej. Jak to było?

— Zwyczajnie. Przyszedł zięć i powiada: „Dziadek, telefon do dziadka”. To żem się bardzo zdziwił, bo przecie nikt nigdy do mnie nie telefonuje. Kto może mieć do mnie interes? Poszedłem. Ten facet, co telefonował, powiedział moje nazwisko. Skąd wiedział, nie mam pojęcia.

— I co mówił?

— Spytał, czy to prawda, że kiedyś pracowałem w teatrze i że potrafię zrobić perukę, brodę, wąsy. Powiedziałem, że prawda. I jeszcze spytał, czy dam radę zrobić taką brodę, żeby się nikt nie poznał, że przyprawiona. Bo to, proszę pana, nie każdy potrafi. Jak nie fachowiec, to zaraz się pozna, że broda przyklejona. Do teatru to me ma potrzeby tak dokładnie robić. Z daleka nie widać. Ale jak kto chce prywatnie, między znajomymi, to trzeba specjalnie dopasować i w ogóle... Ja już mam takie swoje sposoby, że sam diabeł się nie zorientuje. Napracowałem się

wtedy jak lichy. A ten gość także był cierpliwy. Prawie cały dzień u mnie siedział i czekał. Zależało mu.

— Jak on do pana trafił?

— Miał kartkę z adresem i nazwiskiem, to i trafił.

— Kartkę, powiada pan? — zainteresował się żywo Pawelec. — Pokazał panu kartkę z pańskim adresem i nazwiskiem?

— A jakże. Nawet zapomniał ją zabrać. Zostawił na stole.

— Może pan jeszcze ma gdzieś tę kartkę? Może pan ją schował?

— Pewnie gdzieś jest. U mnie, proszę pana, nic nie ginie. Schowałem, bo pomyślałem sobie, że może ten gość wróci się po swoją kartkę, może zechce mieć mój adres. Taka kartka dużo miejsca nie zabiera. Schowałem. Na wszelki wypadek.

ROZDZIAŁ IX

Makowiecki był do głębi wzburzony. Biegał po pokoju, siadał na moment za biurkiem, by za chwilę znów się zerwać, jakby broniąc się przed atakiem jadowitych owadów. Nawet obecność Waleriany tym razem nie działała na niego kojąco.

— To niemożliwe, to nieprawdopodobne, to jakaś pomyłka — powtarzał, nie przestając się miotać.

Pawelec przez pewien czas z niezmaconym spokojem przyglądał się młodemu człowiekowi, tak jakby obserwował jakieś interesujące zjawisko przyrodnicze. Wreszcie jednak stracił cierpliwość i powiedział zdecydowanym głosem:

— Uspokój się, do jasnej cholery!

Poskutkowało. Makowiecki zatrzymał się i stanął w postawie boksterskiej przed sierżantem.

— Ty chyba w to nie wierzysz, żeby ta dziewczyna...?

— Siadaj!

Makowiecki usiadł. Powoli zaczął się uspokajać.

A jednak co Waleriana, to Waleriana — pomyślał. W największym nawet rozdrażnieniu ratowało go wrodzone poczucie humoru. Sapał jeszcze przez dłuższą chwilę, ale to sapanie stało się coraz łagodniejsze.

— Oprzytomniałeś już? — spytał Pawelec.

Głębokie westchnienie.

Mniej więcej.

—Twoje szczęście. Miałem już zamiar dzwonić po pogotowie albo dać ci w mordę To podobno nie najgorszy sposób na nerwowych. A teraz posłuchaj, co ci powiem: Więc przede wszystkim...

— Przecież możliwa jest pomyłka w ekspertyzie! — wykrzyknął Makowiecki. — Ci z Zakładu Kryminalistyki także mogą się mylić jak wszyscy ludzie.

— Czekaj. Nie przerywaj, do diabła. Pozwólże mi powiedzieć — sierżant zaczynał tracić cierpliwość. — Więc przede wszystkim wcale nie twierdzą, że to napisała twoja „urocza dziewczyna”.

— Nie moja — burknął Makowiecki.

—Twoja, nie twoja, ale bardzo w twoim typie. Zdążyłem to zauważyć. Gdyby chodziło o kogo innego, to byś się tak nie ciaskał. Spokojna głowa. Ja ci osobiście radzę...

Makowiecki machnął niecierpliwie ręką.

— Przestań. Powiedziałeś, że ekspertyza wykazała, że zarówno anonim, jak i list miłosny tego młodego rzeźbiarza napisane zostały na maszynie Joanny.

—To nie jej maszyna. Służbowa. Stoi w jej pokoju w telewizji. Każdy mógł z niej skorzystać.

— Ale to jest pokój, w którym ona urzęduje!

—To co z tego? Dwadzieścia cztery godziny przecież tam nie siedzi.

— A ty ją podejrzewasz?

Pawelec wzruszył ramionami.

—Nie wiem. Trzeba sprawdzić. Nie da się zaprzeczyć, że dziewczyna ma mocne powiązania z naszą sprawą.

— Ale w jakim celu...?

—A któż to może wiedzieć? Może na przykład sama miała ochotę wydać się za tego australijskiego milionera?...

— Przecież jest narzeczoną Konorskiego.

—Nie bądź dzieckiem. Mało to narzeczonych wychodzi za mąż za zupełnie kogo innego? Zdarzają się wypadki, że nawet sprzed ołtarza panna młoda pryśnie. Co to można wiedzieć, co

tam się w takiej główce koci? Z kobietami to tak jak z końmi, dopóty podskakuje, dopóki ją na porządny munsztuk nie weźmiesz, a i to czasem jeszcze zadem wybije.

—Więc jednak podejrzewasz Joannę? — spytał Makowiecki, puszczając mimo uszu głęboko psychologiczne sentencje sierżanta.

—Nikogo nie podejrzewam. Sprawdziłem po prostu maszyny do pisania, które mniej więcej znajdują się w obrębie naszych poszukiwań i okazało się, że to właśnie maszyna, która stoi w pokoju Joanny...

— Kto jeszcze urzęduje w tym pokoju?

— Jakiś facet. Nazywa się Edward Magierski.

— Jakie na tobie zrobił wrażenie?

—Wrażenie? Bo ja wiem. Trudno powiedzieć. Tak wygląda, jakby nie tylko mleko pijał.

— Jak zdobyłeś próbkę maszynopisu?

— To już moja zawodowa tajemnica.

— Rozmawiałeś z Joanną?

— Jeszcze nie. Właśnie na nią czekam. Posłałem po nią.

—Słuchaj... — Makowiecki zająknął się. — Mam... miałbym do ciebie prośbę. Wolałbym, żebyś ty sam z nią porozmawiał. Mnie jakoś... Byłem u niej na kolacji... Właściwie to nic takiego, ale... Rozumiesz...?

Pawelec roześmiał się.

—Dobra, dobra. Nie musisz nam asystować. A na przyszłość nie dawaj się zapraszać na kolacyjki młodym, ładnym dziewczynom, mającym coś wspólnego ze sprawą, którą prowadzisz.

— Nie mogłem się wykręcić. Chciałem, ale nie mogłem. To wypadłoby jakoś niegrzecznie.

Zadzwoił telefon. Makowiecki podniósł słuchawkę.

—Właśnie już przyjechała — powiedział pośpiesznie. — To ja spływam. Cześć, na razie.

Pawelec usiadł za biurkiem i wyjął z szuflady rozmaite papiery. Chciał zrobić wrażenie bardzo zajętego pracą.

Joanna weszła chmurna. Widać było, że jest wściekła.

— Proszę, niech pani siada.

—Czy nie sądzi pan, że trochę za dużo czasu mi zabieracie? Wydaje mi się, że wszystko już żeśmy sobie powiedzieli. Przecież ja także mam swoje zajęcia. Nie mogę ciągle z panami rozmawiać. To nic nie daje.

Pawelec nie był zaskoczony rozdrażnieniem swojego „gościa”. Powiedział kilka uprzejmościowych słów i, nie wdając się w dłuższe przygotowania do rozmowy, posunął po blacie biurka obydwa maszynopisy.

— Niech pani to przeczyta — powiedział.

Przebiegła oczami tekst.

— Słyszałam o tym. Mówiła mi Karolina, że coś takiego znaleźli panowie w jej mieszkaniu podczas rewizji. Czy w związku z tym wezwał mnie pan do komendy?

— Tak.

— Nie bardzo rozumiem.

— Zaraz to pani wyjaśnię. Otóż sprawa przedstawia się w ten sposób, że obydwa listy zostały napisane na maszynie, która stoi w telewizji, w pani pokoju.

— Niemożliwe!

— Wszystko zostało sprawdzone, proszę pani, i nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Przeprowadzono fachowe badania.

— W jaki sposób zdobył pan tekst napisany na naszej maszynie?

— To pozostanie moją tajemnicą, może niezbyt słodką, ale tajemnicą. Tak więc zaprosiłem panią do nas, bo chciałym zagadkę wyjaśnić wspólnymi siłami.

— Nie przypuszcza pan chyba, że ja...

Na twarzy sierżanta pojawił się jowialny uśmiech.

— Nie lubię bawić się w przypuszczenia. Do niczego me prowadzą. Przypuszczać można różne rzeczy. Ja osobiście jestem zwolennikiem pewnych, dowiedzionych i udokumentowanych, faktów. Pani, w swojej codziennej pracy, znajduje się najbliżej tej maszyny. Fakt bezsporny. Anonim do pana Zelbera i liścik do pani Morawskiej zostały napisane na lej właśnie maszynie. Drugi fakt bezsporny. W związku z tym sądzę, że rzeczą zupełnie logiczną jest, że zaprosiłem panią na tę rozmowę.

wę.

Joanna nieznacznie poruszyła ramionami.

—Doprawdy nie wiem, co mam panu powiedzieć. Mogę tylko zapewnić, że to nie ja napisałam.

— A kto?

— Nie mam pojęcia.

—Czy pani jest skłonna dopomóc mi w znalezieniu autora lub też autorki tych listów?

—Oczywiście. Nie wiem tylko, w jaki sposób można do tego dojść? Bardzo dużo ludzi pracuje w telewizji.

— Spróbujemy wspólnie zastanowić się nad tym. A więc przede wszystkim: kto urzęduje z panią w pokoju?

— Edward Magierski.

— I kto jeszcze?

—Właściwie nikt. Czasami ktoś przychodzi. Wie pan, jak to jest w redakcji. Zdarza się, że kolega czy koleżanka szuka wolnego pokoju, żeby sobie spokojnie porozmawiać z autorem.

— Ale w takim wypadku nie pisze się na maszynie.

— Raczej nie.

— Hm... Pawelec zamyślił się. — No cóż... Rzeczywiście nie będzie to prosta sprawa. Jest rzeczą niewątpliwą, że autor czy autorka tych maszynopisów należy do osób dobrze zorientowanych w sprawach osobistych pani Morawskiej. Poza tym ten ktoś musiał być zainteresowany w przeprowadzeniu całej intrygi. Kogo by pani wytypowała?

— Nie mam pojęcia.

— Bo przecież pani nie zależało na tym, żeby pokrzyżować matrymonialne plany swej przyjaciółki — powie dział beznamietnym głosem Pawelec. — Prawda, że nie?

— No wie pan! — oburzyła się Joanna. — Jak pan w ogóle może?

— Proszę mi wybaczyć, głośno myślę. Więc jeżeli nie pani...

— Niechżeż pan da spokój. To nonsens.

— Dobrze już, dobrze. Proszę się więc zastanowić, kto z najbliższego pani otoczenia mógł się znaleźć na chwilę sam w pani pokoju redakcyjnym?

- Zdarza się że mnie ktoś odwiedzi...
- Na przykład kto?
- Parę razy była u mnie w telewizji Karolina.
- A pan Mikołaj Konorski?
- Mikołaj także wpadał do mnie od czasu do czasu Nie przypuszcza pan chyba, żeby Karolina czy Mikołaj...?
- To już żeśmy ustalili — przerwał jej sierżant. — Żadnych przypuszczeń. Operujemy faktami, z których następnie wyciągniemy ewentualnie pewne wnioski. Czy całość będzie się trzymała kupy, czy też nie, to już zupełnie inna sprawa. Proszę mi powiedzieć, kto jeszcze z osób zorientowanych w życiu prywatnym pani Morawskiej mógł znaleźć się sam na sam z waszą maszyną do pisania?
- Nie widzę nikogo takiego.
- A czy pani kolega redakcyjny... Zapomniałem nazwiska...
- Magierski.
- O, właśnie. Czy pan Edward Magierski znał Joachima Zelberta?
- Znał.
- O! — W oczach Pawelca zabłysło zainteresowanie. — Kiedy i w jakich okolicznościach poznali się?
- Podczas pierwszego pobytu Joachima w Warszawie
- W jaki sposób zetknął się z panem Magierskim?
- W restauracji, w „Bristolu”. Poszliśmy z całym towarzystwem na kolację i zupełnie przypadkowo spotkaliśmy Edzia. Przysiadł się do nas.
- Kto wtedy był na tej kolacji?
- Joachim, Karolina, Mikołaj, ja i potem Edzio Magierski. Trochę sobie podpił, bo on w ogóle dosyć tego...
- Zdarza się w najlepszej rodzinie — uśmiechnął się pobłażliwie Pawelec.
- Edzio niedawno się ożenił — poinformowała Joanna. — Mam wrażenie, że od tej pory bardzo się ustatkował.
- Z czego pani to wnioskuje?
- Ponieważ dawniej często wyskakiwał z redakcji na kefierek, a teraz już się to nie zdarza — uśmiechnęła się lekko.

- Rozumiem. Kiedy pani kolega ożenił się?
- Akurat tego dnia, kiedy został zamordowany Joachim.
- Ach, tak.
- Sama go podwiozłam do Urzędu Stanu Cywilnego.
- Czy pani jest pewna, że wtedy nie spóźnił się na ślub?

— Nie wiem... Zaczyna pan podejrzewać biednego Edzia?

— Sprawdzamy wszystkich ludzi, którzy mieli jakikolwiek kontakt z Joachimem Zelbertem. To należy do naszych obowiązków. Czy po kolacji w „Bristolu” pan Magierski widywał się jeszcze z Zelbertem?

— Nie wiem.

— Może pani Morawska będzie coś wiedziała na ten temat?

— Może.

Pawelec wstał.

— Dziękuję pani. Nie zabieram więcej czasu. Gdyby pani przypomniała sobie kogoś, kto mógł być dobrać się do pani maszyny, proszę nas zawiadomić.

— Oczywiście.

Odprowadził ją do drzwi. Kiedy położyła już rękę na klamce, spytał:

— A czy siostra pani, panna Teresa, odwiedza panią czasem w telewizji?

— Tak. Ale bardzo proszę, żeby panowie przestali już mieszać moją siostrę do tej sprawy!

— Pani siostra sama zaplątała się w tę sprawę — uśmiechnął się Pawelec.

Po wyjściu Joanny Makowiecki wrócił do pokoju.

— No i co?

— No i nic. Mamy nowego faceta do sprawdzenia.

— Kto to?

— Kolega redakcyjny tej dziennikarki. Znał Zelberta

Przesłuchanie Edwarda Magierskiego niewiele dało. Był zdziwiony, zaskoczony, trochę nadąsany, że odrywają go od pilnej roboty Redakcyjnej. Owszem, poznał trzy lata temu Joachima Zelberta, ale to była zupełnie przelotna znajomość. Czy potem jeszcze kiedyś się z nim kontaktował? Nie, nigdy. Nie było okazji. Zresztą po co? Ma zbyt dużo pracy w telewizji, żeby tracić czas na spotkania z przypadkowo poznanymi ludźmi.

Rozmowa trwała krótko. Szybko pozbyli się elokwentnego i bardzo pewnego siebie dziennikarza.

— Facet łże — powiedział Pawelec.

— Tak sądzisz?

— Nie sędzę, jestem pewien.

Makowiecki pokiwał głową.

— Może masz rację. Trochę za dużo mówi i trochę za bardzo nadrabia miną.

— Otóż to. Poza tym parę razy podkreślił, że nie lubi tracić czasu na spotkania z przypadkowymi znajomymi. Chciał, żeby się to utrwaliło w naszych mózgowicach.

— Więc co proponujesz?

Chyba będziemy musieli pogawędzić jeszcze z panią Morawską. Może ona nam coś powie na temat kontaktów Zelberta z telewizyjnym dziennikarzem. Wiesz co? Mam myśl. Zajmiesz się tym. Nie zapominajmy, że właściwie to ty prowadzisz śledztwo, a ja jestem tylko siłą pomocniczą. Zresztą ty jak nikt potrafisz czarować kobiety.

— Nie wygłupiaj się, Waleriana. I przestań mnie wrabiać — mruknął Makowiecki. — Nie mam wcale ochoty jechać do Radości.

— A kto ci mówi, żebyś jechał do Radości? Jedź do szpitala i to — radziłbym — zaraz. Jeżeli są tam jakim powiązania, lepiej, żeby Edzio Magierski nie zdążył skontaktować się z panią Karoliną.

W białym kitlu i ze stetoskopem zawieszonym na szyi wyglądała o wiele poważniej, bardziej oficjalnie, urzędowo. Od razu poznała młodego porucznika.

— Ach, to pan? Czy coś się stało?

Makowiecki poczuł się trochę zażenowany. Szpitalna atmosfera jakby go onieśmielała. Sam nigdy jeszcze poważniej nie chorował i tak się składało, że jego najbliżsi cieszyli się doskonałym zdrowiem.

Wolałbym ją przesłuchiwać u nas, w komendzie — pomyślał. — Byłbym na „własnym terenie”.

— Czy możemy tu swobodnie chwilę porozmawiać? — za-

pytał.

— Jak pan widzi, jesteście sami.

— A tak, rzeczywiście. Więc... chcemy prosić panią o pewne informacje. Czy pani zna pana Edwarda Magierskiego?

— Tak. To kolega redakcyjny mojej przyjaciółki, Joanny Stawiskiej. Widziałam go kilka razy.

— Podobno pan Magierski poznał kiedyś pana Zelberta.

— Tak. Przypominam sobie. — W tonie Karoliny wyczuł jakby pewną niechęć.

— Opowiadała nam pani Stawiska, że pan Magierski poznał pana Zelberta w „Bristolu” podczas swojego pierwszego pobytu w Warszawie, to znaczy trzy lata temu.

— Pamiętam tę kolację.

— Czy pan Magierski widywał się także i po tym wieczorze z panem Zelbertem?

— Możliwe, choć Joachim nic mi na ten temat nie wspominał. — Jakby mimochodem spojrzęła na zegarek.

— Nie chciałbym zabierać pani zbyt wiele czasu — powiedział Makowiecki — ale... Czy pani wie, że Edward Magierski ożenił się?

— Wiem. — Spojrzęła na niego zdziwiona.

— To znaczy, że pan Magierski nie jest jednak dla pani zupełnie przypadkowym znajomym. Jeżeli jest pani poinformowana o jego małżeństwie...

Karolina trochę się zmieszała.

— Być może, że wspomniała mi o tym Joanna.

— Dlaczegoż pani Joanna miałaby o tym opowiadać pani? Czy to takie ważne, że jakiś tam kolega redakcyjny ożenił się?

Poruszyła się niecierpliwie.

— O różnych sprawach się mówi... Bardzo przepraszam, ale nie mogę już panu poświęcić więcej czasu. Pacjenci czekają. Albo umówimy się u mnie w Radości, albo, jeżeli to konieczne, ja przyjdę do panów. Do widzenia, panie poruczniku.

Makowiecki, niezbyt zadowolony z siebie, wrócił do komendy.

— No i jak ci poszło? — spytał Pawelec.

— Nie najlepiej. Niczego konkretnego się nie dowiedziałem, ale odniosłem wrażenie, że pani doktor wie więcej, niż chce powiedzieć.

— Tak sądzisz? To interesujące. A co z naszym Edziem- oliwą?

— Chyba niejedną raz widział się z Zelbertem.

Sierżant podrapał się za uchem.

— No dobra, ale jak to sprawdzisz? Kto może coś wiedzieć na ten temat?

— Myślę, że należałoby pogawędzić z jego żoną — powiedział Makowiecki.

*

Zalewała się rzewnymi łzami. Szlochala.

Makowiecki i Pawelec tak byli zaskoczeni niezwykłym zachowaniem się młodej kobiety, że zupełnie nie wiedzieli, co mają z tym fantem zrobić. Popatrywali po sobie bezradnie, czekając, aż minie atak rozpaczy. Wreszcie sierżant nalał trochę wody do szklanki i powiedział zachęcająco:

— Może się pani napije. Dobrze pani robi. Ta mieszanka chloru z fenolem działa czasem bardziej uspokajająco aniżeli waleriana.

— O, właśnie — podtrzymał kolegę Makowiecki.

Wypiła i rzeczywiście zaczęła się uspokajać. Gwałtowny szloch przeszedł teraz w ciche pochlipywanie. Widać było, że pierwszy paroksyzm ma się ku końcowi.

Pawelec jeszcze dołał odrobinę wody i, nadając swemu głosowi nieomal tkliwe brzmienie, spytał:

— Dlaczego pani płacze?

Chlipnęła trochę głośniej, ale odpowiedziała:

— Bo się boję.

— Czego się pani boi?

— Milicji.

— Milicji? — zdumiał się sierżant. — A dlaczegóż to pani boi się milicji?

— Nigdy w życiu nie byłam aresztowana.

— Teraz także nie jest pani aresztowana

— Nie?

— Nie.

— Naprawdę?

— Naprawdę.

Otarła oczy z łez.

— A ja myślałam. Bo tatuś zawsze mówił, że z milicją najgorzej zacząć...

— Czy jesteśmy tacy straszni? — spytał Pawelec, wskazując na młodzieńczo uśmiechniętego Makowieckiego.

Zupełnie się rozpogodziła.

— Nie, wcale panowie nie są straszni.

— No, widzi pani. Milicjanci to także ludzie. Lubimy sobie pogawędzić, pożartować. Chodzimy na spacer, do kina, do teatru, do kawiarni. Tak jak wszyscy.

— To po co panowie tutaj mnie przywieźli?

— Bo chcieliśmy sobie z panią porozmawiać.

— O czym? znowu zrobiła się podejrzliwa.

— Tak w ogóle, o różnych rzeczach. Słyszeliśmy, że pani niedawno wyszła za męża.

— Musiał się ze mną ożenić. Jestem w ciąży. Już czwarty miesiąc.

— Pani jest tak uroczą młodą osobą, że chyba każdy mężczyzna bez żadnego przymusu ożeniłby się z panią powiedział z galanterią Pawelec.

— O nie, nie każdy. Edeczek wcale nie miał ochoty się żenić. Dopiero Marian powiedział, że jak się nie ożeni, to on z nim porozmawia.

— Kto to jest Marian?

— Mój brat. Jest bokserem ciężkiej wagi. Najprzód był ciężarowcem, ale teraz przerzucił się na boks.

— Rozumiem — powiedział z poważną miną Pawelec.

Bał się spojrzeć na Makowieckiego, żeby nie parsknąć śmiechem. Odchrząknął i dopiero po chwili mówił dalej:

— Więc ślub odbył się w czwartek, czwartego listopada.

— Ale skąd w czwartek?! — oburzyła się. — W piątek, piąte-

go listopada.

— Jest pani pewna?

— No jakże? Nie pamiętałabym daty mojego ślubu?

— Dziwię się dlatego, że koleżanka redakcyjna pani męża mówiła nam, że pan Magierski śpieszył się na ślub W czwartek, czwartego listopada.

Zaczęła się śmiać. Z ogromną łatwością przechodziła od łez do śmiechu.

— A to ci heca! Już wszyscy wiedzy! Już cała Warszawa nabija się z Edeczka!

— Dlaczegoż to cała Warszawa „nabija się z Edeczka?” — spytał z zainteresowaniem Pawelec.

— To prawdziwa komedia, proszę pana. Edeczkowi pomyliło się. Myślał, że to w czwartek, a to w piątek. Taki był ubaw, że pan sobie nawet nie wyobraża. Wykąpał się, wystroił się i wszystko na nic. Na drugi dzień znowu to samo. Musiał nawet brać świeżą koszulę, bo tamta już była trochę pomięta.

— Jak to się stało, że pan Magierski pomylił datę ślubu?

— Bo widzi pan... — znowu zachichotała. — Widzi pan... Jak Edeczek z kolegami zaczął żegnać kawalerski stan, to trwało dwa dni i potem mu się jakoś to wszystko pokręciło. Lubi sobie wypić. Nie powiem, żeby był jakimś tam alkoholikiem, ale lubi, jak to mężczyzna. Popili i daty mu się poprzestawiały. Śmieli się z niego na weselu, że aż mi go żal było.

— Tak To rzeczywiście zabawne — powiedział bez uśmiechu sierżant. — Proszę nam teraz powiedzieć, czy słyszała pani kiedyś o Joachimie Zelbercie?

— To ten, którego zamordowano w Radości?

— Tak.

Spuściła oczy.

— Dlaczego pan mnie o niego pyta?

— Tak sobie — uśmiechnął się pogodnie Pawelec. — Wiem, że takie młode osoby w pani wieku lubią czytać kryminalne powieści i pasjonują się różnymi sensacyjnymi historiami. Sądziłem, że i panią to interesuje. A więc słyszała pani o Joachimie Zelbercie?

— Owszem, słyszałam.

— Co pani słyszała?

— Że go ktoś zamordował. — W głosie jej wyczuwało się niepewność i wahanie.

Ta nie jest zdolna do żadnej symulacji — pomyślał sierżant, głośno zaś powiedział:

— Co jeszcze słyszała pani o tym człowieku?

— Nic specjalnego.

— A od kogo pani dowiedziała się, że Zelbert został zamordowany?

— Nie wiem... Nie pamiętam...

— Niech sobie pani przypomni. To ważne.

— Nie pamiętam.

— Proszę sobie przypomnieć — nalegał Pawelec. Może dowiedziała się pani o tym od swojego obecnego męża?

— Nie, nie... Edeczek mi tego nie powiedział.

— A kto?

Znowu miała oczy pełne łez. To było groźne. Nie wolno dopuścić do nowego ataku płaczu. Pawelec spojrzał na kolegę, prosząc go wzrokiem o pomoc.

Makowiecki zrozumiał. Uśmiechnął się czarująco:

— No, niechże się pani uspokoi. Taka pani wrażliwa. A my z kolegą — zwykli ludzie. Ot, od początku naszej rozmowy mam chęć zapytać, gdzie pani kupiła ten prześliczny sweterek?

— Podoba się panu? — oczy momentalnie obeschły.

— Fantastyczny. Uwielbiam taki głęboki odcień fioletu. A jak to znakomicie harmonizuje z bursztynami...

Uśmiechnęła się zalotnie.

— O, widzę, że się pan doskonale zna na strojach kobiecych. A sweterek kupiłam w komisie, na Nowym Świecie. Włoski. Bardzo dużo kosztował, ale warto.

— Zapewne prezent od męża?

— Ale skąd!... — Pogardliwie wyduła wargi. — Edeczek groszem nie śmierdzi. Nawet chyba nie tak źle zarabia w tej telewizji, tylko jakoś go się nigdy pieniądze nie trzymały. Jak był kawalerem, to z kolegami... Wie pan, jak to jest? Ale to się zmieni, musi się zmienić! Już ja się tym zajmę.

— Więc to nie prezent od męża?

—Nie. Tatuś mi kupił. Mam bardzo dobrego tatusia. Różne rzeczy mi kupuje. Teraz trochę już mniej, ale dawniej... Rozpieszczał mnie.

— Pewnie pani jest jedynaczką?

—Zgadł pan. Może dlatego tak mnie tatuś strasznie kocha. Czasem nawet mówiłam, żeby na mnie nie wydawał tyle pieniędzy.

— A gdzie tatuś pani pracuje?

— W spółdzielni. W Rembertowie.

— Co to za spółdzielnia?

— Nawet dobrze nie wiem, jak się nazywa. Coś tam wyrażają...

— Jakie tatuś ma stanowisko w tej spółdzielni?

— Jest zaopatrzeniowcem. Tatuś w ogóle... wszędzie, gdzie pracował, to był zaopatrzeniowcem. Ale... - Rzuciła szybkie spojrzenie w kierunku Pawelca. Sierżant nie patrząc na rozmawiających, wstał, zebrał jakieś papiery z biurka i dyskretnie ulotnił się z pokoju.

Makowiecki spostrzegł, że dziewczyna od razu poczuła się swobodniejsza.

— Bardzo ciężka jest praca zaopatrzeniowca — powiedział z przekonaniem. — Wiem coś o tym. Sam kiedyś byłem zaopatrzeniowcem.

— I pan także? — ucieszyła się. — To pan lepiej niż kto inny może zrozumieć mojego tatusia. Tatuś miał duże kłopoty, bardzo duże. Bo jak człowiek ma do dyspozycji tyle pieniędzy, to zawsze coś się tam nie zgadza.

Makowiecki pokiwał głową.

— Zawsze coś się może nie zgodzić w rachunkach, nieprawdaż? Niech mi pani szczegółowiej opowie o tych kłopotach tatusia. Może mógłbym coś dopomóc.

— Bardzo pan miły, naprawdę, ale te kłopoty to na szczęście były dawno, trzy lata temu. Teraz już wszystko w porządku.

— O dużą sumę chodziło?

— O, tak. To była bardzo duża suma, trzysta tysięcy.

— Do diabła! Rzeczywiście kupa forsy. I jakżeż tatuś so-

bie poradził?

— Edeczek mu pomógł.

— Pani obecny mąż?

— Tak. Nie chciał, żeby tatuś w ciupie siedział.

— Bardzo ładnie z jego strony. Ale skąd wziął tyle forsy?

Przecież, sama pani mówiła, że nigdy nie ma grosza przy duszy.

— Bo nie ma. Ale pożyczył.

— Pożyczył? — zdumiał się Makowiecki. — Któż mu mógł pożyczyć taką ogromną sumę?

— Ten Australijczyk, którego zamordowano w Radości. To był podobno milioner. Dla takiego trzysta tysięcy to jak dla nas trzy złote.

— No, no — dziwił się w dalszym ciągu Makowiecki. — To pani mąż musiał się przyjaźnić z tym milionerem, żeby go prosić o taką pożyczkę.

— Oczywiście, oczywiście — przytaknęła żywo. — Bardzo się zaprzyjaźnili. Chodzili razem po różnych knajpach. Edeczek pokazywał temu gościowi nocne życie stolicy. Sam mi to opowiadał. Bo Edeczek, proszę pana, jest ze mną bardzo szczerzy. To zresztą bardzo dobry człowiek. Ma, jak to mówią, złote serce. Nie wyobraża pan sobie...

— No i co? — przynaglił ją Makowiecki, który nie chciał dopuścić do tego, żeby rozmowa zesłała na boczne tory.

— No i któregoś wieczoru, zdaje się, że w „Kongresowej”, Edeczek zwierzył się temu milionerowi z kłopotów mojego tatusia. Powiedział, że ojciec narzeczonej...

— To już wtedy była pani narzeczoną pana Magierskiego?

— Jasne. Myśmy się już dawno zaręczyli, tylko tak ze ślubem jakoś się nie układało. Najprzód ja nie chciałam, potem tatuś nie chciał, potem znowu Edeczek stracił ochotę i tak zeszło. Ale teraz musiał się w końcu ze mną ożenić, bo... Wie pan?

— Tak, tak, wiem.

— Więc Edeczek zwierzył się Australijczykowi, a Australijczyk na to: „Nic się nie martw. Pożyczę - ci, ile trzeba, a ty mi oddasz, jak będziesz miał”. Myślę, że musiał być podpity, bo chyba na trzeźwo tyle forsy by nie pożyczył.

— To bardzo prawdopodobne — zgodził się Makowiecki.
— I co dalej?

— I nic. Edzio wziął forszę, oddał tacie.

— Jak to? Tak gotówką?

— E, nie. Jakies tam czeki wypisywali na nazwisko tatusia albo może na tę spółdzielnię. Dobrze nie wiem. W każdym razie tatuś się uspokoił i koniec.

Wszedł Pawelec. Jedno spojrzenie i Makowiecki miał pewność, że zdarzyło się coś niezwykłego.

— Długo jeszcze będziesz zajęty? — zapytał sierżant.

— Właściwie skończyłem. Właśnie miałem pożegnać panią Magierską.

Ledwo za młodą kobietą zamknęły się drzwi, Makowiecki rzucił:

— Co jest?

— Szykuj się do drogi. Zaraz jedziemy do Zamościa

— I nawet nie zjesz śniadania?!

ROZDZIAŁ X

— Ma pan gości, panie inżynierze.

— Gości? — zdziwił się Mikołaj. — Ach, to panowie — uśmiechnął się szeroko, widząc wchodzących milicjantów. — Czyżby znowu jakieś kłopoty ze śledztwem? Witam panów, dzień dobry — dodał wyciągając rękę — Przepraszam, że nie wstaję, ale ta cholerna noga...

— W dalszym ciągu panu dolega? — spytał współczująco Pawelec. — To bardzo długo trwa.

— Diabelnie długo. Przyznam się, że już mnie to zaczyna niecierpliwic. Jak długo można siedzieć tak przykuty do fotela? Istna rozpacz. Czy można panów poczęstować herbatą?

Sierżant energicznie potrząsnął głową.

— Nie, nie, bardzo dziękujemy, ale właśnie byliśmy w kawiarni. Przechodziliśmy tędy i wpadliśmy na chwilę, żeby zapytać o pańskie zdrowie, inżynierze.

— To bardzo miło ze strony panów, ale zapewne, przy oka-

zji, chcieli się panowie czegoś ode mnie jeszcze dowiedzieć w wiadomej sprawie.

— Kilka drobnych wyjaśnień — uśmiechnął się pogodnie Pawelec. Był wesoły, w doskonałym humorze. Makowiecki nie podzielał nastroju sierżanta. Siedział milczący, osowiały i robił wrażenie człowieka, którego bolą wszystkie zęby.

— No więc o cóż panom chodzi? — spytał Konorski, lokując chorą nogę na krześle.

Pawelec chrząknął.

— Jeżeli pan pozwoli, to chcielibyśmy zadać kilka pytań na temat pańskiego brata.

— Więc znaleźliście go?

— Jeszcze nie, ale zdaje się, że jesteśmy na dobrym tropie. Otrzymaliśmy poufne wiadomości, że pański brat ukrywa się w okolicach Zamościa, w lesie.

Przez twarz Mikołaja przesunął się ledwie dostrzegalny cień. Pochylił się, żeby poprawić bandaż na nodze.

— W okolicach Zamościa? — powiedział wolno — Cóż on mógłby robić w tamtych stronach? Nigdy nie słyszałem, żeby miał tam jakiegoś przyjaciela.

— Nic dziwnego — powiedział Pawelec. — Przecież pan od dawna nie utrzymuje żadnych stosunków ze swoim bratem. Cóż pan może wiedzieć o jego znajomościach, przyjaźniach?

Mikołaj pokiwał głową

— Ma pan rację, panie sierżancie. Niewiele wiem o jego znajomych. Zresztą nawet wolę nie wiedzieć. Czy panowie przypuszczacie, że... w niedługim czasie Maurycy zostanie aresztowany?

— To będzie zależało od rozmaitych okoliczności — odparł wymijająco Pawelec. — W obecnej chwili trudno coś konkretnego powiedzieć na ten temat.

Mikołaj ukrył twarz w dłoniach.

— Boże, Boże... — wyszeptał. Dopiero po dłuższej chwili podniósł na nich oczy pełne łez. — Proszę mi wybaczyć, ale to wszystko jest dla mnie niesłychanie bolesne. Mój brat... mój rodzony brat.. Wolałbym, żeby nie żył Taka hańba., taka hańba.

— Szczerze panu współczujemy — powiedział Pawelec. — Sytuacja jest rzeczywiście niezwykle przykra Ale... czy moglibyśmy zadać panu kilka pytań?

— Naturalnie, pytajcie, proszę.

— A więc może zaczniemy od początku, to znaczy od wyjścia pańskiego brata z więzienia. Nastąpiło to, zdaje się, w końcu czerwca?

— Chyba tak.

— Czy pan widział się z bratem po jego wyjściu z więzienia?

— Mówiłem już panom, że nie. Nie chciałem się z nim widzieć. Telefonował do mnie parokrotnie, ale ja powiedziałem, że jestem zajęty, że nie mam czasu na spotkania.

— Czy pański brat miał samochód?

— Nie. Mój brat nigdy nie posiadał wozu. Chyba, żeby kupił teraz po wyjściu z więzienia, ale wątpię...

— A czy wie pan, że brat pana wynajmował garaż?

— Nic mi o tym nie wiadomo. Garaż?

— Właśnie, garaż. Zastanawiamy się nad tym, do czego może być potrzebny garaż człowiekowi, który nie posiada samochodu? Prawda, że to dziwne?

— Bardzo dziwne — przyznał Mikołaj.

— W jakim celu pański brat wynajął garaż? Jak pan sądzi?

— Nie mam pojęcia.

— A czy słyszał pan kiedyś o pani Urszuli Węgrowskiej?

— Nie. Nigdy nie słyszałem o takiej osobie.

— Czy zna pan Wacława Burczaka, który prowadzi na Czerniakowie warsztat ślusarski?

— Nie znam.

— To dziwne — zasepił się Pawelec. — To nawet bardzo dziwne. Bo niech pan sobie wyobrazi, że u tego Burczaka, a ściślej mówiąc u jego teścia, znaleźliśmy kartkę napisaną pańską ręką.

Mikołaj gwałtownie poruszył się na fotelu.

— To niemożliwe!

— Nasz Zakład Kryminalistyki ma bardzo dobrą opinię nie tylko w kraju, ale i za granicą — powiedział spokojnie Pawelec.

— Badanie tego pisma przeprowadzili najlepsi specjaliści. Nie ma mowy o żadnej pomyłce. To pan własnoręcznie napisał adres i numer telefonu Wacława Burczaka.

— To jakieś nieporozumienie!

— Nie sędzę, panie Konorski, żeby to było nieporozumienie. Zresztą nie spierajmy się o tę kartkę. Wydaje mi się, że mamy ciekawsze rzeczy do omówienia. Czy pan słyszał coś o daktyloskopii?

— Oczywiście.

— To świetnie. Wobec tego jest pan zorientowany, że nie ma na świecie dwóch osobników, którzy mieliby identyczne linie papilarne, choćby nawet byli braćmi.

Mikołaj zaczął się pocić. Wyjął z kieszeni chustkę i wytarł nią wilgotne czoło.

— Do czego pan zmierza, panie sierzancie?

— Od dawna zmierzamy do wyjaśnienia sprawy zamordowania Joachima Zelberta — odparł z łagodnym uśmiechem Pawelec. — I wydaje mi się, że nasze starania zostały uwieńczone powodzeniem.

— Zaczyna pan być tajemniczy.

— Nie tak bardzo. Niech pan sobie wyobrazi, że w tym garażu, który wynajął pański brat od pani Urszuli Węgrowskiej, znaleziono odciski pańskich palców, pozostawione na stole i na poręczy krzesła. Poza tym odciski stóp na podłodze pasują, jak ulał, do pańskich butów. Wie pan, do których? Do tych na podwyższonej podeszwie, które zostawił pan w garażu. Te buty są o dwa numery mniejsze od butów pańskiego brata.

Mikołaj milczał. Twarz mu nabiegła krwią.

— W mieszkaniu pańskiego brata — mówił dalej Pawelec — niesłychanie pan dbał o to, żeby poruszać się w rękawiczkach i żeby nie zostawić żadnych śladów. W garażu, w Alejach Niepodległości, czuł się pan bardziej bezpieczny. Zresztą w rękawiczkach trudno się charakteryzować.

— Charakteryzować?

— Tak. Przecież mniej więcej od połowy sierpnia występował pan nie jako Mikołaj, tylko jako Maurycy Konorski.

— To kłamstwo!

— Wolałbym, żebyśmy w naszej rozmowie nie używali zbyt mocnych słów — zauważył zimno Pawelec. — Bardzo żałuję, ale to, co powiedziałem, jest zgodne z prawdą. Charakteryzował się pan na swojego brata.

— Niby w jakim celu miałbym to robić?

— W jakim celu? To bardzo proste. Postanowił pan zamordować Joachima Zelberta jako Maurycy Konorski.

Mikołaj trząsał się.

— To są kłamstwa! To są oszczerstwa! To wszystko... Dlaczego miałbym mordować swojego wuja?

— Odpowiedź na to pytanie również jest niesłychanie prosta. Wujaszek był milionerem. Miał zamiar ożenić się i uznać swoje dziecko. W takim wypadku jego majątek przeszedłby na żonę i dziecko. Nie chciał pan do tego dopuścić. Plan zupełnie dobrze pomyślany, tylko parę drobnych potknięć. Podobno nie istnieją zbrodnie doskonale. Właśnie te drobne potknięcia...

— Wuja Joachima zamordował Maurycy — powiedział schrypniętym głosem Mikołaj.

Sierżant potrząsnął głową

— Nie. Pański brat nie mógł wówczas dokonać żadnej zbrodni z tej prostej przyczyny, że już od paru miesięcy nie żył. Mniej więcej od połowy sierpnia.

Teraz twarz Mikołaja była trupio blada.

— Więc... Maurycy... Nie... nie. To niemożliwe...

— To zupełnie możliwe. Zmarłych, panie Konorski, należy grzebać przyzwoicie, w trumnie, a nie tak buch do piachu i cześć. Lisy odkopały pod Zamościem zwłoki pańskiego brata. Płytki grób pan wykopał, bardzo płytki. Musiał się pan spieszyć.

— To wszystko kłamstwo! — wybuchnął Mikołaj. — Znaleźliście czyjeś zwłoki w lesie i...

— Nie czyjeś, tylko Maurycego Konorskiego, pańskiego rodzony brata. Jeżeli zaś chodzi o identyfikację zwłok, została ona bardzo dokładnie przeprowadzona. Chyba pan wie, że pański brat miał strzaskaną dolną szczękę. To ogromnie ułatwiło zadanie. Sprawdziliśmy uzębienie i porównaliśmy je z kartą chorobową wziętą z gabinetu dentystycznego w więzieniu.

Wszystko się zgadza. Nie ma wątpliwości, że w lesie pod Zamościem lisy odkopały zwłoki Maurycego Konorskiego.

— Ja go nie zabiłem! — Był to krzyk człowieka chwyconego za gardło.

— Na razie nikt nie twierdzi, że pan zamordował swojego brata — powiedział ze stoickim spokojem Pawelec. — Jest pan natomiast oskarżony o zamordowanie z premedytacją Joachima Zelberta.

— Nie mam nic wspólnego z tą zbrodnią! Nikt mi tego nie dowiedzie.

— O, jest pan w błędzie. Zebraliśmy aż nadto dowodów pańskiej winy.

— Nie zastraszycie mnie! Nie macie żadnych dowodów

— Niech pan uważnie słucha, panie Konorski. — Sierżant bliżej przysunął swoje krzesło i pochylił się nieco ku przodowi.

— Niech pan słucha. Co prawda nie muszę panu tego wszystkiego mówić, ale... Niech już będzie. Dokończmy tej interesującej opowieści. Otóż to było tak: Projektowane małżeństwo pańskiego wuja z Karoliną przeraziło pana. Rozwiewały się marzenia o milionach. Wszystko zabrałaby żona. Dla siostrzeńców zostałyby ewentualnie jakieś marne resztki. Nie mógł się pan z tym pogodzić. Przez długie miesiące, a właściwie przez prawie trzy lata sprawa ta spędzała panu sen z powiek. I nagle nadarzyła się okazja. Pański brat wychodzi z więzienia.

— Ja go nie zabiłem.

— Umarł śmiercią naturalną? — spytał Pawelec.

— Umarł w wozie. Na serce. Atak serca. Pewnie zawał. Nie wiem.

— Gdzie pan wiozł brata?

— Do leśniczówki pod Zamościem. Chciał gdzieś przeczekać, aż mu broda odrośnie.

— Z tą przyprawioną było mu niezbyt wygodnie.

— Tak. Właśnie. Umarł w wozie. Zupełnie nagle.

Pawelec pokiwał głową.

— Jesteśmy skłonni przyjąć pańską wersję w tej sprawie. Reprezentuje pan typ człowieka o szybkim refleksie. Błyskawicznie zdał pan sobie sprawę z tego, jakie korzyści mogą dla

pana wyniknąć ze śmierci brata. I tak rozpoczął pan podwójne życie: jako Mikołaj Konorski i jako Maurycy Konorski, ten z brodą, z przyprawioną brodą Postanowił pan zabić Joachima Zelberta jako Maurycy To było diabelnie sprytnie pomyślane. Mogliśmy Maurycego szukać do końca świata. Nie istniał, więc nikt go nie mógł odnaleźć. W czwartek, czwartego listopada, zamordował pan swego wuja, Joachima Zelberta.

— Nie macie żadnych dowodów, żadnych!

— Spokojnie. Coś tam się może znajdzie. Mistyfikacja z tą skręconą nogą to było niezłe alibi. Tylko ze... Widzi pan, panie Konorski, w takich wypadkach trzeba o wszystkim pamiętać. A pan zapomniał o dwóch, a właściwie o trzech rzeczach. Nie zauważył pan, że chłopcy na tej Syrence, którą pan ukradł, napisali „brudas”, a prócz tego, co jeszcze ważniejsze, zostawił pan w wozie kawałeczek ampułki z odrobiną żelaza, jak również zaplał pan tym lekiem obicie na przednim siedzeniu. Rozmawialiśmy z pańskim lekarzem. Nie może zrozumieć, dlaczego ta noga tak źle się goi. Teraz zapewne zrozumie. Zastrzyk z żelaza, zrobiony pozamięśniowo, daje tego rodzaju objawy. Czy pan wie, że może panu nawet grozić martwica kości? I jeszcze jedna sprawa. Koło kierownicy tej zabłoconej Syrenki znaleźliśmy dwa odciski pańskich palców, kciuk i wskazujący. Do zrobienia zastrzyku musiał pan zdjąć rękawiczki. Przysporzył pan nam dużo roboty, panie Konorski, bardzo dużo. Czy chciałby pan może coś dorzucić do tego opowiadania?

Mikołaj milczał. Nie patrzył na sierżanta. Powolnym ruchem wyjął z kieszeni pilnik i zaczął sobie czyścić paznokcie.

*

Pili kawę. Pułkownik tak się rozochocił, że wydobyl z ukrycia butelkę radzieckiego koniaku i napełnił kieliszki mieniącym się, złotawym płynem.

— Wasze zdrowie, koledzy. Gratuluję wam sukcesu. To była dobra robota.

— Porucznik Makowiecki po właściwej linii poprowadził

śledztwo — powiedział Pawelec.

— Nie gadaj głupstw — zachnął się Makowiecki. — Wiesz, tak samo dobrze jak i ja, że bez twojej pomocy nie by z tego nie wyszło. Nie dałbym sobie rady.

— To nie jest prawda, panie pułkowniku. Towarzysz porucznik...

— Dajcie spokój — roześmiał się Jagodziński. — Obaj dobrzeście pucowali i dlatego są rezultaty A swoją drogą... Muszę się wam przyznać, że zaskoczyła mnie ta historia. Nie spodziewałem się takiej mistyfikacji, W którym właściwie momencie zaczęliście coś podejrzewać?

— Mnie od samego początku ten facet nie bardzo się podobał — powiedział Pawelec. — Pamięta pan, panie pułkowniku, jak on przed tą całą historią do nas tutaj przyszedł, żeby to niby poradzić się w sprawie brata-bandziora?

Jagodziński skinął głową.

— Pamiętam. Oczywiście.

— To wydało mi się trochę dziwne. Rzadko kto tak sobaczy na rodzony braciszka, choćby i był oprychem. Raczej w takim wypadku każdy się stara nie mówić o tym, ukryć. Tak mi się wydaje. Ja bym się tam nie chwalił.

— Rozmawiałem z Joanną Stawiską — dodał Makowiecki. — Jej także Konorski opowiadał te wszystkie bajdy o swoim bracie.

— Urabiał opinię — powiedział Jagodziński. — Chciał, żeby całe otoczenie było przekonane, że jego brat jest niepoprawnym przestępcą.

— Otóż to — podchwycił sierżant. — Urabiał opinię. A tymczasem... Nie możemy wykluczyć, że to Mikołaj dokonywał różnych przestępstw, a Maurycy był porządnym facetem, który dał się po prostu w jakiś sposób zrobić braciszkowi. O Maurycym wszyscy wyrażają się z wielkim uznaniem, nie wyłączając naczelnika więzienia.

Pułkownik z zainteresowaniem spojrział na Pawelca.

— Bardzo możliwe, że macie rację i gdyby wznowić dochodzenie w sprawie Maurycego... Ale na razie chyba nie będziemy się tym zajmować. Czy moglibyście mi pokrótce zreferować

ważniejsze fakty od chwili wyjścia z więzienia Maurycego Konorskiego?

— Proponuję na referenta towarzysza porucznika Makowieckiego — powiedział z bardzo poważną miną Pawelec — a to z uwagi na fakt, że pozostaje w przyjacielskich stosunkach z narzeczoną oskarżonego Mikołaja Konorskiego.

— O? Czyżby...? - uśmiechnął się Jagodziński.

Makowiecki zaczerwienił się.

— Waleriana głupstwa opowiada, towarzyszu pułkowniku.

— No dobrze, już dobrze. Nieważne. Mówcie. Chodzi mi oczywiście o najgłówniejsze punkty sprawy. Być może, że jeszcze dzisiaj z kolei ja będę musiał referować to samo moim władzom zwierzchnim i nie mogę czekać na wasz szczegółowy raport. Więc słucham.

Makowiecki odchrząknął. Dostał maleńkiej tremy i zaschło mu w gardle.

— Otóż, towarzyszu pułkowniku. Maurycy Konorski wyszedł z więzienia w drugiej połowie czerwca. Mikołaj czekał na niego. Byli ze sobą w ścisłym kontakcie. Maurycy powiedział, że z powodu tego oszpeceenia nie chce pokazywać się nikomu bez brody. Zamknął się w swoim mieszkaniu i postanowił w ogóle nie wychodzić, dopóki mu nie odrośnie broda. Taka absurdalna sytuacja nie mogła długo trwać. Mikołaj doskonale to rozumiał i postanowił jak najprędzej zdobyć brodę i wąsy, żeby ucharakteryzować brata. Przypomniał sobie, że kiedyś jadąc wozem swojej narzeczonej, zatrzymał się na Czerniakowie w warsztacie mechanicznym, żeby dokonać jakiejś drobnej reparacji. Teść właściciela tego zakładu był przed wojną charakterizatorem teatralnym i perukarzem. Następnego dnia Mikołaj zadzwonił do brata, podając mu numer telefonu i radząc, żeby porozumiał się on ze starym charakterizatorem. Ale Maurycy miał kłopoty ze strunami głosowymi i strasznie chrypiał. Trudno mu było rozmawiać przez telefon. Wobec tego Mikołaj sam zadzwonił na Czerniaków i umówił brata ze staruszką. Adres i telefon zanotował na kartce, którą następnie dał Maurycemu.

— Zaraz, zaraz — przerwał pułkownik. — O ile mi wiadomo, znaleźliście te numery telefonów, zapisane w encyklopedii.

Tego nie bardzo rozumiem.

— My także nie bardzo rozumiemy — przyznał Makowiecki. — Przypuszczam, że w momencie, kiedy telefonował Mikołaj, Maurycy szukał czegoś w encyklopedii i zapisał telefon na marginesie strony pod odpowiednią literą.

— A drugi numer?

— To telefon właścicielki garażu, wzięty z ogłoszenia.

— I także zanotował go Maurycy Konorski?

— Tak.

— Dziwny sposób zapisywania numerów telefonów. Dlaczego akurat w encyklopedii?

— Nie wiem. Każdy ma jakieś swoje dziwactwa.

— Z tego wynika — powiedział Jagodziński — że to Maurycy Konorski wynajął garaż.

— Chyba tak.

— Po cóż był mu garaż, jeżeli nie miał wozu?

— Teresa Stawiska powiedziała mi wczoraj, że Maurycy od lat planował kupno samochodu, jakiegoś używanego oczywiście. Może mu się właśnie coś trafiło i po prostu chciał sobie zapewnić garaż?

— A może Maurycy zaczął przeprowadzać tę transakcję, a Mikołaj sfinalizował ją jako Maurycy — zauważył Pawelec.

— To bardzo możliwe — przytaknął Jagodziński.

— Maurycy Konorski źle się czuł z przyprawioną brodą — ciągnął dalej Makowiecki. — Powiedział więc bratu, że chciałby się gdzieś zadekować do czasu, aż mu broda odrośnie. Być może bał się, że Teresa odwiedzi go kiedyś niespodziewanie i zorientuje się, że to charakteryzacja. Mikołaj postanowił umieścić brata w leśniczówce w okolicach Zamościa. Pożyczył wóz od Joanny Stawickiej i pojechali. W drodze Maurycy podobno zmarł na atak serca. Rozmawialiśmy z lekarzem więziennym. Twierdzi — znając stan pacjenta — że jest to bardzo prawdopodobne. Mikołaj błyskawicznie zorientował się, że śmierć brata można znakomicie wykorzystać. W najbliższej wiosce kupił łopatę, wjechał głęboko w las i pochował Maurycyego, zatrzymując oczywiście jego dowód osobisty oraz różne drobiazgi. Miał zapewne zamiar grasować po terenie całej Polski i robić najroz-

maitsze szwindle na rachunek nieżyjącego brata. Na pierwszy plan wysunęła się sprawa spadku po Joachimie Zelbercie. Należało przeszkodzić wujowi w jego matrymonialnych planach.

— A co z tym młodym rzeźbiarzem? — spytał Jagodziński. Działał w afekcie, pod wpływem zazdrości. Uderzył Zelberta w szczękę, ten upadł, a kiedy chłopak dowiedział się, że Zelbert nie żyje, był przekonany, że to on jest mordercą milionera.

— Czy sądzicie, że Konorski uderzył żelaznym prętem leżącego?

Makowiecki potrząsnął głową.

— Nie. Eksperci z medycyny sądowej wykluczają taką możliwość. Zelbert na chwilę stracił przytomność, ale zaraz się podniósł. Wtedy wszedł Konorski i wykończył go.

Czyli możemy wykluczyć tę ewentualność, że cios rzeźbiarza był śmiertelny?

— To nie wchodzi w rachubę. Śmiertelne były uderzenia zadane żelaznym prętem.

— Gazrurka — odpowiedział Pawelec.

— Czy mam mówić dalej, towarzyszu pułkowniku? — spytał Makowiecki.

— Oczywiście, tylko streszczajcie się, bo niedługo będę musiał wyjechać na miasto. Orientuję się mniej więcej, jak to było z nogą, ale mówcie.

— A więc tak... Ukradł wóz, pojechał nim do Radości, zabił Zelberta i pojechał do Międzyzlesia, gdzie wsiadł w kolejkę. Przedtem oczywiście zrobił sobie zastrzyk z żelaza, żeby mu noga spuchła i zsiniała. Ampułkę wyrzucił, ale jej górna część, z odrobiną lekarstwa, została w wozie. Poza tym znaleźliśmy w Syrence odciski palców Mikołaja Konorskiego. W zdenerwowaniu robiąc zastrzyk, nie pomyślał o tym. Zresztą nie przypuszczał, że kiedykolwiek możemy wpaść na trop całej mistyfikacji

Pułkownik wstał i przeszedł się po pokoju. Był zamyślony.

— No tak... — powiedział, zatrzymując się przed Makowieckim, który także podniósł się ze swego miejsca. — Sprawa nie budzi chyba wątpliwości. Przypuszczam, że prokurator tak to potraktuje. Tym niemniej to poszlakówka. Myślę jednak, że Konorski przyzna się do winy. Zbyt dużo przemawia prze-

ciwko niemu. Ale faktem jest, że nie posiadamy stuprocentowych dowodów, że to on jest mordercą.

— Mamy taki dowód, panie pułkowniku — odezwał się Pawelec. — Mucha nie siada.

Jagodziński spojrzał na niego zdziwiony.

— Czy rzeczywiście?

— Jasne. Przecież natychmiast po morderstwie zostały przeprowadzone w całym domu w Radości dokładne badania, odciski palców, odciski stóp itp. Otóż odcisk zabłoconego buta. Gumowa podeszwa z pewnymi charakterystycznymi uszkodzeniami. Ten but znaleźliśmy w garażu w Alejach Niepodległości. Pasuje, jak ulał. Konorski miał buty robione na obstalunek, specjalnie podwyższone. Jego brat był wyższy. W tym samym garażu znaleźliśmy także marynarkę poszerzaną i bardzo wywatowaną w ramionach. Maurycy był szerszy w barach. Miał także większe stopy. Jego buty były o dwa numery większe od butów Mikołaja.

— Zapomniałeś jeszcze powiedzieć, że w mieszkaniu Maurycego znaleźliśmy, dzięki pomocy Teresy Stawiskiej, angielską książkę — wtrącił Makowiecki.

— A tak, prawda. Mikołaj cały czas utrzymywał, że nigdy nie był w mieszkaniu Maurycego. Przez nieuwagę zostawił tam angielską książkę, a od Teresy Stawiskiej dowiedzieliśmy się, że Maurycy nie znał angielskiego.

Jagodziński spojrzał na zegarek.

— Dziękuję wam, koledzy, i jeszcze raz gratuluję sukcesu. Niestety już muszę jechać. Znowu jakaś narada.

Wrócili do swojego pokoju.

Pawelec, nie tracąc czasu, podszedł do płaszcza wiszącego na wieszaku, wyjął z kieszeni torbę z bułkami i kiełbasę, zawiniętą jak zwykle w szary, pakowy papier.

— Psiakrew, od dwóch dni nie mogłem zjeść śniadania — napełnił szklankę gorącą herbatą z termosu.

— Jaką masz dzisiaj kiełbasę? — spytał Makowiecki.

Sierżant spojrzał na niego triumfalnie.

— Szynkowa-wieprzowa. Ma się te chody. Może zjesz jedną bułeczkę?

—Jak z szynkową-wieprzową, to zjem — powiedział z uśmiechem Makowiecki.



Pułkownik nie poczęstował go koniakiem ani nawet kawą. Wskazał krzesło, stojące przed biurkiem, i powiedział:

—Siadajcie. Zapewne już was zawiadomił Makowiecki, że we dwóch zajmiecie się sprawą tego morderstwa.

—Tak. Właśnie przed chwilą...

— Chcę dać szansę temu młodemu człowiekowi — mówił Jagodziński — i zdecydowałem się powierzyć mu tę sprawę. Orientuję się oczywiście, że brak mu doświadczenia, dlatego chciałem was prosić, żebyście się trochę nim zaopiekowali. Dyskretnie. Niech działa, niech się wykaże. Niech mu się zdaje, że samodzielnie prowadzi śledztwo.

—Na pewno nie stanę mu na drodze „do sławy” — uśmiechnął się Pawelec. — Lubię chłopaka i dobrze mu życzę. Czy pan przypuszcza, panie pułkowniku, że to nie Konorski zamordował wujaszka?

Pawelec wstał.

— Dziękuję pani. Nie zabieram więcej czasu. Gdyby pani przypomniała sobie kogoś, kto mógł być dobrac się do pani maszyny, proszę nas zawiadomić.

— Oczywiście.

Odprowadził ją do drzwi. Kiedy położyła już rękę na klamce, spytał:

—A czy siostra pani, panna Teresa, odwiedza panią czasem w telewizji?

—Tak. Ale bardzo proszę, żeby panowie przestali już mieszać moją siostrę do tej sprawy!

—Pani siostra sama zaplątała się w tę sprawę — uśmiechnął się Pawelec.

Cena zł 25.—

Ali-Baba

TKRY